

WYPISY POLSKIE.

UŁOŻYŁ

JAN ŁUKOMSKI.

CZEŚĆ II, WYŻSZA.

Wydanie trzecie.

WARSZAWA.

Skład główny w mieszkaniu nakładcy przy ulicy Elektoralnej № 781.

—
1870.

Варшава 3 Июля 1870 года.

W drukarni Alexandra Ginsa, ulica Elektoralna № 20.

SPIS RZECZY.

Uwaga. 33-ch artykułów, oznaczonych gwiazdką, nie ma w wydaniu pierwszym.

P R O Z A

Stron.			Stron.
	Rozprawki z religii i moralności.		Rozprawy z historii literatury.
1.	O istnieniu Boga	1.	*Pentateuch 27
2.	Opatrzność Boska	32.	*Treny Jeremijasza i pie- śni Ezechijela 29
3.	O godności człowieka	3.	Pieśń o wyprawie Igora 32
4.	*O powinnościach wzglę- dem rodziców, nauczycieli i starszych	4.	O poezyi serbskiej 34
5.	Rzetelność	5.	*Boska komedya Dantego 35
6.	Skutek marnotrawstwa		
7.	O rozmowie w towarzy- stwie		Opowiadania historyczne.
8.	O potrzebie pracy i do- brych obyczajów	1.	Mongołowie-Tatarzy 40
9.	*O skromności	2.	Najście Mongołów 44
10.	*O potrzebie samodziel- nego sądu	3.	Śmierć Joanny d'Arc 45
		4.	Matka Jagiellonów 47
		5.	Brody krzyżackie 53
		6.	*Maryno Faliżery 57
		7.	*Bitwa na Kosowém polu 60
		8.	Bitwa pod Piramidami 62
	Życiorysy znakomitych pisarzy.		Obrazy z życia narodów.
1.	Mikołaj Rej	1.	*Turnieje w wiekach śred- nich 66
2.	Piotr Skarga	2.	Rękawka 68
3.	Adam Mickiewicz		
4.	*Aleksander Puszkina		
5.	Jan Goethe		
6.	Gustaw Zieliński		

	Stron.		Stron.
3. *Uroczystość Mulid-en-Nebi w Kairze	72	5. Puszcze zwrotnikowe	122
4. Religija, nauki i sztuki u starożytnych Rzymian	78	6. Zorza północna w Norwegii	124
5. *Walki gladiatorów w starożytnym Rzymie	80	7 *Zorza północna w Syberii	126
6. *Zielone Świątki w Wenecyi	85	8. Jodła	129
7. Zielone Świątki w Krakowie	88		
8. *Kafrowie	94		

Opisania miejsc.

1. *Krater Wezuwiuszu	98
2. Morskie Oko	101
3. Jezioro Lemana	103
4. *Katakomby rzymskie	106
5. Okolice Sandomierza	110
6. *Wyspa św. Heleny	113

Obrazy z natury

1. Człowiek	115
2. Koń	118
3. Lasy	—
4. *Łąki	120

POEZYZJE.

Poezyje liryczne.

1. O dobrodziejstwach Boga	193	7. Do poezyi	198
2. Do Boga	194	8 *Do poezyi	—
3 *Do Boga	195	9. Śpiew poety	199
4. *Do dzieciątka Jezus	—	10. Do poety	200
5. *Pod krzyżem	196	11. Prostak wiejski	202
6. Modlitwa o dobrą wolę	197	12. Do Wisły	203
		13. O moim starym domku	205

Charakterystyki obyczajowe.

1. *Szarmant prowincjonalny	130
2. Sknóra wystawny	133
3. *Genijusz	135
4. *Dziadek cerkiewny	139
5. *Pycha	141
6. *Dorobkowicz	144

Powieści i obrazki.

1. List z Noskowa	149
2. Dziecięce lata Mikołaja Doświadczyńskiego	156
3. Sejmik w Proszowicach	160
4. *Baltazar i Teofil Pęczakowscy	165
5. *Zdarzenie z pobytu we Florencyi	170
6. *Przyjęcie oficjalisty	177

Obrazy i opisanie.

1. Starzec i dziewica	208
2. Obrazy z poematu Mickiewicza »Pan Tadeusz«	210
1. Pan podczaszyc	210
2. Obłoki	210
3. Puszcza	211
4. Granie na rogu	213
5. Ucieczka	215
6. Dzień pochmurny	—
7. Dom Maćka Dobrzyńskiego	216
8. Wicher jesienny	217
9. Zaranie	220
3. Rzeki, wpadające do Wisły	221
4. *Babia góra	223
5. Tatry	—

Opowiadania.

6. Natarcie na Tatarów	224
7. Pożar zamku	225
8. Stepy w zimie	226
9. Czertomelik	227
1 Starosta Wilczek	228
2. Walka Żmii z baszą	231
3. Pijaństwo	234
4. *Maciej albo miłość piękną	237
5. Alpuhara	242
6. Giermek	244
7. Ballada, jakich wiele	246
8. Król Henricus	248
9. Piotr Pszonka Jasieńczyk	251

I. RELIGIJA I MORALNOŚĆ.

ROZPRAWKI NAUKOWE.

1. O istnieniu Boga.

Na widok najdrobniejszej rzeczy pytamy się, kto ją zrobił; najdrobniejsza też rzecz ma swojego sprawcę, a świat mógłby sam powstać z niczego? Ach! gdzież oczy i rozum podział ten, który Boga w naturze nie widzi? Wszystko w niej zamiaru, mądrości i porządku dowodzi. Od ognistego słońca, do robaczka, pełzającego po ziemi, wszystko potęgę Boga głosi, wszystko Stwórcę objawia. Niezglębione i bezdenne morze, miliony ciał niebieskich, niedojrzanych okiem, niezliczonych usty, słabym niezmierności Jego są obrazem. Owoce drzew naszych, pełne co rok kłosa, opatrności Jego dowodzą; w głosie piorunu widać moc Jego, mądrość — w stałym pór roku powrocie. Wspaniały lasów widok, łąk zieloność, kwiatów zapach i barwa, słowem, świat cały przemawia do nas o Bogu, o potędze, dobroci i mądrości Jego. Ilużto ludzi i przez wieki wieków pracuje nad odkryciem wszystkich cudów natury? ileżto genijuszów chce dojść układu świata i pojąć to wielkie dzieło, które stwórcę swego sześć chwil namysłu i kilka słów kosztowało? Jeszcze nie dokonali tej pracy, a wszystkie ich badania na jedną minutę postaci świata nie zmieniły. Nim odkryto, z czego dęszce i rosy powstają, już one dawno łąki i pola żyziły, a nim zrachowano, wiele nas mil od słońca dzieli, tak samo

CZĘŚĆ II. WYŻSZA.

promienie jego ludzi oświecały, a ich działalność równie płodną ziemię czyniła. Badania tylu wieków, zabiegi tylu uczonych, do tego jedynie pomogły, że prawdziwy mędrzec na jednym stopniu z pobożnym prostakiem stanął i wyznał, iż Bóg, nieskończenie mądry, musiał wszystko stworzyć. I do tego stopnia w nim jednym moc twórcza i doskonałość spoczywa, że, pomimo wszystkich śledzeń, prac i badań, pomimo całej mądrości ludzkiej, jest tylko na świecie to, co Bóg stworzył, i człowiek z całą pychą swoją nic nie dodał, nic z niczego nie uczynił. Moglibyśmy przebieść wszystkie wynalazki sztuki i przemysłu ludzkiego, nic nie znajdziemy, w czym by tworu natury, to jest ręki Boga, nie było. Człowiek tylko śledzi, odkrywa, łączy, doskonali; to jest treść nauki, — to koniec wszystkich zabiegów jego, ale stworzyć z niczego najdrobniejszej rzeczy nie potrafi. Spójrzmy wokoło siebie. To sukno na odzieży naszej ludzkiej prawda utkali, ale któż owce miękką wełną pokrył? Zadziwiającym przemysłem ludzkim ten zegarek złożony, lecz któż słońce i gwiazdy, te niezmiennie świata zegary, utworzył? Kto nappełnił wnętrzości ziemi kruszcami? Pracy ludzi owocem papier tu zeszyty, ale za sprawą Boga ziemia len i konopie spłodziła. Ręka ludzka wyrobiła ten stolik, lecz nie ona pierwsze lasy drzewem zasadziła. I ten człowiek, który tak dalece się nadyma, że istoty wyższej nad siebie uznać nie chce; który woli brednie układać i w baśnie wierzyć, niż dumę poniżyć, uczyniłże co w naśladowaniach swoich przyrodzeniu równego? Któryż malarz doszedł wzorów swoich? któryż budowniczy sklepienie, podobne niebieskiemu, złożył? jakież jedwabne i najkosztowniejsze materyje wyrównają gładkości i delikatności różanego listka tkaniny? »Najmożniejszy król, w całej chwale swojej, nie jest tak odzia-
ny, jako lilija polna« (św. Mateusz, VI, 29).

2. Opatrzność Boska.

Zastanów się nad sobą, a przypomnisz sobie tysiączne opieki i dobroci Boga dowody... a jakim był i jest Bóg dla ciebie, takim był dla niezliczonego mnóstwa ludzi, którzy od początku kolejno na tej ziemi przechodzili; takim jest dla tych, którzy ją w tej chwili zaludniają; takim będzie dla wszystkich, którzy do końca świata rodzić się będą. Dobroć Jego nigdy się nie zmęczy; nigdy nie ustanie Jego opatrzność. I kiedy człowiek zaledwie o samym sobie, o kilku otaczających go istotach pamiętać może; kiedy siebie samego nie zna, a mniej jeszcze innych; kiedy serce jego zaledwie parę osób prawdziwie kochać zdoła: Bóg, we wszystkiem nieograniczony i doskonały, czuwa nad światem całym; nie tylko ludzi, ale wszystkie zwierzęta, najdrobniejszego robaczka, opatrznością swoją żywi. »Zna wszystkich i widzi wszystko, co jest pod słońcem; wie, co się z każdym dzieje, co kto myśli, czego chce i do jakiego zmierza celu«. Każde stwórczenie swoje ojcowską miłością kocha; srogie tylko występki i bezprawia odwrócić twarz Jego od dziecięcia mogą. A i te nawet nie zaraz do tej surowości skłonić go zdołają: długo przez wyrzuty sumienia do duszy występną przemawia; woła wielkim głosem na tę zgubioną owieczkę; podaje tysiączne sposoby nawrócenia... i dopiero wtedy ze wstrętem karze, kiedy już innego środka do upamiętania jej nie widzi. Tego jedynie człowieka opuszcza, który Jego pierwój zupełnie opuścił, a uparty w zbrodni swojej, ani groźbami, ani karą, do poprawy zniewolić się nie dał. Nie dosyć, że tak pięknie i mądrze świat cały stworzył; utrzymuje go, strzeże, pilnuje. Jeden nieporządek w biegu ciał niebieskich zagubę wszystkich rzeczy stworzonych by sprawił, lecz wskazała im drogę boska prawica; nie uchyla się

żadne na cal jeden, i świat i cuda jego trwać będą, póki tylko Bóg zechce. Codzień głos Jego ziemię obróci i słońcu kolejno wszystkie ludy do przyświecania im poda; co rok nasze pola i łąki użyźni i tych, co stworzył, wyżywi; co i raz powstać pozwoli istotom uczonym i cnotliwym, które, naukami i przykładem, światło i cnoty rozkrzewią i ludzi do nieba zbliżą; co wiek dawać będzie światu, w wielkich i zadziwiających odmianach, dowód najwyższej potęgi i mądrości widoków swoich, a zawsze i wiecznie do serc niewinnych, cnotliwych, lub skruszonych, przemawiać nie przestanie.

Klem. z Tań. Hofmanowa. 1822.

3. O godności człowieka.

Prawdziwa godność człowieka składa się z dwóch na pozór sprzeczności: z dumy i z pokory, połączonych razem i zlanych z sobą — bo kto tylko dumny bez pokory, ten próżnym jest, kto zaś tylko pokorny bez dumy, ten podłym jest. Trzeba mieć dumę w ducha całości, a pokorę w każdej chwili życia. Nigdy, samą pokorą tylko się rządząc, nie postąpisz kroku dalej, wyżej — bo rzeczą pokory jest uznawać się niezdolną i przeznaczoną do wiecznej niższości. Samą dumą się powodując, także nie pójdziesz naprzód, bo cechą dumy jest mieć punkt już osiągnięty za najwyższy. Trzeba więc i to i tamto przypiąć sobie do ramion: przez dumę wierzyć, że przeznaczeniem naszym jest osiągnąć najwyższe stanowisko dobra i piękności, tu, czy tam, na ziemi, czy za grobem; przez pokorę uznawać, że każde, — dotąd przez nas osiągnięte, jest niższem od następnego, jest niedoskonałem, niedopełnionem. Takim sposobem, zlawszy dumę z pokorą, dumni co do celu, pokorni co do środków, dumni, jako duchy nieśmiertelne, pokorni, jako istoty czasowe, z myślą

w niebie, lecz z nogami na żwirach i cierniach ziemi, przesuniemy się godnie przez tej planety powierzchnię i śmiało w grób zstąpimy.

Zygmunt Krasiński. 1841.

4. O powinnościach dla rodziców, nauczycieli i starszych.

Dzieci, uważając rodziców za swych najpięrszych po Bogu dobroczyńców i wywdzięczając się za ich trudy i starania, winny zawsze i wszędzie okazywać im najgłębsze uszanowanie, z ufnością zupełną połączoną, i zachować bezwzględne posłuszeństwo ich woli i rozkazom, nie obawą wymuszone, lecz z prawdziwej miłości pochodzące. Przez też samą wdzięczność, winny dokładać wszelkich usiłowań, aby ze starań, około ich wychowania i nauki położonych, jak największą korzyść odnosiły. Obowiązkiem ich jest także zachować dla rodziców zupełną otwartość, nie tając nawet samych ułomności, choćby obawa połajania, lub kary, do ukrycia wykroczeń pobudzała. W późniejszym wieku, gdy dzieci już z pod opieki rodziców wyjdą, i wtedy należnego szacunku i wdzięczności zapominać nie powinny, lecz mają pobłażać ułomnościom ich wieku, znosić przywary od starości nieodłączne i osładzać im ciężar lat zgrzybiałych. Nawet ze śmiercią rodziców wdzięczność dzieci nie ustaje, lecz pamięć o nich, dochowana w sercu, do częstych religijnych wspomnień, równie jak do sumiennego wykonania ostatniej ich woli, pobudzać dzieci winna.

Nauczyciele, o ile w prawa rodziców i ich obowiązki wstępują, o tyle mają prawo do wdzięczności swych uczniów. Starając się o ukształcenie ich serc młodocianych, o rozwinięcie władz duszy, przysposabiali ich tym sposobem do życia społecznego, częstokroć nawet z nadwyręże-

niem własnego zdrowia; zdaje się, iż za swe prace powinni tej przynajmniej od uczniów doczekać się pociechy, aby ci trudy ich z czasem uznali i choć zwyczajną w świecie grzecznością odpłacali. Do czulszych serc wybitniejsze dowody wdzięczności należą. Błahy rozum, przewrotne serce pokazuje ten, kto twierdzi, iż nie nauczycielom, wszystko własnej pracy i zdolności winien. Jest to wyrażenie wszystkich tych, którzy niewdzięczność swą pozorem jakimś uniewinnić pragną. Lecz nie tak rozumuje człowiek, jakiegokolwiek zasady moralności mający. Uznaje on prace nauczyciela, ocenia chęci jego wtedy nawet, gdy skutek nie odpowiedział zamiarom. Pomnąc, jak często-kroć, wśród burzliwych namiętności młodzieńczego wieku, nierozwagą swoją zatrul i tak już gorzkie nauczyciela powołanie, stara się w dojrzałym wieku uprzedzającą grzecznością, a gdzie może i chętną usługą, odwdzińczyć się mu i dawniejsze przykrości osłodzić. Nie dość na tém: trudy własnych nauczycieli odwdzięcza on usługą, całemu stanowi i wszelkim jego członkom świadczoną, dowodząc tym sposobem, że wychowanie jego i nauki nie były grochem, na ścianę rzuconym.

Powinności młodych nie ograniczają się wszakże tylko wdzięcznością dla rodziców i nauczycieli; należy się jeszcze od nich uszanowanie dla osób starszych wiekiem, dla ludzi znakomitych godnością, urzędem, lub zasługą. Jeżeli by kto w sercu skażonem i w umyśle, choć młodym, lecz niekiedy dość przewrotnym, nie znalazł do tego żadnych pobudek, ten względ przynajmniej poruszyć go winien, iż i on z czasem, w teje będąc kolei, od innej młodzieży odpłatę zyska. Lecz jeśli sam w młodym wieku nikogo nie szanował, nikomu żadnej grzeczności nie wyświadczył, jakimże czołem, w wieku sędziwym, szacunku lub grzeczności od innych wymagać śmiały? Wkońcu niech każdy młodzieniec zachowa w pamięci tę maksymę, iż

Opatrzność nie płazem nie puszcza: uchybienia względem rodziców i nauczycieli na ich własnych z czasem odpłaci dzieciach; ubliżenie starszym znajdzie kiedyś karę w podobnem ubliżeniu innych temu, który w młodszym wieku stał się go winnym.

Tomasz Dziekoński. 1831.

5. Rzetelność.

Nic nie ma tak zbawiennego wpływu na nasz charakter, jak mocne postanowienie w dotrzymywaniu słowa, czyli rzetelność. Dla tego jedną z najważniejszych rzeczy wychowania jest od młodości do niej ludzi wzwoływając. Stawić się w słowie, w każdej, choćby najmniejszej rzeczy, jestto, oprócz zaszczytu, który człowieka najwięcej zdobi, rozwijać swój charakter i roztropność. Cnotliwy nie da słowa do czynu niecnego; roztropny nie prędko się do niego namyśli, aby nie żałował dotrzymania i niedotrzymania. Zatem dawanie słowa z namysłem, w rzeczach najmniejszych, czyni nas baczniemi na wszystko i roztropniemi. Pośpiesznie obiecujący, przy najlepszych chęciach, często staje się kłamcą. Ściąga na siebie urazę ludzi, jakby im zabrał rzecz, którą obiecał. Mała i lekkomyślna wina zrządza wielkie szkody innym, a sobie — wielkie przykrości. Pięknie jest być niewolnikiem słowa, zwłaszcza tego, które dajemy z prawdą rozumu i serca.

Kazimierz Brodziński.

6. Skutek marnotrawstwa.

Skąpstwo jest niecną wadą, występkiem: brudzi i zewszierzęca duszę,—lecz marnotrawstwo nie mniejszym jest, choć przeciwnym występkiem, gdyż zeń wypływa marnowanie darów Bożych, a pod koniec — targnienie się na

cudzą własność. Zkąd bowiem marnotrawca, przywykły do nieodmawiania fantazyi swój niczego, brać będzie, po roztrwonieniu nieporządkiem własnych dóbr? Oczywiście, że od drugich, pod postacią zaciąganych, a niewypłacanych długów, czyli, że, kiedy skąpiec kończy na spódleniu, marnotrawca zwykle kończy na złodziejstwie... gdyż pożyczać, nie mogąc oddać, to na jedno wyjdzie, co kraść.

Zygmunt Krasiński.

7. O rozmowie w towarzystwie.

Niektórzy ludzie myślą, iż to, czém są zaprzątyni, równie i drugich obchodzić powinno; nudzą więc cierpliwych słuchaczy i byle tylko w posiedzenie weszli, bez względu na okoliczności czasu, miejsca i osób, zwierzają się ze wszystkiego tego, co ich cieszy, albo dolega.

Wielorakie są reguły posiedzenia¹⁾; najpierwsza — nie być mu przykrym. Ludzie uczciwi dlatego się pospolicie wespół zgromadzają, żeby wzajemną rozmową mogli z zabawą naukę połączyć. Kto więc do ich towarzystwa przychodzi, starać się o to powinien, żeby przyłożył się z siebie, ile możliwości, do zamierzonego celu. Dajmy to, że ani zabawić, ani nauczyć nie zdoła, niechże milczy, a słucha; sposób zachowania się takowego nie jest odrażający, oznacza albowiem powolność i chęć korzystania z cudzej rozmowy.

Mówić o sobie wtenczas tylko się godzi, gdy takowe mówienie słuchającym może być użyteczne, a zbyt miłości własnej nie pochlebia. Ta ostatnia kondycja²⁾ bardzo ostrożnie nas czynić powinna. Ten, kto często o sobie gada, częściej jeszcze o sobie myśli. Zapatrywanie się ustawiczne na siebie chwalebne jest natenczas, gdy tak

¹⁾. Przepisy zachowania się w towarzystwie. ²⁾. Warunek.

się widzimy, jak jesteśmy w istocie. Znając się dobrze, mówić o sobie rzetelnie, to materyja do upokorzenia. Ale i w tém trzeba zachować miarę, żeby zbyt częste powtarzanie nie dało okazji innym do sądzenia, iż dlatego się ganimy, żeby nas chwalono.

Ignacy Krasiński. 1778.

8. O potrzebie pracy i dobrych obyczajów.

(Wyjętek z mowy do młodzieży).

Gnuśnością nikczemnieją ludzie, upadają i giną narody; pracą wszystko się utrzymuje, kwitnie i bogaci. Człowiek jestto jestestwo, opatrzone siłami, potrzebującami ciągłego ćwiczenia, jego więc pierwsza powinność — być pracowitym. Niewdrożony w młodości w pracę i refleksyją¹⁾, nieopatrzone w światło nauk, potępia się dobrowolnie na nudy dalszego życia, które są jego udręczeniem. Przeciwno tym się zapomógłszy, błogosławić będziecie w całym życiu pożytki dobrze przepędzonej młodości; jej zarobki będą jeszcze starości waszej słodkim zasileniem i pociechą. Zebranych w szkole wiadomości nie zostawiajcie w samej pamięci, ale starajcie się je ciągle rozwagać, zgłębiać, trawić i obracać na wasz osobisty pożytek, to jest, żebyście z nich wyciągali albo prawidła rozsądku, albo przepisy chwalebne go życia.

Ubiegając się za nauką, okażcie ją szanowną w waszych sprawach i postępkach, kierowanych prawidłami sprawiedliwości, cnoty i honoru. Nauka bez obyczajów jest hańbą człowieka, a klęską dla społeczności, bo wywraca porządek moralny towarzystwa, który powinna ocalać i utwierdzać. Kto się odważa na czyny, uczciwości przeciwne;

²⁾ Zastanawianie się.

kto tłumi w sobie poruszenia delikatne i szlachetne: wyzuwa się z szacunku dla samego siebie i jest potwarcą natury ludzkiej. Unikajcie takich ludzi, a spotkawszy ich, nie gorszcie się, bo gorszenie się jest skutkiem słabości, a kto się rządzi przekonaniem i początkami prawem życia, nie jest naśladowcą cudzych zdrożności. Szanujcie religiję i jej zbawienne obowiązki, jako najbezpieczniejszą warownią towarzyskiego porządku, pociechę nieszczęśliwych i skład głębokiego hołdu dla Twórcy tylu rozlicznych i zadziwiających dzieł świata, które się staracie w naukach pojąć i zrozumieć.

Jan Śniadecki. 1810.

9. O skromności.

Jakże miłą i ujmującą jest skromność! Jak zawsze prosta, cicha i niewystawna, najwdzięczniej jednak ku sobie zniewala! Bez niej inne cnoty nie mają okraszy i wdzięku. Skromny młodzian zaraz na pierwsze wejrzenie podoba się i wszystkich do siebie przyciąga; dla każdego chętny i uprzedzający, łatwo drugich do wzajemności zobowiązuje. Jego dobre chęci mile przyjmujemy za skutek; jego małowówność, milczenie, a nawet przyznanie się w czem do niewiadomości, bierzemy za rozum, podwyższając w nim wszystkie zalety, a zmniejszając wady i niedolności. Jeśli mu kiedy zdarzy się zbłądzić, jesteśmy wyrozumiali na uchybienia, wcale nie tracimy o nim nadziei, owszem myślimy, że mu to nadal za dobrą posłuży przestrogę.

Jednakże i skromność powinna być w pewnej mierze; gdy ta jest zbyt dużą, lub nie w swoim miejscu, prędko się wyradza w nieśmiałość, lub dzikość. Ztąd pochodzi ciągle jakaś niepewność i wahanie się w zamiarach, nawet pięknych i pożytecznych; ztąd unikanie wszelkiego towa-

rzystwa, a tém samém utrata wielu zabopólnych pożytków i przyjemności życia społecznego.

Pilnie przypatruj się, mój synu, ludziom dobrze wychowanym, jak oni umieją szlachetną śmiałość ze skromnością pogodzić; jak potrafią przyjemnie zająć i zabawić, bez okazania w sobie najmniejszej próżności i chluby; jak są szczerzy i otwarci, a razem roztropni i przezorni na wszystko. W nich znajdziesz dla siebie najlepszy wzór postępowania; tego wzoru ściśle trzymać się powinien, jeżeli się nie chcesz często narazić na błędy i uchybienia, które ci mogą nazawsze zamknąć drogę do pozyskania sobie miłości i szacunku u ludzi.

Teodozy Sierociński. 1830.

10. O potrzebie samodzielnego sądu.

Nie tylko w rzeczach sztuki lub nauki, ludzie lubią puszczać sąd swój, ścieżką, utartą przez innych, ale tam nawet, gdzie serce powinno by mieć głos wyłączny, a własny rozum — być jedynym świecznikiem, wolą się opierać na opinii, już uznanęj.

Często chwałę, lub ganią kogo namiętnie. Ta pochwała, lub nagana, przechodząc z ust do ust, olbrzymieje i staje się jednem echem, brzmieniem na wszystkie strony. Ale jeżeli kto nie chce być powtórzyicielem echa, tylko radby zbadać podstawę sądu, trafi się nieraz, że nikt nie jest w stanie objaśnić, z kąd powstała opinia, która potępiła lub wywyższyła, dla braku faktów.

Większość lubi iść ścieżką utartą, przyjmować zdania gotowe, nie zadając sobie trudu wyrabiania własnego sądu. Ileż niesprawiedliwości, ileż nieszczęść wyrodziła ta płochość sądu, ta opieszałość w oczyszczaniu opinii od fałszywych wpływów, wyrobionych zapatrywaniem się stronnem, biorącem za punkt widzenia tylko interes osobisty i stosunki od niego zależne.

Póki człowiek nie jest w stanie usprawiedliwić przed sobą własnych wyroków, opierając się na zasadzie pewnej, póty, jak dziecko, będzie igraszką namiętności cudzych, lub własnych; nie będzie w stanie odróżnić ludzi złych od dobrych, ani przyjaciół od nieprzyjaciół.

Ewa Felińska. 1843.

II. HISTORYJA LITERATURY.

A). ŻYCIORYSY I CHARAKTERYSTYKI.

1. Mikołaj Rej.

Mikołaj Rej pochodził z Krakowskiego, od dzieciństwa zaś hodował się w Galicyi, czyli na Rusi Czerwonej, i, jak się zdaje, mówił za młodu polszczyzną ruską, ale razem miał korzyść żyć pomiędzy najpoetyczniejszym, najmuzykalniejszym ludem sławiańskim, gdzie też nabrał smaku do poezyi i muzyki, a przytém przeniknął się tym tonem popularnym i tą prostotą, jakie nade wszystko odznaczają jego pisma.

Jedyną szkołą dla ówczesnej młodzieży była akademija Krakowska, ale ojciec Mikołaja Reja tak kochał swego jedynaka, iż w żaden sposób nie chciał z nim się rozstać, i chował go przy sobie na wsi. Młody Rej bujał po lasach i łąkach nad Dniestrem, słynąc w okolicy, jako zawołany myśliwy i rybak. Bijograf jego¹⁾ powiada, że zawsze wracał do domu tak obładowany zdobyczą myślistwa i rybołówstwa, że, byle wstrząsnąć jego odzienie,

²⁾ Andrzej Trzeciecki, współczesny Rejowi.

zawszad sypało się mnóstwo rozmaitego rodzaju ryb, ptactwa i zwierzyny. Powszechnie postrzegano w nim niepospolite zdolności i każdy mawiał, że z tego chłopca byłby nielada człowiek, gdyby mu dano wychowanie. Ojciec skłonił się nakoniec wyprawić go do szkoły, a gdy to pokazało się rzeczą już zapóźną, bo, skosztowawszy swobody życia, żadną miarą nie chciał uczyć się niczego, umyślił oddać go na dwór jakiego pana i w tym celu kupił mu kitajki karmazynowej na kabat. Nim jednak uszyto suknię, Mikołaj, jak pisze jego bijograf, pokrajał kitajkę w kawalki i bawił się, robiąc z nich czerwone proporczyki, które przyczepiał do szyi i skrzydeł łapanym wronom. Musiano tedy nową wyprawę z Krakowa sprowadzić.

Wojewoda, którego ojciec Reja wybrał mu na politycznego i moralnego przewodnika, był człowiek rozumny, potrafił poznać i ocenić zdolności młodzieńca. Rej wyuczył się u niego pisać po polsku i układać listy. Mieszkając zaś w Krakowie, gdzie, około świetnego naówczas dworu królewskiego, snuło się mnóstwo cudzoziemców, mówiono rozmaitemi językami obcemi, gadano o wszystkiém, co działo się w Europie, puszczano z rąk do rąk najnowsze i najciekawsze książki, uczuł wielką chęć oświecenia się i tak szczerze wziął się do łaciny, że wkrótce mógł już czytać rozprawy teologiczne i polemiczne¹⁾, do czego zresztą nie trzeba było wielkiej umiejętności filologicznej, bo o tych rzeczach słyszał ciągle. Tym sposobem z nieuka wyszedł sam na pisarza.

Rej dał się naprzód poznać z pism religijnych, z psalmów; później zwrócił na się uwagę dworu i szlachty przez swoje pisma polemiczne. Jako poeta, Rej był bardzo mierny, zgoła nawet nie miał usposobienia poetyckiego; daleko znakomitsze zajmuje miejsce, jako pisarz prozą.

Adam Mickiewicz. 1841.

¹⁾ Przedmiotem rozpraw teologicznych jest religija, a polemicznych — spory o różne mniemania.

2. Piotr Skarga.

Sławny ten kaznodzieja i pisarz urodził się w roku 1536. Rodzinne jego nazwisko było Pawęzki; dziad Piotra, doznając krzywd ciężkich, gdy się często przed Januszem, ostatnim z książąt mazowieckich, skarżył, taką raz otrzymał odpowiedź: »Wszystko się uskarżasz, miły Pawęzki; moglibyśmy cię Skargą nazwać«. Tak więc Pawęzki dostał Skargi przydomek, a nasz kaznodzieja, opuściwszy rodu swego nazwisko, Skargą się tylko podpisywał.

Początkowe nauki pobięrał w Gródku Mazowieckim; w 17 roku życia wszedł do akademii Krakowskiej. W roku 1563 wstąpił do stanu duchownego, otrzymał probostwo Rohatyńskie i kanoniją Lwowską. Za powrotem z Rzymu w 1571 roku, wstąpił do zakonu Jezuitów. Przy Zygmuncie III przez lat 25 pełnił obowiązki nadwornego kaznodziei. Umarł dnia 26 Września 1612 roku, przeżywszy lat 76; pochowany w kościele świętego Piotra w Krakowie.

Ze wszystkich kaznodziejów, opowiadaczy słowa bożego, Skarga wzniósł się najwyżej nie tylko prostotą, a wzniosłością wymowy, ale tak cudnym językiem, że dziś jeszcze pozostał dla piszących wzorem. Jemu też polska mowa bardzo wiele winna. Za życia Skargi była moda pisania po łacinie. Gdy naszemu kaznodziei radzono, aby w tym języku pisał, czémby sobie za granicą u obcych narodów sławę zjednał, te słowa, godne pamięci, wyrzekł: »język łaciński już jest stary i od wieku wieków dojrzały; nasz, młody, ukształcenia potrzebuje«.

Ktokolwiek wszedł do jego izby, dziwił się, że tak ubogie było łóżko, stoły i wszelkie sprzęty, a gdy mu mówiono, że nie takie powinien mieć kaznodzieja królewski mieszkanie, »ale takie — ubogi zakonnik«, odpowiadał z pokorą Skarga.

Dla ubogich był opiekunem i ojcem; w Krakowie założył, celem ich wsparcia, zakład miłosierny.

W kazaniach swoich nie żałował słów prawdy; złe w narodzie, jak wady, zbytki i występki, karcił publicznie, nie oglądając się ani na wielkość panów, ani na ich znaczenie. Nigdy ust świątobliwego męża nie splamiło nikczemne pochlebstwo, lub podła bojaźń. Jakże wymownie opowiada wielkość Boga i nieustającą jego dobroć i hojność:

»Mała radość i wielka omyłka, gdy dufamy ludziom, którzy wyrwać nas ze wszystkich przygód nie mogą; wszystkiej ziemi król dęszczy nam nie da, abyśmy głodem nie umierali, wojska nieprzyjacielskiego powietrzem i niepogodą nie zarazi, w pól morza tonących nie wyrwie, wodom w górę się podnieść i jako mury stanąć nie rozkaże, chleba na ludek zgłodzony nie rozmnoży. Nie taki jest Bóg nasz, nie tak mała i skrócona moc Jego; to wszystko czynił i czynić może, i nie Mu nie jest niepodobnego. I wielki, a wielkości Jego końca nie masz; prze-możny, a mocy Jego żadna trudność i niepodobność nie mierzy. Błogosławiony, który takiego Pana ma i takiemu dufa. Błogosławiony lud, co ma takiego Boga, a nadzieja jego w tym, który stworzył niebo, ziemię, morze i wszystko, co w nich jest; który tém, co stworzył, sam władnie i temu rozkazuje. I to Go wszystko słucha, a on to trzyma, odmienia, niszczy, naprawia, rządzi, jako mu się podobna. Nie jeden czas, ani na rok, ani na tysiąc lat, ale wiecznie i zawsze Bóg dzieci swoje słucha i wspomaga. Moc jego nie starzeje się, zawsze jednako kwitnie w Nim, zawsze siła Jego potężna jest na pomoc naszą. Dobroć jego, od narodu do narodu, nigdy się sobie uprzykrzyć nie da, nigdy nas sobie nie omierzi, nigdy się nie odmieni; zawsze dobry; na wieki trwa miłosierdzie Jego nad nami. Skarb Jego darów przebrany nie jest; nie mają

końca bogactwa Jego, nigdy ich nie zabierzem. Ojcowska miłość Jego ku dzieciom nigdy się nie mieni; szczodrobliwa ręka Jego nigdy się ani kurczy, ani zamyka; od roku do roku, aż na wieki, pomoc daje tym, którzy nadzieję w Nim mają».

Gdy raz na rozrzutność i zbytki z ogniem i wymownie powstawał, synowiec tego, od którego ukrócenie tych nadużyć zależało, zaczaiwszy się na wracającego do domu kapłana, wyciął mu policzek. Na tę obelgę Skarga odpowiedział: »Jeżelim źle mówił, daj świadectwo o złém«. Król Zygmunt III, dowiedziawszy się o zniewadze, swemu kaznodziei wyrządzonej, hardego młodzieńca na śmierć skazał; Skarga, niepomny urazy, wyprosił mu życie.

Styrany pracą, zaszły w wiek sędziwy, jakby przeczuwając śmierć bliską, porzucił dwór królewski, który drżał nieraz, gdy Skarga, wszedłszy na ambonę, wymownie gromił każde złe. Zamknął się w celi zakonnej w Krakowie i w niej, po trzech miesiącach spoczynku, umarł. Przy ostatnich chwilach jego życia nie odstępował go kapłan, znakomity kaznodzieja, Fabijan Birkowski, który go czcił, szanował, jak ojca, i uczył pamięć jego wyborném kazaniem; w niem te słowa prawdy o zmarłym Skardze wyrzekł:

»Nie rychło takiego kaznodzieję Polska nasza zobaczy, który serca ludzkie trzymał w ręku swych i obracał niemi, kędy chciał, przez dziwną, a jemu tylko daną wymowę«.

Oprócz kazań, pozostawił księgę *Żywotów świętych starego i nowego testamentu*, którą pobożni do dziś dnia z wielkim odczytują pożytkiem.

Kaź. Wład. Wójciaki. 1859.

3. Adam Mickiewicz.

Adam Mickiewicz urodził się we wsi Osowcu, pod Nowogródkiem na Litwie, w samą wilią Bożego Narodzenia 1798 roku. Po skończeniu uniwersytetu w Wilnie, był nauczycielem w szkole powiatowej w Kownie i tam pisał pierwsze swoje nieśmiertelne utwory, rozkoszując się wdziękami doliny nad Wilią, która do dziś dnia na cześć jego nazywa się doliną Mickiewicza. Jedną z najpięrszych jego poezyj, po balladach, było *Pożegnanie Child¹⁾ Harolda z Bajrona²⁾*, arcy-dzieło języka. Stworzył tutaj następnie *Dziady*, wyraźne, chociaż wspaniałe naśladowanie Szyllera i Getego³⁾, wreszcie *Grażynę*, gdzie w cudnych zarysach malował obrazy starodawniej Litwy. Mickiewicza długo od tego poematu przezywano tylko po prostu autorem *Grażyny*. Obok niej, narodowością pocucia odznaczają się tylko dwie jego ballady: *Czaty* i *Trzech Budrysów*. W ogóle w tym okresie wielki poeta wiele naśladował i czasem tylko, niby w natchnieniu poetyckim, prorokował o narodowej przeszłości. Pierwszy zbiór poezyj Adama wyszedł w Wilnie, w dwóch tomach, 1822 roku. W dwa lata później Mickiewicz posłany został do Odessy, na profesora do liceum Ryszelijskiego, ale nie pełnił tutaj żadnych obowiązków. Zwiędził następnie Krym; tam napisał wspaniałe swoje *Sonety Krymskie* i zaszczerpił znowu oryentalizm w naszej poezji, bo, jako dusza przedsiębiorcza, a serce poetyczne, gonil wciąż za wrażeniami i nowością i ciągnął poza sobą tłum swawolny, naśladowniczy. Wreszcie, uzyskawszy na to stosowne pozwolenie, przez Moskwę udał się do Petersburga, gdzie go już poprzedziła

¹⁾ Wymawia się: Czajld. ²⁾ Poeta angielski. ³⁾ Szyller i Gete — najznakomitsi poeci niemieccy.

śława znakomitego poety. Był tam celem powszechnego entuzjazmu literatów polskich i rosyjskich. Puszkina oddawał mu publiczny hołd uwielbienia, a był to największy poeta rosyjski. W Moskwie ogłosił sonety, w Petersburgu skończył i wydał *Konrada Wallenroda*, w powtórny już zbiorze swoich poezyj, w 1829 roku. Konrad jest wspaniałym poematem. Przed nim nic jeszcze takiego nie miała literatura polska. Są tam błędy historyczne i wykroczenia względem prawdy: obraz dawniej Litwy, z końca XIV wieku, nie wystudjowany w źródłach, ale nakreślony z natchnienia, nie jest malowidłem historycznym, ale całość, mimo wszystkie strony ujemne poematu, jest tam pełna myśli i zapału, a zhołduje każdego najprzecudniejszym językiem. Konrad nie jest arcydziełem poezji narodowej, ale jest zawsze arcydziełem poezji. Nie poeta opowiada tam dzieje Konrada i Aldony, ale w poemacie widzimy grzmot potęgi i siły; nic wspanialszego nad pojedyncze ustępy, nad śpiew wajdeloty, nad rozmowę Konrada z Aldoną. Wszystko to są piękności i każda w swoim rodzaju. Taki poemat obudza zapał, kształci pokolenia. Mickiewicz ciągle rosł, ale Konradem stanął jak tylko można było najwyżej.

Od 1829 roku Mickiewicz podróżował za granicą. Odwiedził w Niemczech Getego, bawił długo we Włoszech, najmiliej czas przepędzał w Rzymie, razem z Odyńcem. Wśród ruin wielkiej przeszłości czytywał Liwijusza ¹⁾ w oryginale i często całe mowy deklamował po polsku, tłumaczając je od razu. Nie napisał Mickiewicz ani jednego wierszyka w Rzymie, bo, w obec wielkich arcydzieł sztuki, w obec samej historii tylu wieków, cały był w podziwieniu i uniesieniu. Dopiero w Neapolu przetłumaczył wierszyk Getego: »Znaszli ten kraj« i t. d. Grono rodaków zawsze

¹⁾ Liwiusz — historyk rzymski.

go otaczało. Był w Rzymie obok niego i Stefan Garczyński, którego poznał w Berlinie. Wszyscy wielbili wieszczka. Spotkał w Rzymie dawną znajomość z arystokratycznego kółka Petersburgskiego, księżnę Zeneidę Wołkońską, i w jej domu znalazł wiele przyjemności, wiele uroku życia. Na wiosnę puszczał się wieszcz na wycieczki do Szwajcaryi i zwiędzał w różnych kierunkach Włochy. Na zimę znowu powrócił do Rzymu, gdzie wszedł w bliskie stosunki z ks. Chołoniewskim i z Henrykiem Rzewuskim. Długi pobyt w Rzymie wiele odmienił wyobrażenia naszego wieszczka, a i talent jego dojrzał. Rzewuski cudownie opowiadał o niedawno ubiegłej przeszłości Stanisławowskiiej i dawniejszej jeszcze Saskiej; umiał tak wiele, pamiętał tyle zdarzeń! Adam przypominał sobie własne rodzinne podania... i ideał *Soplicy* był już gotów. Z niego utworzył wieszcz wspaniały poemat o *panu Tadeuszu*, w którym opisał ostatni zajazd szlachecki na Litwie. Jest to arcydzieło literatury polskiej i europejskiej, poemat, opisujący życie Litwy przed i w czasie wkroczenia do niej Napoleona w 1812 roku. Wieszcz wydał następnie kilka ulotnych rzeczy, jak *Giaura*, tłumaczenie z Bajrona, i wiele innych drobniejszych poezyj, małych arcydzieł, pełnych to ognia, to tęsknoty serdecznej.

W 1834 roku ożenił się z panną Celiną Szymanowską, córką sławniej w Europie fortepijanistki; poznał ją dzieckiem jeszcze w Petersburgu. Odtąd muza wieszczka zamiliła na zawsze; Mickiewicz popisywał się tylko z wymową, w 1839 roku albowiem został profesorem literatury starożytnej, w akademii Lozańskiej w Szwajcaryi (nominacja w Marcu 1840 roku). Roku nie bawił w Lozannie. Gdy Cousin, minister oświecenia we Francyi, dźwignął w kolegium francuzkiem katedrę literatur słowiańskich, wieszcz nasz, którego dzieła znała już wtedy Europa i o którego stanowisku w literaturze ogólnej pisała znakomita pani

Dudevant (George Sand), został profesorem w Paryżu, w Collège de France. Zapał dla jego wykładu rosł przez dwa lata, lecz potem słabnąć zaczął, gdy Mickiewicz został opłatany w marzenia mistyczne. Obłęd był zupełny. Poeta, zawsze rozmiłowany w Napoleonie, z nową wiarą swoją połączył entuzjazm dla bonapartyzmu: wielkiego człowieka wynosił pod niebiosy, tłumaczył zabory jego i politykę, wywoływał następcę Cezarowi. Głos wieszcz, jak w wielu razach, tak i teraz, był proroczy, ale koniec końcem Mickiewicz zgubił swój wykład i siebie, bo Ludwik Filip, przez niechęć do bonapartyzmu, oddalił wieszczę od katedry, a miał do tego sprawiedliwy pozór w egzaltacjach¹⁾ poety. Ideja, którą rozwijał Mickiewicz, zwała się ideją messyjanizmu. Opamiętał się nasz wieszcz za Cezara, którego przepowiedział, i za Napoleona III został bibliotekarzem arsenału w 1852 roku, ale już wtedy dochodził kresu swojej pielgrzymki ziemskiej. Na początku 1855 roku zmarła mu żona, więc, zdręczony, puścił się w podróż do Carogrodu, na wschód słowiański do Turcji. Bywał w obozach, zwiędzał doliny Bulgarii; zdawało się, że odżył i że duch dawny w nim wskrzeszenie, ale nagle śmierć przysła i pozbawiła Polskę, w Carogrodzie, 28 Listopada 1855 roku, największego wieszczę, jakiego miała w przeciągu wieków tyłu. »Co mąż ten dokonał w swoim wieszczym zawodzie,« mówi o nim Lucyjan Siemieński, »co mógł dokonać, jak daleko sięgnął wpływem, jakie kierunki stworzył, jaki świat wychował, będzie to zapewne przedmiotem szerokich badań i wywodów. Tego rodzaju bogactwo dostarczają zazwyczaj strawy całemu pokoleniu, które ich przed sąd swój, na podziw, lub potępienie, pozywa.«

Julijan Bartoszewicz. 1861.

¹⁾ W unoszeniach się.

4. Aleksander Puszkina.

Puszkina urodził się d. 26 Maja 1799 roku. Pierwsze nauki pobiął w domu ojca, a w r. 1811 wstąpił do liceum w Carskim Siele, gdzie już zajmował się gorliwie czytaniem utworów literackich i próbował swych sił poetyckich. Ukończywszy kurs nauk w r. 1817, wstąpił do kolegium zagranicznego, gdzie pozostawał trzy lata, rzucając się jednocześnie w wir zabaw stołecznych. W tym czasie napisał poemat bohaterski p. t. *Rusłan i Ludmiła*. Następnie z Petersburga udał się do Kiszeniewa, gdzie otrzymał posadę w kancelarii namiestnika bessarabskiego, a później w biurze hrabiego Woroncowa, ówczesnego gubernatora odeskiego. Kiedy jednak w napadzie młodzieńczej swawoli napisał (w r. 1824) na swojego zwierzchnika poemat satyryczny, kazano mu osiąść w dziedzicznej wiosce, w Pskowskiej gubernii. Podczas pięcioletniego pobytu w Rosyi południowej, którą starał się zbadać w licznych wycieczkach, znalazł jeszcze dosyć wolnego czasu do nauczenia się języków włoskiego i hiszpańskiego; studyjował przytęm Bajrona, którego wpływ, przeważnie w owej epoce panujący, na pierwszy też rzut oka występuje w ówczesnych poezjach Puszkina, mianowicie w jego *Jęńcu kaukazkim*, w *Wodotrysku baczysarajskim* i we wstępie do wiérzowanej powieści p. t. *Eugenijusz Onegin*. Ostatni ten utwór, któremu rzeczywista terażniejszość dostarczyła treści, wzory romantyczne — formy, a wysoki talent poetyczny — wartości i blasku... dostąpił w całym kraju niezmiernego uznania i dziś jeszcze uchodzi za najwierniejsze odbicie życia ruskiego. Otrzymałszy wkrótce pozwolenie powrotu do stolicy, Puszkina powtórnie wstąpił do kolegium zagranicznego i do r. 1831 przebywał kolejno to w Petersburgu, to w Moskwie. Między innemi ogłoszone

zostały drukiem: *Cyganie*, *hrabia Nulin*, *Poltawa*, *Angelo*, *Domek w Kolomnie*, powieści prozą, które wydawał pod pseudonimem *Iwana Bielkina*, oraz kilka pomniejszych poezyj i utworów dramatyczny p. t. *Borys Godunów*. W 1831 r. Puszkina osiadł stale w Petersburgu, gdzie zrazu zaczął pracować nad historią Piotra Wielkiego. Owocem innych jego studyjów nad dziejami ruskimi była między innymi *Historja spisku Pugaczewa*. Jego nowella *Dama pikowa* wyszła w Bibliotece do czytania, a *Córka kapitana* w *So-wremienniku*, którego to ostatniego czasopisma sam w r. 1836 był założycielem. Z innych licznych pism jego wymieniamy jeszcze *Podróż do Erzerum*, sceny dramatyczne z *Fausta*, *Uczę podczas zarazy morowej*, *Mozart* i *Salieri*, oraz *Skąpy rycerz*. Puszkina umarł 10 Lutego 1837 r. w skutek pojedynku, odbytego z urzędnikiem ambasady francuskiej.

Fr. Henryk Lewestam. 1866.

5. Jan Goethe.

Jan Wolfgang Gete (Goethe) urodził się d. 28 Sierpnia 1749 roku, w Frankfurcie nad Menem, z dosyć zamożnych rodziców miejskiego stanu. Od urodzenia aż do śmierci zawsze mu pomyślna gwiazda świeciła. Ojciec jego, miłośnik nauk i sztuk, całełożył usiłowanie ku najlepszej edukacji syna, od dzieciństwa wiele wrózącego; matka, pełna rozsądku i czułości, wychowała go starannie i rozwinęła w nim serca przymioty. Należał do najpięrszych odnowicieli smaku w Niemczech i ostatni z nich umarł, kochany za młodu, szanowany na starość, a zawsze cel uwielbienia swych ziomków. Ukończywszy nauki prawa w Frankfurcie, udał się do Lipska, odbył różne podróże, a w r. 1767 zamieszkał w Wejmarze, gdzie, przez księcia Karola Augusta szlachectwem i dostojnościami

obdarzony, ciągle zostawał, i, jako piérwszy w księztwie minister, roku 1832 dnia 22 Marca, mając lat 83, czynne, szczęśliwe i pełne chwały życie zakończył.

Gete w młodym wieku był nadzwyczaj piękny, czerstwy i rośły. Cała postać i rysy twarzy okazywały człowieka niezwykajnego. Gdy miał lat 25, pisał o nim uczony Heinse z Düsseldorfu: »Był téż u nas Goethe; od stóp do głów widać w nim genijusz, moc i śmiałość; serce pełne czucia, umysł pełen ognia z orlemy skrzydłami.«

Szczęściem było dla Getego i w ogóle dla literatury niemieckiej, iż osiadł w Wejmarze, które to miasto słuszenie odtąd nowemi Atenami nazwano. Dwór Wejmarski wślawił się tyle przez nauki, jak inne — przez potęgę. Tam Gete, oprócz towarzystwa Herdera, Szyllera, Wielanda, J. P. Rychtera i wielu innych, miał u dworu wszystko, czego mógł do naukowego życia zażądać.

Gete należy do najpiérwszych genijuszów zeszłego i naszego wieku. Przeszło 60 lat cieszył się sławą, prawie co rok powszechniejszą, i zapalem, jaki każdy nowy jego utwór wznicał między jego ziomkami. Nié masz prawie rodzaju poezyi, w którymby nie cęlował. Jeżeli jedném pismem powszechnie obudził naśladownictwo, wnet drugiem wskazał drogę zupełnie nową i tak następnie, że wszystkich zmordował, a na żadnej doścignąć się nie dał. Ztąd zadziwia w nim naprzód rozmaitość utworów, iż zdaje się, że każdy z nich inna muza, innego człowieka, w innym wieku natchnęła. Człowiekiem XVIII wieku jest w Werterze i w Wilhelmie Majster, w każdym zupełnie odrębnego ducha; dawnym Niemcem — w Götz z Berlichingen, Grekiem — w Ifigenii; Rzymianinem — w Elegijach, Włochem — w Tassie, Persem — w Dywanie, Słowianinem — w pieśniach, popularnym i narodowym filozofem — w Fauście, ideałem homerycznej patryjarchalności — w Hermanie i Dorotei i t. d. Jeżeli pisarze zeszłego wieku obierali

sobie za cel, bądź w złych, bądź w dobrych zamiarach, dążenie ku pewnemu celowi, ku czemu sztuka tylko środkiem bywała, Getego jedynym zajęciem była sztuka i sztuka celem samej sobie. Przedmiot z siebie obojętny, najmniejszy szczegół, umiał, przez artystowskie wykończenie, zajmującym uczynić; podobnie z równym pokojem i łatwością oddawał największe burze, namiętności, najwznioślejsze przedmioty, tajemnice natury i człowieka. Wznosił rzeczy małe, a wielkie dostępnymi czynił. Był w całym znaczeniu wyrazu artystą, i więcej zasługuje na podziw, jako artysta, niżeli jako genjusz. Kraina sztuki była jego jedyną ojczyzną; dla niej tylko czuł i myślał; jęj znajomość i doskonałość była mu celem; nie zamierzał w szczególności przez swoje utwory wpływać na ten, lub ów kierunek społeczności, lecz w ogóle znajomość i zamiłowanie sztuki uważał za mniej nagły i uderzający, ale pewny sposób uzacnienia ludzi, do którego prowadzi czucie piękności, miary, taktu i przyzwoitości. Pod temi względami stoi on zupełnie odosobniony od wszystkich społecznych; z tego stanowiska tylko, jako artysta, zajmuje się światem i życiem społecznym, obojętny i bezwzględny nawet na wszystko, co go jako artysty nie dotyczy. Wszystkie dzieła jego zdają się być owocem głębokiego pokoju wewnątrz i zewnątrz. Ciekawy do wszystkiego, zawsze zajęty, chciwy plonów dla sztuki, nie widział i nie czuł, w jakiej burzy wiek jego przepływał; odegrał długą i świetną rolę, do jakiej natura go przeznaczyła. Kto w nim czegoś więcej, niż artysty, szuka, będzie mu miał wiele do powiedzenia, ale, pod względem sztuki, będzie Gete dla każdego podziwem i szkołą niewyczerpaną.

Kazimiérz Brodziński.

6. Gustaw Zieliński.

Gustaw Zieliński urodził się dnia 1 Stycznia 1809 r. w Markowicach, wiosce, położonej w powiecie Inowrocławskim, do departamentu Bydgoskiego należącym. Początkowe nauki do roku 1817 pobiierał w Toruniu; następnie kształcił się, to w liceum Warszawskim, to w szkole księży Pijarów, to wreszcie w szkole wojewódzkiej Płockiej, zkąd w roku 1827 przeniósł się do uniwersytetu Warszawskiego, na wydział prawa i administracji, który w roku 1830 zupełnie ukończył. Wychowanie Gustawa przypadło na czasy najświetniejsze dla literatury krajowej, na czasy największego ruchu i najwyższych talentów, czynem reformujących zastałość pojęć osiemnastego wieku. Mickiewicz, Zaleski, Goszczyński, idąc odważnie drogą samodzielných natchnień i »potrząsając po niej nowości kwiatem,« pociągali za sobą umysły młodzieży. Pod takim wpływem zbudziły się i rozwijały poetyczne zdolności Gustawa. W szkołach jeszcze będąc, próbował sił swoich w drobnego rodzaju wiérzszach, romantycznego kroju, nie dał się jednak uwięzić ani zwyczajnej w tym razie miłości własnej, ani pochwałom nauczycieli, i wszystkie swoje początkowe elukubracyje pozostawił w tece, jako plody umysłu niedoświadczzonego i niewykształconego nauką. Dopiero po skończeniu uniwersytetu i po powrocie z chwilowej do Prus wycieczki, w roku 1832 rozpoczął poważne studia literackie, zagłębił się mianowicie w literaturę niemiecką; rozmiłowany w Szyllerze, tłómaczył z niego rozmaite ustępy, a praca ta rozbudziła w nim nanowo poczucie sił własnych i potrzebę ich użycia. Wziął się więc do napisania historycznego dramatu, którego bohaterem miał być *Zbigniew*; wykończył tę pracę, ale nie uznał jęj godną publicznego widoku i jedną tylko scenę zamieścił w Biblijotece Warszawskiej, znacznie później, bo dopiero

w 1843 roku. Fantazyja dramatyczna, mająca za przedmiot Twardowskiego, pięknym wierszem napisana i w wielu miejscach poetyczna, jednak rozmija się z tradycją.

Gustaw Zieliński, zrzekłszy się dramatu, pozostał wyłącznie przy lirycznej formie, która lepiej zgadzała się z jego poetyckim usposobieniem. Zbiór *drobnych poezyj*, obok tu i owdzie napotykanym kommunalów, lub obojętnego kierunku rzeczy, mieści wiele prawdziwego zapału, myśli niezużytych i wyobraża serce, skłonne do szlachetnych wrażeń, umysł wyższy, obdarzony zdolnością komunikowania w sobie wyrobionych pojęć, pomimo że dykcya Zielińskiego nie zaleca się należyta starannością i nie osiąga na rzecz poetyckiego efektu tych korzyści, jakie zapewnia piszącemu umiejętne użycie słowa.

Najznakomitszymi wszakże utworami Zielińskiego są: *Stepy i Kirgiz*. W Stepach poeta jest więcej sprawozdawcą wrażeń, od natury saméj otrzymanych, nie ogranicza się jednak na prostym opisie, ale każdy szczegół przeprowadza przez myśl swą indywidualną, tak, iż w opisie tym widzimy i obraz i malarza razem; poza talentem poetycznym dostrzegamy charakter. Ta myśl jego jest ogniwem, wiążącym mnóstwo drobnych delikatnych punktów, z których opis jest złożony, i onato stanowi rzeczywisty interes poematu, który, bez tego podmiotowego zasilenia, byłby tylko artykułem topograficznym. Poemat ten nie wypełnia jeszcze obrazu, który autor chciał dać pod nazwaniem Stepów; jestto tylko pewna summa pomieszanych wrażeń, schwyconych w rozpędzie konia i przy chwilowym spoczynku. Jeżeli Stepy ograniczają się głównie do natury, za to Kirgiz przedstawia już więcej człowieka i życie. Przedmiot, bogatszy sam z siebie, sympatyczniejszy dla czytelnika, autor, wykonął z pocuciem, godnym pierwszorzędnej artysty. Kirgiz to najwyższy, nie powiadamy jedyny, tytuł Zielińskiego do literackiego panteonu. Prze-

ślicznej osnowie tego poematu nie wystarcza jednak forma, w części liryczna, w części opowiadawcza, w jaką przyoblekł go autor; stracony to poniekąd materiał, z którego, przy stosowném podniesieniu charakterów, powstać by mogły postacie tragedyi, pod pewnym względem do greckich zbliżone. Tu przesunęły się one tylko leciuchno po strunach liry, ale dźwięki wydały serdeczne, poetyczne prawdziwie. Nad całym poematem ciąży upał stepowy; dzikie i wrzące namietności wypowiadają się słowem gorącym i pełnym, a obrazy obyczajowe jaśnieją powabnym kolorytem, który uwydatnia głównie gościnność, cnota zarówno patryjarchy, jak rozbójnika.

Kazimierz Kaszewski. 1861.

B). ROZPRAWY I RECENZYE.

1. Pentateuch.

Pentateuch ¹⁾ czyli tora, stanowi jedną nierozdzielną całość. Te pięć ksiąg Mojżesza mają następujące nazwy grecko-lacińskie, powszechnie przyjęte: Genesis, Exodus, Leviticus, Numeri i Deuteronomium. Piérwsza księga *Genesis*, czyli księga *rodzaju*, obejmuje wszystkie początki: początek świata, człowieka, początek złego na ziemi, początek ludu wybranego, a nawet innych narodów. Co się tyczy kosmogonii ²⁾, tam rozwiniętej, czémże są w porównaniu kosmogonije Hindusów, Greków, Skandynawów, takie zmaćcone, powikłane, takie niepewne w swoich twierdzeniach, a tak zasiane dziecinnymi baśniami i jałowemi subtelnościami! W Genezie nie wiele jest słów, ale dobitnych i ścisłych, czysto stawiających główny dogmat o Bogu

¹⁾ *Pentateuch*, wyraz grecki, złożony z *pente* = pięć i *teuchos* = księga, znaczy pięcioksiąg. ²⁾ Kosmogonija — nauka o stworzeniu świata.

Stworzycielu, źródle wszystkiego istnienia. Reszta oddana jest w niewielu słowach głębokich i tajemniczych: ziemia niekształtna, pusta i próżna, ciemności leżące na głębiach, duch boży unoszący się nad wodami, a naraz szczytny ów wiersh: »Bóg rzekł: niech się stanie światłość, i stała się światłość.« Potém następuje stworzenie mężczyzny i niewiasty, ich grzech, kara i daleka obietnica odkupienia. Dzieje rodzaju ludzkiego, od upadku Adama do chwili, kiedy Bóg powołał Abrahama, odróżniają się zwięzłością, powagą i żywą prostotą, od tysiącznych bajek mitologicznych o bogach i boginiach, napełniających tradycje innych ludów. Z powołaniem Abrahama zaczynają się właściwe podania narodu Izraelskiego. Odtąd styl historyczny rośnie i rozpięra się w malowidłach pasterskiego życia patryjarchów. Opowieści są dłuższe i więcej szczegółowe; osoby, miejsca i obyczaje dokładniej kręslone.

Inne cztery księgi zamieszczają opis czynów Mojżesza, któremu Bóg kazał wywieść lud z ziemi egipskiej, dać mu prawa i, wśród ciężkich doświadczeń i niedostatków na pustyni, wyrobić w nim żelazny temperament, sposobny do długich zapasów z ludźmi i wypadkami. Barwa *Exodu*¹⁾ — zupełnie inna, niż *Genezy*. Nie ma tu już uroczych widoków chananejskich, ani wdzięcznych malowideł patryjarchalnego życia; natomiast — Egipt, dom niewoli; natomiast — pustynie Arabii piaszczyste i skaliste. Naród, ukochany od Pana, stał się ludem niewolników zmysłowych, nieokrzesanych, ciemnych i upartych. Coraz to ponurzej i ciemniej. Sam Bóg odwraca od nich oblicze i tylko przez pośrednika chce znosić się z niemi. Tym pośrednikiem jest dziecko, cudownie ocalone na Nilu, jest Mojżesz.

W *Lewityku*, téj księdze kapłańskiej, znajdujemy nie tylko przepisy obrzędowe, ustawy ofiarne, ale i urzą-

¹⁾ *Exodus* t. j. księga wyjścia (z Egiptu).

dzenie izraelskiego kapłaństwa. Jest ono dziedziczne w jednym pokoleniu, lecz tém się różni od kast kapłańskich u pogan, że nie trzymając w swych rękach monopolu dogmatu, nie ma tajemnic, ani sztucznych oszukaństw; zresztą, stojąc na straży ksiąg świętych, winno tłumaczyć je wszystkim wiernym, albowiem »wszystek Izrael jest ludem kapłańskim.«

Księgi *Numeri*, tak nazwane od liczby i spisu synów Izraelowych, umieszczonego na początku, odnoszą się do 39-u lat, które Izrael przebył na pustyni, będąc prowadzony od miejsca do miejsca przez słup idącego przed nim obłoku. Były to czasy twardych doświadczeń, cierpień, szemrań, buntów, ze wszystkimi następstwami kary.

Deuteronomium, czyli powtórzony zakon, zawiera ostatnie nauki, dane przez Mojżesza wybranemu ludowi; jest to jakby testament wielkiego człowieka. Zebrawszy w krótkich wyrazach wszystkie dobrodziejstwa Jehowy, cuda, jakie pokazał nad ludem, dodaje do dawnych ustaw niektóre nowe przepisy, poczem, pokazawszy braciom swym, co ich czeka, jeżeli pozostaną wierni, lub nieposłuszni, odnawia uroczyste przymierze, uczynione między Panem a ludem jego, i umiera na górze Nebo, w obliczu obiecanéj ziemi.

Lucyjan Siemieński. 1855.

2. Treny Jeremiasza i pieśni Ezechijela.

Obok psalmów Dawida, najpiérwsze miejsce w liryce hebrajskiej zajmują skargi, czyli tak zwane treny Jeremiasza, opiewające zburzenie Jerozolimy i kościoła. Treny te są pasmem pieśni żałobnych, ułożonych w formie obrzędowej, które, pojedynczo i w różnych czasu okresach powstałe, zebrano później w jedną całość. Ztąd nie można szukać w tym zbiorze doskonałego związku, porządku

i szyku. Raz przemawia w nich sam prorok, albo raczej Jeruzolima, występująca tu w pięknej poetycznej prozopo-pei ¹⁾; to znów odzywa się chór Izraelitów, wyobrażonych przez swego Koryfeusza ²⁾ (jak to zwyczajem było u Greków). Ostatnia część stanowi pewien rodzaj epilogu ³⁾, gdzie wszystek naród żydowski rozwodzi swoje skargi.

Zwykłe u ludów wschodnich przenośnie, w które Jeremiasz aż do zbytku obfituje, świetnych mu dostarczają obrazów. Wszystko tam do życia powołane, wszystko smutkiem oddycha. Jeruzolima nie jest miastem, ale córką Syjońską ⁴⁾, niegdyś królową i panią licznych ziem, a teraz wdową i sierotą, opuszczoną od przyjaciół, zdradzoną od swoich, podnoszącą żałośnie ręce, a nie znajdującą nigdzie ratunku, ni pocieszenia. Mury jęj, chwastami zarosłe, wydają jęki; ulice i gościńce wspominają z żalem dawne ludu zebrania i uroczystości. Kiedy w znieważonych świątyniach obce żoldactwo dzikie wydaje okrzyki, starcy i córki Syjonu, zapłakane i posypane popiołem, siedzą na podsieniach, młodzieńcy porzucili uciészne płasy i dzielają smutek sędziwych ojców. A dumni przechodnie klaskają w ręce i potrząsają głowami, pytając z urągowskim: »Taż to jest piękna stolica, wesele wszystkiej ziemi?«

Nigdy poeta w tak szczupłym wiérzsy obrębie nie skreślił tyle obrazów, tak świetnych i rozmaitych. Tkliwość jest panującym znamieniem trenów Jeremiasza, chociaż nie zbywa im na wzniosłości, sile i poetycznej barwie.

Pienia Ezechijela są rodzajem elegii. Jak tkliwość—Jeremiasza, tak powaga i ogień cechują tego wieszczą.

¹⁾ Uosobieniu. ²⁾ Przewodnika chóru. ³⁾ Zakończenia. ⁴⁾ Ponieważ Jeruzolima zbudowana była na pagórku Syjon.

Nie już obudzenie litości, ale przerażenie umysłów zdaje się być jego celem. Nie rozrzewnia duszy, ale przywala ją jakimś ogromem.

Jakże uroczyscie maluje dawny stan i potęgę Tyru, któremu wszystkie hołdowały narody!

»Dla niego Liban i Hermon ogołacały się z cedrów i dębów, Egipt dostarczał mu żagli, Sydon — sterników, Persyja i Syryja — żołnierzy, Sarmacja — koni, Kartago — żelaza, Judea słała mu miód i oliwę. Dla niego czerwieniły się winnice Damazu, Grecyja wspomagała go drużyną niewolników, zbogacała złotym sprzętem i naczyniem i t. d.«

Po tym obrazie, jak przepaść obok wysokości, stawia przed oczy straszny królestwa tego upadek:

»Zapadłeś w ocean bezdenne, a sterników twoich i wszystek lud pograżyły otchłanie. Morze odebrało ci swoje skarby, a narody i króle ziemi dzielą się dziedzictwem twojej chwały. Odgłos twój zguby rozległ się jako piorun po głębiach morza, jak między skałami krzyk orła na pustyni. Żeglarze siadają na opuszczonym i milczącym odlądki, kędy się wznosił Tyr, jęczą w rozpacz i rwą sobie włosy.«

Kiedy w niewoli upadłe serca Izraelitów zagrzać chce duchem odwagi, wątpiącym ukazać promień nadziei i pociechy, maluje w ten sposób swoje widzenia prorocze:

— Stałem (mówi) na obszernej równinie, kędy bielili się gęsto posiane, wyschłe i strupieszale kości umarłych.

— Synu człowieczy (rzekł Bóg), azaż w tém pomarlisku jest życie?

— Panie (odpowiedziałem), Tobie to jest wiadomo.

— Zgarnij zatem te szczątki i mów do nich: »Słuchajcie, co wam rozkazuje Pan. Oto wionie na was z czterech końców świata duch, a duch ten będzie tchem żywota.«

— I mówiłem do nich słowy Pana, a duch ożywił je nowém życiem. Wzięły na się postać i ciało i stanęły przedemną niezliczone tłumy.

Wtedy rzekł Pan: »Te kości wyobrażają lud izraelski. Otworzę wasze groby, duchy zmarłych ożywią, wskreszę was i posadzę na ziemi ojców waszych.«

Dwa proroctwa, w których przepowiada upadek Faraona i Egiptu, mają równie charakter elegiczny, chociaż treścią ich są jedynie przestrach obudzające pogroźki proroeka.

Inne dwa elegijne poemata, o królach Judy i Jerozolimy, w formie poetycznych paraboli, mieszczą podobnież przerażające wieszczby i pełne grózb widzenia.

Karol Mecherzyński. 1851.

3. Pieśń o wyprawie Igora.

(Słowo o pułku Igorowym).

Jestto poemat ¹⁾ niewiadomo przez kogo ułożony na cześć księcia Igora. Dostał go w roku 1795 hrabia Mussin-Puszkina, w zbiorze rękopismów, zakupionych po archimandrycie Kijowskim, i, jak widać, nie umiał zrazu ocenić, bo dopiero w roku 1800 ogłosił drukiem. W pięć lat później admirał Szyszków przełożył ten zabytek na język nowoczesny i wydał wspólnie z tekstem. Publiczność wszakże, równie jak pierwszy wynalazca i komentatorowie, nie wielką przywiązywała wagę do samego odkrycia i zalet poetycznych dzieła; stąd poszło, że nikt nie zaprzeczył autentyczności rękopismowi, a teraz mogłaby powstać w tej mierze nierozstrzygnięta wątpliwość, bo oryginał zginął w czasie pożaru Moskwy.

¹⁾ Przełożyli go na język polski A. Bielowski w r. 1833 i A. S. Krasziński w r. 1856.

Igor Światosławicz, książę Nowogrodu Siewierskiego, żył między rokiem 1151 i 1202. Ruś w owych czasach podzielona na mnóstwo księstw osobnych, zakłócona ciągle wojną domową potomków Ruryka, doświadczała napaści od sąsiednich ludów północno-wschodnich, a mianowicie od Połowców, którzy szczególnie dokuczali ziemiom południowym. Książęta ruscy także przedsiębrali niekiedy zaczepne wyprawy na nich. Jedną z takich wypraw jest przedmiotem niniejszej pieśni, czyli powieści poetyckiej o *pułku Igorowym*. Autor, zdaje się, że był współczesnym swego bohatera; mówi o nim, jako o księciu, obecnie panującym.

Poeta zapowiada naprzód, że ma opiewać rzecz, jak była istotnie, nie pozwalając sobie zmyśleń na wzór dawnego Bojana. Wspomniany tu starożytny pieśniarz Bojan jest nam niewiadomy; w tym jednym tylko pomniku znajdujemy jego imię, często jednak powtarzany hołd jemu pokazuje, że musiał mieć wielką wziętość u Słowian. Dalej następuje powieść o samej wyprawie. Igor, chcąc pomścić się krzywd, wyrządzonych Rusi, zamyśla uderzyć na Połowców. Zmówiwszy się z trzema krewnymi, bez wiedzy starszych i potężniejszych książąt, przedsięwzię wyprawę. Połączone siły ruszają w pochód; złowieszcze widma na drodze nie mogą ustraszyć rycerzy. W pierwszej potyczce Połowcy rozproszeni, zgromadzają się znowu i otaczają zewsząd pułk Igora. Bitwa trwa dwie doby, trzeciego dnia kończy się zupełną klęską Rusinów; Igor—wzięty do niewoli. Wtedy ojciec pokonanych książąt, będący w Kijowie, widzi we śnie złą przygodę; rozwodzi długie treny nad nieszczęściem Rusi i opiewa całą niemal historiją swojego domu. Nakoniec Igor ucieka z niewoli, wraca do Kijowa i jest powitany hymnem tryumfalnym.

Adam Mickiewicz. 1841.

4. O poezji Serbskiej.

Poezja serbska składa się z ułamków oddzielnych, z opisów zdarzeń, nie mających porządnego ciągu, ani bezpośredniego związku, wszakże odnoszących się do jednego głównego wypadku. W tych ułamkach, w tych powieściach osobnych, powtarzają się często niektóre wiersze, niektóre zdania, odlane raz na zawsze i powszechnie przyjęte. Lud umie je na pamięć i stara się wszędzie je wmieszczać, a przeciwnie znowu sam tekst opowiadań ciągle pomału przeinacza, pomnaża, lub obcina, tak, iż niepodobna teraz rozróżnić, co tu jest dawnego, a co przyrosło później. Nieustanne to przerabianie oczyszcza istotę powieści, odrzuca wszystko, co trąci indywidualnością poety, co zakrawa na manijerę; jakoż jestto jedyna poezja, wolna od reguł i przybranego toku. U starożytnych ten przymiot miała poezja homerowska, u nowoczesnych ma serbska. Najwznioślejsze bowiem utwory, będące płodem pojedynczego geniuszu, zawsze noszą na sobie jego indywidualne piętno, które zwyczajnie przechodzi w to, co nazywamy manierą. Tym sposobem poezja serbska, zachowując wewnętrzną swoją własność, a zmieniając ciągle formę, jest razem i starodawną i zawsze młodą. Pielęgnowana powszechnie, brzmiąca w pieśniach gminnych, roznoszona przez rapsodów, żyje ona życiem całego ludu. Ci rapsodowie, ci śpiewacy i często twórcy poematów narodowych, są jeszcze, na domiar podobieństwa z Homerem, ubodzy i ślepi. Nie tylko w górach, ale nawet w krainach otwartych Serbii, ślepy i poeta znaczy jedno; żebractwo wszakże nie nadaje im charakteru żebraków pospolitych, nie poniża ich bynajmniej. Szanowani i przyjmowani gościnnie, idą od wsi do wsi, śpiewając to modlitwy, to pieśni, a często recytując tylko opowiadania poetyczne.

Główne gniazdo poezji tego rodzaju jest w krajach górzystych, w okolicach Czarnéj-góry, w Bośni i Hercegowinie. Tu tworzą się poemata bohaterskie i ztąd rozchodzą się na równiny, gdzie lud powtarza je w swoich dyalektach, niekiedy zmieniając tylko niektóre wyrazy. Ale na płaszczyznach poezja bohaterska nie bardzo się przyjmuje: rzadko tam śpiewają wielkie rapsody; lepiej lubią piosnki i powiastki, czyli bajki o zbrojcach, o strachach i upiorach.

Dopiero na początku teraźniejszego wieku, poezja ta stała się przedmiotem uwagi cudzoziemców, a pierwszy z pomiędzy Serbów, Wuk Stefanowicz Karadżić, zajął się spisaniem jej i zbiór swój ogłosił drukiem (1814, 1815). Opowiada on, jakich doświadczał w tém trudności. Żebraćcy nie chcieli śpiewać przed człowiekiem, z powierzchownego ukształcenia wyglądającym na cudzoziemca. Nadto, jeżeli który z nich ma głos piękny, zwykle zaniedbuje poemata, a woli śpiewać piosnki muzykalniejsze. Najwięcej wybornych rzeczy można usłyszeć od tych, co bez śpiewu powtarzają opowiadania, przy brzęku swojej gęśli o jednej strunie, czasem tylko odśpiewując miejsca tkliwsze, albo malujące wypadki ważniejsze. Karadżić wspomina szczególnie o jednym starcu, który umiał wszystkie pieśni krajowe i od którego najwięcej do swego zbioru nabył. Był to człowiek poważny, niegdyś kupiec wędrowny, potem, z powodu zabicia Turka, zmuszony tułać się w górach, gdzie wzbogacił swoją pamięć ogromnym skarbem poezji narodowych.

Adam Mickiewicz. 1841.

5. Boska komedia Dantego.

Poeta zaczyna opowiadanie od pamiętnej w swém życiu epoki, od roku 1300. W wielkim tygodniu tego

roku, blakając się, jak mówi, w jakiejś pustyni, niespodzianie znalazł się w krainie duchów. Tam cień Wirgilijusza, oddawna z nią obeznany (jak tego dowiódł w pięknym opisie piekieł w Enejdzie), ofiaruje się mu przewodniczyć. Dante idzie za Wirgilijuszem; obaj zatrzymują się przede drzwiami, na których czytają straszliwy, a tyle ze swęj szczytności znany napis, kończący się słowami:

»Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate¹⁾«

Ciężkie te podwoje z wyższego rozkazu otwierają się dla nich; poeci wchodzi do piekieł. Tu zaczyna się najstraszliwszy obraz, jaki sobie wystawić można; często nawet trudno od razu ogarnąć myślą ten całkiem nowy świat, poetyczną utworzony fantazyją. Nie ma w nim jednak najmniejszego zamieszania, odmętu. Owszem, cały poemat odznacza się zadziwiającą symetryją, rzadko z wieszczym jedną się duchem.

Boska komedycja podzielona jest na 100 śpiewów. Pierwszy jest rodzajem wstępu; później piekło, czyściec i niebo po 33 śpiewów obejmują. Ta symetryja nawet szkodzi i osłabia część ostatnią, w której, brak zajmujących szczegółów, autor starał się zastąpić długimi, to z filozofii, to z teologii rozprawami, bardziej może dla nauki, niż dla poezji korzystnymi.

W obrazach tenże sam spostrzega się porządek. Za drzwiami, o których mówiliśmy, znajduje się jakby wstęp czyli przedsionek piekieł; dalej — bezdenne w głębi ziemi przepaść, na siedem spadających podzielona stopni, na których, za siedem śmiertelnych grzechów, wiecznie ponawiają się męczarnie. Z przeciwniej strony półkuli, góra, dokoła morzem oblana, tak wysoka, jak piekło głębokie, także na siedem podzielona kategorii, jest wyobrażeniem czyścia. Na szczycie tej wysokości góry leży raj,

¹⁾ Rozstańcie się z nadzieją, wy, co tu wchodzić.

z którego śrubą wijąca się droga prowadzi do nieba, do stóp tronu Przedwiecznego. Na stopniach czyścia dusze za powszednie grzechy cierpią, tak, jak w piekle za śmiertelne, a raj, służąc niebu za przedsionek, w symetrycznej tego świata budowie przeciwnym zdawać się może piekielnemu wstępowi.

Już w przedsionku piekieł, gdzie żadna nigdy nie świeci gwiazda, Dante, w tym zmroku, przeraźliwe słyszy łkania i jęki. Lecz tam są tylko dusze, co, same wiele się ceniąc, żadnej istotnie nie mają wartości, dusze płowe, jakich bez liku. Nieba ich nie chcą, by niemi swego nie przyćmić blasku; piekło je za niegodne siebie uznaje.

Wszedłszy do piekieł, Dante na każdym z siedmiu stopni pełno spotyka znajomych, poznaje ich, wymienia, wita, rozmawia z niemi, ojczyście opowiada im wypadki. Niektórych widzi pasujących się z węzami na wzór Laokoona, innych — do połowy zmienionych w węzów, innych — zanurzonych w krwistych bagnach. Tam to, w ognistym grobie, nad którym zawieszono wieko wnet zapaść grozi, usłyszał głos sławnego Farinato degli Uberti, niegdyś wodza gibellinów¹⁾. Ten go o Florencyję pyta, a obojętny na płomienie i wszystkie piekieł męczarnie, swym krajem tylko zajęty, o los swego stronnictwa tylko się troszczy. Dalej napotyka Frańciszkę z Rimini, nieśczęśliwą Malatesti małżonkę, i Pawła, brata jej męża.

Ten ustęp, jak i tysiące innych, od półszósta wieku poetom i malarzom za temat służą. W tych to piekieł obrazach, gdzie Dante każdemu właściwy i znany zostawił charakter, występki uklassyfikował, a uprzedzając sprawie-

¹⁾ Podczas wojen domowych we Florencji, w połowie XIII wieku, między dwiema partjami tak zwanych gwelfów i gibellinów, Farinato degli Uberti, przywódca partji gibellińskiej, zmuszony do ucieczki z miasta, paląc zemstą, przyzwał na pomoc Niemców i zwyciężył swoich przeciwników. Dante pomieścił go w piekle, jako zdrajcę ojczyzny.

dliwość boską, zasłużoną im przeznaczył karę... do dziś dnia artyści swe pomysły czerpią.

W końcu, w siódmym oddziale, na samém dnie piekieł, poeta znajduje lucypera, do połowy zanurzonego w lodzie. Ten wielkorządca podziemnego państwa, przeznaczony za karę od Boga do spełniania wyroków sprawiedliwości Jego, sześcioma olbrzymiami skrzydłami po lodowatém miota morzu, a złe duchy, co dwór jego tworzą, także za karę na kuszenie ludzi skazane, dzielają późniejszą ich męczarnię.

Dante czepia się skrzydlatego potwora, w środku ziemi kilka razy się okręca i wkońcu, przez długie podziemne przejście, spostrzega niebios światło.

Przebiegłszy to przejście, znajduje się na drugiej stronie ziemi i postrzega morze, a pośród niego górę, podobną, jak się zdaje, do tych, które czasem po ogrodach widzieć się dają, a które zowią ślimakami.

Na téj górze — czyściec. Tam dusze nad brzegami morza z powszednich czyszczą się grzechów. Aniołowie strzegą wejścia. Dante, również się oczyściwszy, zawsze na Wirgiliuszu wsparty, w to drugie królestwo wchodzi.

Tam także są męczarnie, lecz inny, niż w piekle, noszą charakter. Wiara daje wytrwałość, nadzieja tłumi boleść. Gdy która dusza, odbywszy pokutę, do nieba się wznosi, cała góra radośnym brzmi pieniem. Dante i tam napotyka kilku znajomych. Ogólnie jednak znajdują, że ten drugi obraz, anielskim oświecony blaskiem, po piekielnych płomieniach bladym się wydaje i tym bardziej na tém zbliżeniu traci, iż w wielu względach czyściec jest tylko słabszym i, na błękitnym tle, powtórnym odbiciem piekieł.

Gdy poeci do raju doszli, znaleźli, z nieba na spotkanie przybyłą do nich, Beatrycę. Ona to otrzymała od Boga rozkaz, by drzwi trzech królestw otwarły się dla

Dantego; ona Wirgiliusza do przewodniczenia mu wybrała. Wirgiliusz téż, dopełniwszy swęj misji, opuszcza Dantego, który wpada w takie estetyczne uniesienia, iż trudno w tym nadziemskim wirze doścignąć go, myśl jego uchwycić.

Obrazy nieba są mniej dokładne, mniej od innych śmiałe. Poeta prowadzi nas po wszystkich planetach, lecz, jakby był zmęczony i do końca śpieszył, opuszcza niektóre, zaledwie je pokazawszy tylko. I tak, zbyt rychło przebiegłszy księżyc i Merkurego, w trzecim dopięro niebie, w Wenerze, zajmuje nas jakąś przepowiednią. W czwartym —, to jest na Słońcu, napotyka św. Tomasza z Akwilinu i św. Bonawenturę. W piątym —, czyli w Marsie, przeznaczoném dla dusz poległych za wiarę, Dante poznaje swego naddziada, zabitego w krucyjatach. Ten opowiada mu zacność spólnego ich rodu, przepowiada poecie wygnanie jego, żwawo i czule przedstawia boleści téj niedoli, a wkońcu nakłania go do opowiedzenia światu wszystkiego, co widział za jego krańcami, bez względu na obrazę tych, których wady odsłonić będzie musiał.

W siódmym niebie, to jest na Saturnie, są dusze, samotności i rozmyślaniu oddane. W ósmym — Dante widzi zwycięstwo Chrystusa, a Adam naucza go mowy, jaką w raju mówiono. Wkońcu poeta wznosi się do nieba dziewiątego i dziesiątego, gdzie najwyższy duch mu się objawia i gdzie także Matkę Boską i świętych spostrzega, lecz to wszystko, trzema rzędami otaczających tron aniołów, nieco przysłonięte. Tu wszystkie wątpliwości duszy jego ustępują, wiara całkiem ją ogarnia i poemat kończy się obrazem jedyne go w dwóch naturach (ludzkiej i duchowej) bóstwa.

Oto jest treść boskiej komedyi. Czemu tak przezwiał swe nieśmiertelne dzieło, nikt tego nie odgadł. Czy nie użył słowa komedyi zamiast dramatu, który może by się właściwiej do poematu tego dał zastosować?

Dante umarł 14 Września 1321 roku. W 30 lat po jego śmierci, arcybiskup, panujący w Medyolanie, Jan Visconti, zwołał komisję z sześciu uczonych Florentczyków, dla wyjaśnienia niektórych części boskiego dramatu. Później, w r. 1373, utworzono dwie katedry dla wykładania go młodzieży: jedną w Bolonii, drugą we Florencji. Intellektualnego świata dzieje nie pamiętają geniuszu, który by tak dzielny i tak długi wywarł wpływ na potomność. Artyści włoscy dotąd czerpią w Dancie swe pomysły; młodzi literaci miewają sessyje, wyłącznie poświęcone tej sławie, a w XVI stuleciu Michał Anioł, prześląkły jego poeziją, w marmurze i na płótnie boską komedję uwiecznił.

Lucyja z Gedroiciów Rautensztrauchowa. 1846.

III. HISTORIA.

A). OPOWIADANIA ŚCIŚLE HISTORYCZNE.

1. Mongołowie-Tatarzy.

Stepy Azji, dziś jeszcze noszące nazwisko Tataryi, znacznie są większe od całej Europy. Ludność ich nie wynosi nad 4 do 6-u milionów, ale każdy mężczyzna jest żołnierzem. Tu, zdaje się, mitologija grecka mieściła swój Tartar, owo źródło wszystkich klęsk i nieszczęść. Ztąd także, wedle mniemania uczonych, pochodzi bajeczny Centaur, obraz ludzkiej natury, zaledwo wzniesionej nad bydlęcą. Tym człowiekiem-bydłęciem, tym Centaurem, jest Tatar. Budowa jego ciała, rozwinięta lepiej u góry, nie ma dostatecznej podstawy: nogi, słabe i źle uformowane, zdają się mu służyć tylko do objęcia konia, na którym ciągle żyje i z którym jakby jedną całość składa.

Głowa, niekształtnie okrągła, jest niby ciężarem, przydanym dla utrzymywania równowagi w pędzie. Prócz zwięźcanej namiętności, nie wydaje się w jego wzroku: blask czarnych jego oczu podobny jest do gasnącego węgla. Obok bystrego rozumu, żadnego uczucia, żadnych wyobrażeń religijnych nie widać w Tatarzynie. Najmniejszego śladu mitologii i religii pierwotnej nie masz u Mongołów. Starożytni, którzy wspominają o tych ludach, mówią, że czciły one miecz, jako znak siły materyjalnej. Wedle podań i pieśni Słowian, Tatar na każdy dzień ma inne bóstwo;—mniemanie, dobrze wyrażające cześć tylko dla powodzeń każdodziennych. Ród ten zresztą może uchodzić za ideał ślepego posłuszeństwa i to zdaje się stanowić całą zasadę jego organizacyi społecznej. Mongoł wrodzonym instynktem zgaduje wyższość drugiego i poddaje się jęj bezwarunkowo. Maksyma dyscypliny militarnej, wyciągnięta z długiego doświadczenia, że gdzie tylko znajdzie się dwóch żołnierzy, jeden musi rozkazywać, drugi słuchać, jest u nich skutkiem skłonności naturalnej. Wszyscy zresztą Uralanie mają z natury dziwną zdolność wojowniczą. Zdarzało się często, że oddział wojska, znalazłszy się bez naczelnika i wskazanego kierunku, odgađywał plan ogólnych poruszeń i umiał zastosować się do nich. Wodzowie mongolscy nie byli grubemi barbarzyńcami; można ich nawet uważać za cywilizowanych, jeżeli tylko, to, co prowadzi do bogactw i potęgi, ma stanowić cywilizacyją. Przemysł i handel doświadczały od nich wielkiej opieki. Po wzięciu jakiego miasta szturmem, wśród powszechnej rzezi, oszczędzali i przesiedlali rzemieślników, jako nienależących do żadnego narodu. Użycie poczt było im znane: stacyje dla kuryerów Dżengis-chana rozciągały się od Chin do Polski. Chciał on zaprowadzić jednaki miary i monety, a jeden historyk angielski powiada, że już był wpadł na wynalazek biletów bankowych.

Cały system materjalizmu miał tedy egzekucyją pod sterem wysokiej zdolności instynktowej i przy pomocy potężnych środków.

Gdybyśmy się teraz zapytali, jaki był zamiar tych wszystkich wypraw mongolskich w najdalsze strony świata, trudno byłoby dać odpowiedź. Wodzowie ich nie przywiązywali żadnej ceny do bogactw, których zdawali się szukać. Zniszczenie było jedynym widocznym ich celem. Na radzie jednego z tych wodzów, roztrząsano z zimną krwią, czy nie należałoby ludności całej Persyi wyciąć i kraj w pastwiska zamienić. Ledwo zdołano zapobiedz, aby wniosek nie został przyjęty i wykonany. Władcy mongolscy zapowiadali zawsze, iż są powołani karać świat, upokorzyć go i wytępieć. Wiara ta nie wygasła jeszcze w rodzie Dżengis-chana.

Łatwo tedy pojąć, jakiem niebezpieczeństwem groziły ludzkości te straszne hordy. Błąd to i niewiedza historyczna mniemać, że nietrudno było je odeprzeć, jako tłumy niesworne; że tylko brak umiejętności, albo odwagi w napastowanych, dawał im zwycięstwo. Nigdy liczniejsza armija nie szła na podbój, a była dobrze wyćwiczona i miała wielkich wodzów. Przez kilka wieków Słowianie wstrzymywali ten okropny napad całego plemienia. Ruś, zwyciężona, nie przestała stawiać biernego oporu; uznając zwierzchnictwo Mongołów, zachowała swoją dynastyją i religiję narodową, drogie zawiązki przyszłej jedności. Książęta Rusi nigdy nie odstąpili sprawy i nadziei narodu. W obozach Tatarów, hańbieni i męczeni, uczyli się sekretu ich polityki, aby ją obrócić przeciwko nim samym. Ruś powoli zużyła swoje więzy, otrząsła się z nich nieznacznie, tak, iż nie można dokładnie wskazać epoki jej wyzwolenia; nastąpiło to po ostatniem spustoszeniu Moskwy przez Tatarów. Dziś Rosyja jest panią wielkiej części Tataryi.

Adam Mickiewicz. 1840.

2. Najście Mongołów.

Trzema szlakami ruszyli Tatarzy na wyprawę Węgierską. Piérwszy dążył od wschodnio-południowej strony, przez Siedmiogród; drugi, pod wodzą samego Batu-chana, — przez Małopolskę, na Duklański, albo Sandecki gościńiec; trzeci — przez Wielkopolskę i Szlązk, miał najechać Węgry od zachodu. Z początkiem roku 1241 pojawił się Batu-chan pod Lublinem, który najpiérwszy padł ofiarą pogańskiej dzicy.

Bolesław Wstydlivy, z posiłkami syna Konradowego Bolesława i Władysława Opolskiego, spotkał się z hordami pod Opolem, miastem, pomiędzy Lublinem i Sędomiérzem położoném. Rozgromiona garstka rycerzy zginęła, lub uciekła; sam Bolesław schronił się do Krakowa. Wkrótce po téj bitwie, w sam Popielec, wpadł w ręce najędźdźców handlowny i zamożny Sędomiérz, dokąd się schronili okoliczni mieszkańcy, a między niemi mnisi Koprzywnicy. Wszyscy padli ofiarą śmierci; Sędomiérz zniszczono. Rycerstwo polskie, pod wodzą Włodzimierza, wojewody krakowskiego, spróbowało jeszcze oporu pod Wielkim Turskiem, wsią między Połańcem i Osiekiem. Stoczono bitwę z razu pomyślną, bo Tatarzy znaczne ponieśli straty, ale zwykły fortel ucieczki zwabił rycerstwo w środek hordy, zkąd się zaledwie uratować potrafiło. Nowe tłumy nieprzyjaciół napływały tymczasem od wschodu. Wyprawiwszy część wojska pod wodzą Ordiuja na Łęczycę i Kujawy, ruszył Batu-chan na Ilżę ku Krakowu. Wyszło rycerstwo Krakowskie i Sędomiérskie raz jeszcze popróbować szczęścia. Pod Chmielnikiem, koło Szydłowa, złamali Polacy piérwsze szyki, ale, oskrzydleni, jak zwykle, dali gardło w obronie wiary i kraju. W starych kalendarzach zapisano nieszczęsny dzień bitwy Chmielnic-

kię i imiona męczenników, z dodatkiem: *Oretur pro eis*¹⁾.

Bolesław Wstydlivy, ogołocony z wojska, uszedł z żoną do Węgier. Krakowianie zamknęli się w obronnym klasztorze św. Andrzeja, a miasto samo złupionem i spalonym zostało! Cały wielki tydzień gościli w niem Tatarzy; nareszcie Batu-chan ruszył do Węgier, a drugi większy oddział — na Szlązk. Podstąpiono pod Wrocław, spalono opustoszone miasto, ale podobnie, jak w Krakowie klasztoru św. Andrzeja, nie potrafili Tatarzy zdobyć Wrocławskiego zamku. Udali się więc pod Lignicę, gdzie na nich czekał Henryk pobożny z zebranem naprędce rycerstwem. Byli tam Wielkopolanie i niedobitki Małopolskie pod wodzą Sulisława, syna Włodzimierza wojewody krakowskiego, poległego pod Chmielnikiem; byli Krzyżacy pod wodzą landmiejstra Poppona z Osterny; był Mieczysław Opol-ski i Bolesław Szepiotka, syn Dypolda Morawskiego. Bolesław Szepiotka przełamał już szyki nieprzyjaciół, ale, zapędziwszy się za uciekającymi, zginął; inne hufce wprawił w popłoch głos, umyślnie przez Tatarów puszczoney: »biegajcie! biegajcie!«; nareszcie sam hufiec Henryka uległ sztuce czarnoksiężkięj Tatarzyna, który, zapalonym, a odurzającym zielskiem, przeraził wojsko i na rzeź je wydał. Henryk poległ w ucieczce; głowę jego w tryumfie obnosili Tatarzy.

Polska, szczególnież zaś pas jej południowy, po odejściu Tatarów jedną została pustynią. Miasta i wsie leżały w perzynie, ludność częścią wycięta, częścią w lasach się tułająca, nieład i ubóstwo powszechne, czyniły kraj okropnej niedoli obrazem.

Józef Szujski. 1862.

¹⁾ Módlcie się za nich.

3. Śmierć Joanny d'Arc.

Dziewiąta uderzyła na wieży zamkowej. Ubrano Joannę w suknie kobięce i wsadzono na wóz delikwentów. Wojsko angielskie gwałtem odpychało lud, tłoczący się do niej, jakby po błogosławieństwo. Ruszono nareszcie z miejsca. Cała załoga angielska, złożona z 800 żołnierzy, była pod bronią i utrzymywała porządek pochodu. Na starym rynku miasta Ruan wystawiono trzy rusztowania. Na jednym zasiadły najwyższe władze królewskie i biskupie; tron kardynała angielskiego wznosił się wśród krzesel pralatów, którzy go otaczali. Na drugie — wprowadzono osądzoną, w towarzystwie spowiednika, kilku sędziów biskupich i urzędnika sprawiedliwości świeckiej, któremu miała być wydana, po wykonaniu wyroku śmierci. Na boku, między dwoma rusztowaniami, postawionemi naprzeciw siebie, wznosił się stos wysoki, ułożony z drzewa na pokładach kamieni gipsowych. Imponująca była jego wysokość. Postawiono Joannę tak wysoko, aby jej męce każdy się przypatrzył i pojął, że to czarownica tak ginie.

To straszliwe *autodafé* odbyło się 30 Maja 1431 roku, a rozpoczęło mową kaznodziejską. Magister Mikołaj Midy, jeden z luminarzy uniwersytetu paryzkiego, kazał i wziął za tekst słowa pisma świętego: »Gdy jeden członek kościoła choruje, cały kościół choruje«. Mowa obejmowała akt oskarżenia dziewicy i zakończyła się formułą, której, przy takich egzekucyjach, zwykle używano: »Joanno, idź w pokój; kościół już cię obronić nie może«.

Ruszyli z miejsc biskup i inni duchowni i napominali dziewicę, aby ostatnie chwile poświęciła duszy swojej; aby przywiodła sobie na pamięć wszystkie występki i wzburzyła za nie skrucę w sercu. Nie było trzeba dla Joanny

tego napomnienia; dusza ję już się oderwała od rzeczy ziemskich, a tonęła modlitwą w Bogu. Padła na kolana, wzywając pomocy Boga, Najświętszej Panny, św. Michała i św. Katarzyny. Przebaczyła wszystkim i prosiła, aby i ję przebaczone. Gdy się wreszcie zaczęła żegnać z przytomnemi, nikt nie mógł wstrzymać się od płaczu, a rozrzewnienie udzielało się wkoło. Ten sam wróg płakał, który ją potępiał, albowiem w sercu był przekonany, że niewinną potępia.

Trzeba było położyć koniec rozrzewnieniu. Czuły głos politowania uciszyć się musiał przed surowym głosem sprawiedliwości. Biskup Belwaceński otarł łzy i zaczął czytać wyrok potępienia; wyliczył całą litanję zbrodni, za które ją potępiano: za odszczepieństwo, za bałwochwalstwo, za wzywanie złych duchów i t. d.

Michelet następujący daje obraz ję zgonu: »Prosiła, aby ję podano krzyż. Anglik jeden zrobił na pręde krzyż z kija przełamanego i podał. Przyjęła z pokorą to znamię zbawienia, pocałowała i włożyła za suknię, ale byłaby wolała trzymać w ręku wizerunek Zbawiciela i mieć go przed oczami aż do śmierci«.

Uczciwy Massieu, sługa sądowy, i ojciec Isambert, postarali się, że ję przyniesiono krzyż z najbliższego kościoła farnego, który z serdecznością ścisłała. Gdy zstąpiła z rusztowania na rynek, wiedzona przez żołnierzy angielskich, zadrżała i bojaźń ją ogarnęła: »O! Ruan«, zawołała rzewnie, »tu więc moje ostatnie mieszkanie«.

Stanąwszy nareszcie na wysokości stosu i patrząc się na to miasto obszerne, na tę ciżbę ludu nieporuszoną i milczącą, rzekła: »O! Ruan, Ruan, lękam się, abyś nie musiało cierpieć kiedy z powodu śmierci mojej«. Zaprawdę! anielska słodycz duszy: ta, co się poświęciła za lud swój, a lud ją opuścił, umierając, litowała się nad nim.

Przywiązano ją do słupa, na którym był napis potępienia; na głowę wsadzono mitrę, na której czytać można było: »Odszczepiła się, odpadła od wiary, popadła nawo w niewiarę i oddała się czartu«.

Kat rzucił ogień pod stos.....

Karol Libelt. 1847.

4. Matka Jagiellonów.

W roku 1452 król Kazimierz ponowił swe prośby o Elżbietę, przesłane obecnie do ję brata, Władysława Pogrobowca, i opiekuna, Ulryka. Ci przyjęli uprzejmie poselstwo polskie. Powracającym z życzliwą odpowiedzią dziewosłębom królewskim przydani zostali posłowie z Wiednia, mający zbadać bliżej wolę, osobę i obyczaje Kazimierza. Pomyślna ich relacyja pociągnęła za sobą solenny w następnym roku zjazd poselski we Wrocławiu, gdzie stanęła ostateczna ugoda ślubna. Kazimierz otrzymał przyrzeczenie stu tysięcy węgierskich złotych posagu, a przyrzekł nawzajem trzy miasta królewskie: Koło, Opoczno i Przemyśl, na oprawę królowej. Radzono nad tém przez długich dziesięć dni, w kilkudziesięciu z obojęj strony posłów, pomiędzy którymi byli książęta, biskupi, kanclerze, wojewodowie i kasztelanowie. Ukończonym obradom pobłogosławił głośny z cudów wymowy Jan z Kapistranu, kazaniem pod gołębem, którego kilkadziesiąt tysięcy ludu słuchało. Za kilka miesięcy, na początku roku 1454, miała młodociana oblubienica stanąć osobiście w Krakowie.

Uroczystości, przy wjeździe królowej do Krakowa i zaślubinach z królem Kazimierzem, liczą się do najwystawniejszych XV wieku obrzędów dworskich w Polsce. Świetne grono najprzedniejszych panów i pań, mające w orszaku swoim przynajmniej dwa tysiące koni, powitało

oblubienicę przed granicami państwa, w Cieszynie. Przed stolicą Krakowską spotkał ją z całym dworem sam król Kazimierz, młody, ledwie 26-letni mężczyzna, przyjemnej twarzy, wesołego wejrzenia, błyszczący od złota i klejnotów. Obok króla, w bogato przyozdobionej kolébce, jechała matka Kazimierzowa, stara królowa Zofia. Za nie-
mi ciągnęli dostojnym rzędem arcybiskupi, biskupi, książęta Szląscy, dygnitarze koronni. U bram miasta przyjęły wjeżdżających procesyje wszystkich kościołów, zakonów, cechów i bractw. Całemu pochodowi towarzyszył grzmiecy odgłos dzwonów i trąb. Tak król, i jak panowie, wystąpili z nadzwyczajnym przepychem strojów i rzędów końskich. Rząd samego rumaka królewskiego szacowano na 40,000 złotych. Podobnie i na otaczających króla magnatach świeciły perły, aksamity i złotogłowy. Młoda królowna mogła mniemać, że wjeżdża do kraju złotych gór, a to tylko chęć uczenia jęj przybycia ustroiła tak bogato króla i panów dworskich.

Przez cały tydzień trwały gody weselne; odprawowano uczty, tańce, turnieje. Po ośmiu dniach, liczny orszak węgierskich i czeskich panów i pań, który przybył z Elżbietą, pożegnał ją uroczyście, i hojnie od króla polskiego obdarzony, powrócił nad Dunaj.

Pozostawiona w Polsce córka cesarska znalazła, przy boku króla Kazimierza, godne swoich cnót i przymiotów pożyacie.

Własny żywot Elżbiety upływał wśród ciągłych trosk macierzyńskich i czynów bogobojności. Najpoważniejsze głosy społeczne nazywają królowę »dziwnie pobożną, świętą«. To też wynagrodził ją Pan Bóg hojnym za to błogosławieństwem domowym. Dozwoliło jęj niebo docho-
wać się sześciu synów i pięciu córek, oprócz dwojga, zamłodu ze świata wziętych. Nieraz, dwanaścioro dzieci spoczywało razem dokoła matki. Najmilszym jęj sercu,

jak naoczni upewniają świadkowie, był średni z synów, Olbracht, młodzieniec wesoły, śmiały, rycerski, pełen wyniosłych zamysłów przedsięwzięć. Starszy odeń dwoma laty Kazimierz i najstarszy Władysław, ujmowali skromnością i potulnością. Młodszy: Aleksander, Zygmunt i Fryderyk, dziwili przyjemnie swoją dziecinną powagą i wczesnym statkiem. Te ich osobiste zalety rozwijało od pieluch bardzo troskliwe prowadzenie. Synowie matki, która tak wysoce pokładała skuteczność edukacyi, iż osobne o niej pismo pozostawiła, otrzymali wszyscy rozumne, pracowite wychowanie.

Już między szóstym i siódmym rokiem życia, wychodziły dzieci Kazimierzowe z pod pieczy niewieściej, w ręce wychowawców męzkich. Głównym nauczycielem królewiczów był Jan Długosz, kanonik krakowski, człowiek uczony i pobożny, bezwzględny prawdomówca, ojciec dziejopisarstwa naszego. Obok niego, wymieniał się spólcześni jeszcze pedagogiem chłopiat królewskich niejakiego Jana Welsa, mistrza z Poznania. Trzecim wychowawcą został później słynny Filip Kallimach Buonacorsi, uczony przybysz włoski, autor kilku szacownych pism o Polsce i Polakach.

Z temi nauczycielami przejeżdżali się wychowawcy koronni co kilka, lub kilkanaście miesięcy, z jednej strony królestwa w drugą, z jednego zamku do drugiego. Widzimy ich pod wyłącznym nadzorem wychowawców, zdaleka od rodziców królewskich, jużto w Tyńcu, jako najbezpieczniejszym miejscu schronienia się od grasującego naówczas powietrza morowego, jużto w Krakowie, pod bokiem szkoły uczonęj, jużto w Starym Sączu, w pośrodku zdrowej natury górskiej, jużto wreszcie w zamku Lubelskim. Wszędzie męzka surowość służyła za główną podstawę wychowania. Przyodziani latem w grubą odzież sukienną, zimą zaś w proste kożuszki koźle, jadając po-
ślednią zwyczajnie strawę, dalecy od wszelkich wygod

i pieaszczot, oswajali się oni z wszelkimi dolegliwościami żywota, uczyli się wchodzić w niedolę każdego z najniższych poddanych swoich. Wszakże ta szorstkość wychowania fizycznego nie wykluczała wytworności umysłu. Młodzieńcy królewscy przykładali się nawet do takich umiejętności, które podówczas miano jeszcze powszechnie za całę nowe i niezwyčajne. Mianowicie język i literatura klasyczna stanowiły ważną gałąź nauki. Podziśdzien widzieć można (pomiędzy rękopismami zakładu Ossolińskich) grubą starożytną księgę, zawierającą wyciągi z najlepszych autorów klasycznych, zebrane przez Długosza dla królewiczów. W ważniejszych okolicznościach, bądźto przy powrocie rodziców królewskich po dłuższej niebytności do stolicy i bawiących tam właśnie synów, bądźto przy uroczystém podęjmowaniu u dworu dostojnych gości zagranicznych, występowali uczniowie Długoszowi z przemową, ułożoną w niezwykłym dla świeckich uszu języku łacińskim, budzącą nim powszechny podziw dla młodocianych mówców. Wtedy i powierzchowność królewiczów nabierała świetności: zamiast kożuszków kozich, świeciły na nich adamaszki i złotogłowy; zamiast szarych sukien, jaśniał karmazyn. A gdy owi goście zagraniczni usłyszeli oracyję synów królewskich; gdy się przypatrzyli ich ujmującym, strojnym teraz postaciom, ich nadobnemu zachowaniu się przy boku ojca: trudno im było później zapomnieć miłego widoku królewiatek polskich, i opisując swoje po północnych i wschodnich stronach wędrówki, barwili radzi ten opis obrazem synów Kazimiérzowych, nim jeszcze jeden z nich został świętym, a drugi wiekopomnym ojcem swego narodu.

Przez usta podróżników rozchodziły się po zagranicy, a zwłaszcza po przyległych krajach, Węgrzech i Czechach, najpomysłniejsze o młodych Jagiellonach powieści. Ztąd, gdy w zaburzeniach ówczesnych trony tych ludów

niejednokrotnie opróżniały się, szły od nich wzajem próśby o królów do Polski. Skutkiem takiej odezwy Czechów, został najstarszy Władysław, jeszcze za życia i za przyzwoleniem czeskiego króla Jerzego z Podjebrad, obrany królem czeskim. Małoco później, znaczna część Węgrów powołała drugiego, świątobliwego Kazimiérza, na tron węgierski. Własna Jagiellonów ojczyzna, Polska, zniewolona patrzeć, jak narody sąsiednie wydzierają sobie jej królewiczów, musiała na młodszych przestawać braciach. Są poszlaki piśmienne, uwiadamiające nas o przechylaniu się korony szwedzkiej na skroń trzeciego Jagiellończyka.

Zaprosiny królewiczów Jagiellońskich, na trony sąsiednie, świadczyły na wszelki wypadek o dobrej ich sławie za granicą, lecz dalsze ubezpieczenie napływających koron przechodziło niekiedy w rzeczywistości dotychczasową materialną potęgę domu Jagiellońskiego. Koronę węgierską osiągnął później Jagiellończyk Władysław, łącząc ją z berłem czeskim. Teraźniejsze powołanie do niej królewicza Kazimiérza pozostało tylko bezskuteczném świadectwem czci, jaką synowie Elżbiety posiadali w domu i za granicą.

Zamiast węgierskiej uśmiechała się Kazimiérzowi iuna korona. Gorące ćwiczenia duchowne, przy wątłym ciele, i żarliwość religijna, zwracały nań wcześniej oczy pobożnego podziwu. Po zgonie w kwiecie młodości, zaczęły krążyć pogłoski o cudach u grobu królewicza. Myśl, wydania na świat świętego, jakąż błogą rozkoszą musiała macierzyńskie przenikać serce! Ułatwił spełnienie się tej myśli, przez kanonizacyję św. Kazimiérza, przedostatni z synów Elżbiety, mądry Zygmunt. Tysiące dusz zasmuconych, cierpiących, znachodziło odtąd rokrocznie nadziemską ulgę, u trumny nowego orędownika w niebiesiech.

Oprócz tego błogosławieństwa, niosło wychowanie Jagiellońskie jeszcze mnogie inne pomyslnie krajowi skutki. Uszanowanie dla nauk, głoszone jawnie tak pilnym przy-

kładaniem się do nich synów królewskich, wpajało się coraz głębiej w wyobrażenia i obyczaje całego społeczeństwa. Wzbudzona tém wychowaniem potrzeba światłych nauczycieli, nakazująca otwartemi ramionami przyjmować wszystkich uczonych mężów z stron obcych, przeszczepiona z dworu królewskiego na dwory pańskie, napelniała u schyłku XV i w pierwszej połowie XVI stulecia kraj cały znakomitami cudzoziemcami, którzy z wielu względów wpłynęli dobroczynnie na dziwnie szybki postęp narodu w oświacie i uobyczajeniu. Zaczawszy od Kalimacha, dziejopisa Warneńczykowego, aż do Jodoka Decyjusza, opisywacza dziejów i rodziny Zygmunta, iluż innych jeszcze gości uczonych, jak ów Konrad Celtis, poetyczny wielbiciel Wisły, jak Vadian i Schraeter, pierwsi pisemni rozslawiacze kopalń krakowskich, jak Hartman Szedel, opisywacz stolicy Jagiellońskiej, jak Zainer, Lotter, Haller, pierwsi drukarze polscy, powiększało umysłowy ruch tego czasu. Mikołaj Kopernik przysposabiał się do swoich odkryć astronomicznych, a Wit Stwos, pracami dłuta swego, ozdabiał Kraków. Ież wreszcie przybyszów i ruchu naukowego w uczonej szkole krakowskiej! Jakoż, najlepszym dowodem zbawiennego wpływu wychowania dzieci królewskich, na oświatę powszechną, jest ówczesna liczba uczniów tej szkoły. Zgromadzało się ich niekiedy przy uroczystych obchodach, jak np. na pogrzebie Filipa Kalimacha, do piętnastu tysięcy. Donosi o tém przyjaciel Kalimacha, naoczny świadek pogrzebu, w liście z Krakowa do Włoch. Za niedawnym przykładem starownego wychowania synów królewskich, jał teraz kraj cały tłumnie wychowywać się i oświecać.

Karol Szajnocha. 1857.

5. Brody Krzyżackie.

Jesteśmy w roku 1512 na zamku w Krakowie, w kościele św. Stanisława. Nabożeństwo już się skończyło; gromadka pobożnych opuściła świątynię, przecież nadzwyczajny jeszcze ruch w niej panuje. Liczna służba kościelna stroi dom boży ku jutrzejszej koronacji pierwszej małżonki króla Zygmunta Starego, cnotliwej Barbary Zapolskiej. Jedni opinają kościół drogiemi makatami; drudzy wynoszą ze skarbcza złote i srebrne naczynia kościelne i według zwyczaju zdobią niemi ołtarze; inni wreszcie odświeżają kosztowniejszą jeszcze ozdobę tego świętego miejsca, zawieszone u grobowca św. Stanisława *vota* pobożne, chorągwie nieprzyjacielskie, w zwyciężkach bitwach zdobyte, i mnogie inne przeróżnego kształtu pomniki bogobojnej wdzięczności dawnych pokoleń.

Tylko dwie obecne w świątyni osoby, jedna w bogatym węgierskim stroju, druga w białym płaszczu krzyżackim, zachowują się beczynn timer, przynajmniej beczynn timer ciałem, wśród tego ruchu. Są to dworzanie przybyłych na weselną i koronacyjną uroczystość książąt sąsiednich: Naderspana, wojewody węgierskiego, i Frydryka, margrabi na Brandenburgu. Pragnąc jak najspieszniej obaczyć słynne wówczas na całą północ miejsce cudowne, zwrócili obaj pierwsze swe kroki, po przybyciu do miasta, ku świątyni i weszli niepostrzeżeni w jej progi. Osobliwie na Krzyżaku malowała się niecierpliwość ujrzenia przybytku, w którym tyle sztandarów krzyżackich zpod Grunwaldu ocieniało trumnę świętego patrona Polski; malowała się ciekawość przeświadczenia się naocznie o mnogich groźnych dziwach, jakie w Niemczech słyszał o tym grobowcu. Podczas, gdy Węgier pobożnie u wnijsia kłęczał, Krzyżak nie umaczał ręki w kropielnicy, nie przeżegnał się nawet

u wstępu, lecz z nader światową skwapliwością zdążył naprzód, szukając oczyma pomnika męczeńskiego. Nakoniec stanął przed nim. Ale jeśli już sposób jego zbliżania się do tego miejsca słusznie wzbudzać mógł podziwienie, jeszcze dziwniejszym był jego pierwszy rzut oka na sam grobowiec. Byłto wzrok wyraźnego oburzenia i przestachu. Zmarszczył brwi, owinał się cieśniej w swój biały płaszcz o znanym czarnym krzyżu i chwycił się machinalnie za długą rudą brodę, owę brodę, która tak istotną cechę Krzyżaka stanowiła, że ich wszystkich zwano u nas pospolicie tylko brodaczami o czarnym krzyżu (*barbati, nigra cruce signati*). Mniemałby może kto, iż ten wzrok gniewny wyrażał patryjotyczną zniewagę na widok wiszących tu proporców Grunwaldzkich i Tannenberskich? Bynajmniej. W tych czasach żaden Krzyżak nie czuł już upadku swego zakonu, nie marzył o wielkości i sławie. Jedynym celem jego życzeń, celem, który w istocie za lat kilka, zrzućciem płaszcza zakonnego, szczęśliwie miał osiągnąć, był kufel z piwem, były kostki szulerskie i wszelkie podobne rozkosze spokojnego żywota. Wszakże i przy tych rozkoszach, i właśnie przy nich bardziej, niż w jakikolwiek inném położeniu, chodziło Krzyżakowi o całość swojej osoby, o całość swojej «skóry», o swoją brodę. A tu przed nim, przed jego żywymi oczyma, wisiały, obok krzyżackich chorągwi, pooddziérane Krzyżakom pod Grunwaldem, pooddziérane wielkiemu mistrzowi i pobitym komturom, pooddziérane ze skórą, czarne, rude i jasnowłose brody. Co dotąd za granicą tylko z niepewnej tradycji gminnej, tylko z kronikarskiej znał wieści, to ujrzał teraz przed sobą w niewątpliwą, w namacalną rzeczywistość. I ujrzał się nagle w stolicy narodu, który swoim nieprzyjaciołom brodę ze skórą oddziéra i w kościele jako pobożne zawiesza *votum*. Mile odkrycie, zjechawszy na wesele! Nuż który z tych dzikoludów poczuje w sobie

ducha podobnej pobożności! Potrzeba tylko zwykłej zwady weselną, aby.... Strach zdjął Krzyżaka. Odwrócił się ze zgrozą od okropnego widoku. Zimnym dreszczem drżący, wyszedł, obok klęczącego u drzwi Węgra, z kościoła, i dopiero na dworze, pod bożem niebem, wolniej odetchnął.

Wybiegłszy z kościoła, zapragnął koniecznie żywej duszy, przy której mógłby utulić swą niespokojność, ogrzać dreszcz przełknięcia. Zlitowanie niebios sprowadziło go wkrótce z rodakiem i znajomym. Był to Jodok Ludwik Decyjusz, sekretarz króla Zygmunta, jeden z owych osiadłych niegdyś w Polsce cudzoziemców, którzy doznane w nowej ojczyźnie łaski szczérą miłością ku narodowi, a znaleziony tu chleb nierzadko przyniesioném z sobą światłem, odwdzięczali. Decyjusz, jak wiadomo, prócz kilku pism pomniejszych, zostawił rys pierwszej połowy rządów Zygmunta, szacowny zabytek do historii panowania Jagiellończyków. Duszą i ciałem rozmiłowany w swoich przybranych spółziomkach, miał on zawsze słowo pochwały dla nich, słowo przygany i skarcenia zasłyszanych przypadkiem cudzoziemczych oszczerstw na ustach. Znał go nasz Krzyżak z tego względu i przeto nie śmiał wystąpić od razu z wybuchem swego gniewu. Owszem, gdy się po pierwszym przywitaniu ciągnęła rozmowa, począł z krzyżacka, obłudnie, chwalić obyczaje narodu, bogactwo panów i mieszczan, gościnność wszystkich.

»Tylko jedno,« dodał, spoglądając z ukosa na towarzysza, »obraża tu oko przybylca i szkodzi samym Polakom; szkodzi, bo rozjątrza umysły cudzoziemców, zkad dla Polski wielkie z czasem niebezpieczeństwo wyniknąć może.«

»Nie rozumiem,« przejął Decyjusz; o czémto mówisz?«

»A o brodach naszych w kościele.«

»O jakich brodach?«

»Toć o brodach wielkiego mistrza i komturów Grunwaldzkich, co wiszą u grobowca św. Stanisława.

Decyjusz począł śmiać się z całego gardła. Krzyżak spojrział nań jadowitem spojrzaniem i rzekł po chwili: »Nie myślę, abyś szydził z krwi twoich ziomków....«

Decyjusz wciąż jeszcze śmiał się.

Krzyżak zdawał się być nieco zmieszanym tą wesolą i dodał: »Może zechcesz wmówić we mnie, że to nie brody. I ja nie byłem pewny tego przed półgodziną, lecz teraz naocznie się przekonałem. Cóż to innego być może, jeżeli nie brody?«

»Co?« powtórzył Decyjusz, ociągając sobie oczy, zaszcze łzami od śmiechu. »Co? To buńczuki tatarskie. Buńczuki tatarskie i zwyczajne u tatarskich hanów i murzów ozdoby rzędów końskich, złożone z włosieni końskich, a przyczepiane rumakom książąt tatarskich wzdłuż szyi, od uźdy aż do siodła, co Polacy, po każdym zwycięstwie nad pogaństwem, wraz z zdobytymi buńczukami, Bogu i św. Stanisławowi, patronowi królestwa, w Krakowie i w Wilnie w ofierze składać zwykli.«

Krzyżak rzucił niedowierzającym wzrokiem na przyjaciela. Ten, wstrzymując się od nowego przystępu śmiechu, ciągnął dalej: »Mogę cię o tém zapewnić. Toć w moich własnych oczach niejeden taki buńczuk, niejedną taką różnowłosą taśmę u św. Stanisława zawieszono. Nie ma jeszcze lat sześciu, jak ich co niemiara pod Klekiem na Tatarzynie zdobyto. A i teraz, jeżeli, da Bóg, sprawdzą się świeżo nadeszłe wieści o walnem nad Tatarami zwycięstwie pod Wiśniowcem, przybędzie tryjumfalnych ozdób świątyniom. Więc nie frasuj się, miły bracie, i płochém, ba śmieszném podejrzeniem nie krzywdź uczciwego narodu.... Ale widzisz ówdzie tego 90-letniego staruszka? To pan Betman, żupnik Krakowski, także niemieckiego rodu. Pójdź, on ci prawdę słów mych potwierdzi.«

Opisane tu spotkanie się dworzanina margrabskiego z Decyjuszem, jego pomyłkę na widok buńczuków i rzędów

tatarskich w kościele, wreszcie szczęśliwe wyjaśnienie mu całej rzeczy, opowiada sam Decyjusz w swoim piśmie *De Jagellonum familia*, w Pistoryjusza Zbiorze dzieł, do historii Polski służących, w tomie II na str. 288.

Karol Szajnocha. 1854.

6. Maryno Falijery.

Możnowładztwo w Wenecyi ¹⁾ coraz bardziej ograniczało i lekceważyło sobie władzę doży i uciskało lud Weneci, od czasu, gdy w r. 1297 wprowadzony został rząd arystokracji dziedzicznej, bo od téj epoki żadna rodzina więcej nie była przypuszczona do wielkiej rady państwa, jeżeli do niej nie należała w r. 1172. Przeciw temu stanowi rzeczy powstał doża Maryno Falijery ²⁾ i głową swój zamach przypłacił. Był on starcem osiemdziesięcioletnim, gdy go wyborcy wynieśli na tron książęcy Wenecyi. Liczny szereg świetnych zasług i najwyższe dostojeństwa w rzeczypospolitej, świetnie piastowane, oddawna uwiecznyły obywatelską koroną siwą głowę starca.

Było to w sam tłusty Czwartek 1355 roku, gdy wspańiałe świetlice pałacu doży gorzały tysiącami pochodni, a muzyka brzmiała radośnej ochocie. Festyn huczny, świetny, odprawiono w pałacu dożów. Gwiazdą festynu była sama pani domu, dogaressa, małżonka doży, jaśniejąca młodości wdziękiem i piękności urokiem. Wśród tłumów strojnych gości był i Michał Steno. Ten młody, a ubogi nobile ³⁾ dopuszcza się wśród tańca lekkiej niestosowności. Maryno Falijery rozkazuje mu, aby opuścił salę. Późną nocą, po rozejściu się gości, Steno, zraniony

¹⁾ Wenecją rządziła najwyższa rada, złożona z samych arystokratów, czyli możnowładców. Na czele jęj stał doża, to jest książę, obierany przez radę państwa na całe życie. ²⁾ Po włosku pisze się: Marino Faglieri. ³⁾ Arystokrata.

do żywego obraza, zaślepiony gniewem, cichaczem wchodzi do sali posłuchania i, przystąpiwszy do krzesła doży, przypina do niego kartkę, na której wypisał obelgę, wymierzoną przeciw dograessie, a więc i honorowi samego doży.

Obrażony doża żąda zadosyćuczynienia. Senat naznacza wielkie summy w nagrodę za odkrycie występnego zuchwalca. Wrychle Steno — uwięziony i stawiony przed sąd. On przyznaje się do czynu, lecz tłumaczy się, że go dokonał w obłędzie najwyższej boleści i gniewu, będąc zhańbionym publicznie. Rada, mając wzgląd i na młodość i na uczucia gwałtowne Stena, skazała go tylko na dwa miesiące więzienia i na rok wygnania z Wenecyi.

Nie takiego to zadosyćuczynienia spodziewał się doża! Więć, dotknięty śmiertelnie tém lekceważeniem obrazy jego i tych długoletnich zasług i wieku sędziwego i dostojęstwa wysokiego, dumął zamknięty w samotnej komnacie. Potwór boleści wjadał się w serce jego. Wtedy samowolne zuchwalstwo możnowładców Wenecyi, poniewierające ludem i księciem samym, stanęło mu przed oczyma hydrą złowrogą, stugłową.

Noc nadeszła, a Falijeremu pożar gniewu palił serce, w którym długowiekowy żywot nie przygasił ognia i uczucia honoru. Gdy doża w samotności duma, trawiony pamięcią poniesionej obelgi, jakiś człowiek z ludu, wśród powszechniej ciszy nocy, nie zważając na zakazy wart pałacowych, wpada do komnaty doży. Twarz jego — krwią oblana. Był to Bertuczyjo ¹⁾, majster naczelny robotników w arsenale. Głosem, drgającym z rozpacz, gniewu i żalu, opowiada Falijeremu, że Barbaro, należący do jednej z najznakomitszych szlacheckich rodzin Wenecyi, zażądał od niego przysługi, której on uczynić nie mógł; że tedy

¹⁾ Po włosku pisze się Bertuccio.

przyszło do sporu; że Barbaro uderzył majstra w twarz; że więc przychodzi do samego doży, domagając się sprawiedliwości.

— Ty chcesz, abym ci wymierzył sprawiedliwość — zawołał Maryno, — a ja nie mogę zyskać dla siebie zadosyćuczynienia we własnej mojej sprawie!

— Serenissime! — rzekł wtedy Bertuczyjo, — od ciebie zależy ukarać tych zuchwalców. Gdybym był na twoim miejscu, za kilka dni zmienilby się cały stan rzeczypospolitej.

Wtedy Bertuczyjo roztoczył w obec rozkołysanego namiętnością starca plan powstania, przedstawił własną swoją przewagę wśród licznych robotników, a przywodząc innych ludzi, wywierających również wielkie wpływy na rzemieślników, wymienił Filipa Kalendarjo ¹⁾, architekta i rzeźbiarza, który właśnie był zajęty budową jednej części pałacu dożów. Falijerzy znał Filipa, ufał mu, cenił go wysoko i wrychle zezwolił na przygotowanie zamachu.

Niezadługo jednak spisek był odkryty. Bertuczyja i Kalendarjo powieszono przed oknami pałacu. Następnie badano innych sprzysięgłych i zaraz po śledztwie ośmiu z nich stracono. Wzmagalo się podejrzenie, że sam doża należał do związku; obstawiono więc strażą drzwi jego mieszkania. Cały dzień 15-y Kwietnia był przeznaczony na śledztwo podrzędniejszych spiskowców; dnia 16-go sam doża stawiony był przed sądem.

Maryno Falijerzy zbliżył się spokojnym krokiem; żadne poruszenie duszy nie odezwało się na obliczu starca. Pytany, rzekł uroczyście i zwolna:

— Wy byliście ciemieżcami zarówno księcia waszego, jak i całego ludu; pragnąłem uciskowi temu koniec położyć. Ja ani niczemu nie zaprzeczam, ani się bronić nie

¹⁾ Po włosku pisze się: Calendario.

myśle. Żądam tylko, abym mógł milczeć, i czekam waszego wyroku.

Dnia 17 Kwietnia 1355 roku, wcześném zaraniem, Maryno Faliery był ścięty na galeryi pałacu. Jeden z członków rady pojawił się w oknie, wychodzącem na piaccettę ¹⁾, pokazał ludowi zgromadzonemu miecz skrwawiony i zawołał: »Wykonana jest sprawiedliwość na zdrajcy ojczyzny.« W téj chwili roztworzyły się pałacowe bramy, a lud zdziwiony mógł widzieć drgające jeszcze zwłoki swojego doży, który chciał być jego zbawcą.

Ta historyja, wielokroć opowiadana, użyta była przez Bajrona i K. Delavigne ²⁾ za osnowę do tragedyi. Jest i opera z muzyką Donicettego, osnuta na téj treści, a genialny fantastyk Hoffmann skreślił na tym wątku jedną z najcudniejszych swoich powieści, p. t. »Doge und Dogaresse.«

Józef Kremer. 1860.

7. Bitwa na Kosowém polu.

W drugiej połowie XIV wieku Turcy wtargnęli do Europy. Cesarze greccy, nie mając innych środków obrony swego państwa, chcieli zwalić ciężar nieprzyjaciela na Serbów i Bulgarów. Było to wielkim błędem z ich strony mniemać, że łatwiej wybija Turków w Europie. Z taką flotą wojenną, jaką oni jedni tylko mieli natenczas, łatwo mogli nieprzepuścić ich przez Bosfor, ale woleli otworzyć im to przejście, a sami zamknąć się w Carogrodzie. Zdawało się rzeczą niepodobną, żeby hordy konne mogły zdobyć miasto, doskonale utwierdzone, ogromne, ludne i osadzone wojskiem wyćwiczoném. Kiedy wszakże to zaufanie w murach warownych okazało się zbyteczném, musieli wzywać Serbów na odsiecz. Naczelnicy serbscy,

Jug, Lazar i Wukaszyn, wiedli im w pomoc znaczne siły, ale Amurat, na czele lepszego wojska, zaskoczył im drogę niedaleko Taganrogu i zniósł ich do szczytu. Jug i Wukaszyn polegli; Lazar uratował się ten raz i niedługo potem został obwołany królem Serbii, lecz w osiemnaście lat później, Amurat, urządziwszy się w Azji, wylądował znowu na brzeg europejski i zażądał daniny od Serbów. Lazar rozesłał we wszystkie strony z prośbą o pomoc i nigdzie jej nie otrzymał. Król węgierski, sam czyhający na Serbię, pozostał spokojnym widzem walki; cesarze niemieccy nie dali ani wojska, ani pieniędzy; Polska była wtedy jeszcze od tych spraw oddalona i dopiero w lat dwadzieścia potem, wystąpiła na scenę w téj stronie. Lazar jednak, zebrawszy, co mógł, Albańczyków, Bulgarów i Serbów, stanął do boju.

Męztwo króla i zapal jego hufców możeby zostały uwieńczone, ale na nieszczęście wkradła się niezgoda pomiędzy wodzów. Dwaj zięciowie Lazara, najcelniejsi rycerze i panowie serbscy: Miłosz Obilicz i Wuk Brankowicz, powaśnili się zawzięcie. Wuk, powodowany gniewem i zemstą, uknuł zdradę, a mając już porozumienia z sułtanem, rzucał potwarze na Miłosza i chciał uczynić go podejrzanym o tę zbrodnię. Miłosz nie odpowiedział na zarzuty i obelgi, ale w nocy, poprzedzającej bitwę, wzięwszy dwóch towarzyszy, wyszedł cicho z obozu, oznajmił się strażom tureckim, jako odstępeca swoich, i zaprowadzony do namiotu sułtańskiego, kiedy Amurat przyjmował go z radością, on utopił mu nóż w brzuchu. Broniąc się potem mężnie, wielu położył trupem, nim sam rozsiekany został. Czyn ten bohaterski na nic się nie przydał. Owszem, wojsko Miłosza, słysząc uprzednio rozsiwane przeciw niemu pogłoski, a nie wiedząc, co się z nim stało, zachwiało się i straciło serce. Wuk, w chwili najważniejszej uszedł ze swojemi hufcami z pola bitwy; Lazar,

¹⁾ Plac mały. ²⁾ Wymawia się: Delawiń.

po długim i dzielnym oporze na czele reszty, gdy koń padł pod nim, dostał się w ręce nieprzyjaciół.

Historycy rozmaicie opowiadają śmierć jego, ale na największą z pomiędzy nich wiarę zasługuje kronikarz, znany pod nazwiskiem Janczara Polaka. Mówi on, że sultan Bajazet, syn zabitego przez Serbów Amurata, kazawszy przyprowadzić króla Lazara do trupów swego ojca i brata, poległego w bitwie, zapytał go głosem groźnym: »Jak śmiałeś popełnić taką zbrodnię?« Na to król Lazar odpowiedział: »A jak twój ojciec i ty śmieliście nachodzić moje królestwo?« Jeden wierny sługa króla, nieodstępny towarzysz w boju i w niewoli, zaklinał go, żeby odpowiadał łagodniej. »Królu Lazarze,« mówił, »czy twoja szyja jest jak wierzba, iż sądzisz, że głowa ścięta znowu odrośnie.« Nie pohamowało to jednak Lazara; dodał nawet, że gdyby miał u boku to, czego nie ma, położyłby sultana przy jego ojcu i bracie. Sultan kazał ściąć króla. Natenczas towarzysz jego, ukląkszy, rozesłał płaszczy swój, dla przyjęcia głowy pańskiej, a gdy ta już spadła, rzekł: »Poprzysiągłem głowę moję położyć obok głowy mojego pana,« i nachylił kark pod jatagan, który spełnił jego postanowienie.

Taki był zgon ostatniego króla serbskiego.

Adam Mickiewicz. 1841.

8. Bitwa pod Piramidami.

Dnia 21 Lipca (1798 roku) w nocy, ruszyło wojsko francuskie z Omedinar. O godzinie drugiej po południu armija zbliżyła się o pół godziny drogi do wsi Embabeh i rozwinięte kolumny Mameluków spostrzegła. Piramidy zwiastowały szczęście Francuzom. »Żołnierze!« zawołał Bonaparte, »ze szczytu tych pomników czterdzieści wieków na nas patrzy.« Słowa te lotem błyskawicy wszystkie szyki przebiegły i drogę do zwycięstwa wskazały.

Murad-Bej przewodził Mamelukom. Prawe skrzydło oparł o Nil, w bliskości którego naprędce oszańcowany wznosił obóz; 20,000 Janczarów i Spahów z 40 armatami bronić go miało. Lewe skrzydło, ku piramidom ciągnące się, składał sześciotysięczny oddział Mameluków, każdy z trzema fellahami, i trzy tysiące Arabów. Bonaparte, rozpoznawszy położenie wojsk nieprzyjacielskich, dostrzegł, że armaty, z flotyli Nilowej zdjęte, nie mają połowych lawet, a zatem naprzód postąpić nie mogą, równie jak i piechota, która bez dział na żadne natarcie się nie odważy. Tak małe napozór postrzeżenie miało wpływ na plan bitwy i los wygranej. Natychmiast nakazuje Bonaparte poruszenie całej armii ku prawemu skrzydłu, stawiając je poza strzałem artylerii obozowej. Przez to działa na nic się nie przydały nieprzyjacielowi, równie jak i piechota, i tylko bój z Mamelukami pozostał.

Murad-Bej, niedostrzegając jazdy w nieprzyjacielskim wojsku, pewny był zwycięstwa i oświadczył, że »jak melony, posieka Francuzów.« Nie znając bynajmniej taktyki Europejskiej, pojął przecież natychmiast cel poruszeń Bonapartego. Miał on ową trafność, ów bystry rzut oka, który w boju często ważniejszy jest od sztuki wojennej i którym obdarzony wódz, w jednej chwili dostrzega niebezpieczeństwo, i w téjże samej chwili, instynktem niejako wiedziony, środki ku zabiezeniu złemu wynajduje. Tymto sposobem poznał Murad, że wszystko na tém zależało, by przeciwnikowi w rozpoczętych poruszeniach przeszkodzić. Już Desaix z prawym skrzydłem posuwał się poza wieś Embabeh; stykały się z nim, ku lewemu skrzydłu ciągnąc, dywizyje Regniera, Dugua, Viala i Bon, gdy Murad trzecią część jazdy, jako rezerwę dla zasłony obozu, zostawiwszy, z resztą wyruszył naprzód. Natarcie jego było straszne. Dywizya Desaix jeszcze nie była uszykowana; brak wszakże związku w działaniach nieprzyjacielskich

sprawił, iż w dwóch minutach, w których massa jazdy natarcie swego czoła wsparła, już czworobok był sformowany—i dobrze kierowanym ogniem wściekły zapęd jeźdźców zwrócony. Bonaparte znajdował się w czworoboku Dugua, który szybko naprzód postępował, a działa jego okropną rzeź w szeregach nieprzyjaciół szérzyły, gdy ci, odparci od czworoboku Desaix, przez Regniera podobnie przyjęci, do niego się w ślepyim zapędzie zbliżyli. A tak najdzielniejsi wojownicy Afryki, ogniem dział i ręcznej broni zewsząd rażeni, w ślepej odwadze zgubę znaleźli. Mnóstwo legło od bagnetów, wdzierając się w środek czworoboków; inni, chcąc wyłom zrobić, wspinające się rumaki tyłem na francuzkie bagnety cofali; byli i tacy, co między trupami, sami ranni, po ziemi się z szablą w rękę czołgali, aby przynajmniej tym sposobem nieprzyjacielowi w linii cios zadać. Nakoniec reszta porządku w ich sztykach zniknęła. Jedna część pierzchła do obozu, większa zaś massa, pod wodzą Murada, skierowała się drogą ku Gizeh, szukając schronienia w gaju palmowym. Wtedy czworoboki lewego skrzydła ruszyły na oszańcowany obóz, a dwa batalijony, pod dowództwem generałów Rampon i Marmont, pośpieszyły wawozem ku Gizeh, dla wstrzymania Murada od posiłkowania obozu i dla odcięcia zbiegów, do głównej siły chroniących się. Mamelucy, pierzchający z placu, roznieśli w obozie trwogę i zamieszanie; piechota rzuciła się w łódzie, lub wprost w nurty Nilu, aby się dostać do zastępów Ibrahima, równie dzielnego beja, który po drugiej stronie rzeki Kair zasłaniał. Czterdzieści dział nieprzyjacielskich zupełnie umilkło, za ledwie dwieście razy wystrzeliwszy. Znaczna część Mameluków, spostrzegłszy, że fałszywy kierunek w odwrocie wzięła, starając się połączyć z Muradem, rzuciła się na batalijony Rampona i Marmonta. Znowu zacięty bój się rozpoczął; garstka Francuzów nie zdawała się nieprzyja-

cielowi zdolną do żadnego oporu, a gdy przecież morderczym ogniem do odwrotu go znagliła, wtedy Mamelucy pewni byli, że Francuzi z sobą powiązani w sztykach stoją i dla tego przerwać ich linii nie podobna. Nie pozostawała pierzchającym inna droga, jak w opuszczonym obozie schronienia szukać, lecz i ten już był szturmem wzięty, a co z niego w nurtach Nilu nie zginęło, to legło pod bagnetem zwycięzców. Murad wszakże z 2,500 Mameluków uszedł tego losu; przez dwie dywizyje z gaju palmowego, tegoż jeszcze wieczoru, wyparty, cofnął się wraz z Arabami, którzy żadnego w bitwie nie mieli udziału, do wyższego Egiptu, gdzie długo jeszcze trapił Francuzów, póki się nie powiodło generałowi Desaix zawrzeć z nim układ, którego wzajemny szacunek stał się rękojmią.

Nigdy krwawszej walki z tak małą stratą nie stoczono; nigdy zwycięstwo nie było bardziej stanowczem; nigdy korzyść europejskiej taktyki i subordynacyi widoczniejszą się nie okazała. Mnóstwo trupów unosił Nil aż do morza, głosząc wsiom i miastom, że najbitniejsza i najpiękniejsza jazda Wschodu zniszczoną została. Śmiertelna cisza zaległa brzegi rzeki; żadna łódź turecka nie pojawiła się; żaden strzał ręcznej broni słyszeć się nie dał. Wszystko zupełny upadek nieprzyjaciela objawiało.

Zdobycz zwycięzców była w stosunku okazanego w tym dniu męstwa, rozwagi, karności i przytomności umysłu. W rozbitym obozie zabrano 40 dział, 400 wielbłądów, tyleż najpyszniejszych rumaków, a mnóstwo jeńców zebrało łaski zwycięzców. Bonaparte zajął kwatere w Gizeh, w wiejskiem mieszkaniu Murada. W nocy, słupy płomieni rzucały jaskrawe światło na minarety Kairu i sąsiednie piramidy: flotylla Mameluków na Nilu gorzała. Woleli ją spalić, niż dopuścić, aby skarby, na niej zgromadzone, w ręce nieprzyjaciela wpaść miały. Lecz skarby poległych obficie wynagradzały radością upojonych

zwycięzców. Wojownik wschodni obóz za swe schronienie uważa i dla tego zwykle całe mienie z sobą zabiera, które pospolicie składa się z koni, oręża, pieniędzy, drogich kamieni, pereł, szali i tym podobnych, łatwo z sobą unosić się dających rzeczy.

W mieszkaniu Murada zbyt kowna okazałość łączyła się z brakiem europejskiej wygody. Widok nowy przywołał na pamięć powieści arabskie. Poduszki i dywany, ciężką materiją jedwabną powleczone, złotemi tresami ozdobione, rozciągały się wzdłuż ścian. W ogrodach pełno najprzyjemniejszych owoców południowego nieba, lecz żadnych chodników, gdyż Muzułmanin nie uważa chodzenia za rozrywkę, za przyjemność, lecz za utrudzenie. Koberce, wazony, wonnościami napełnione, rozliczne gatunki różnie przyprawnych owoców i mnóstwo innych drobiazgów, zwracało ciekawość Francuzów.

Tomasz Dziekoński. 1841.

B). OBRAZY Z DOMOWEGO ŻYCIA NARODÓW.

1. Turnieje w wiekach średnich.

Turnieje pospolicie odbywano w miastach znaczniejszych, jużto dla większej okazałości, jużto dla łatwiejszego pomieszczenia rycerzy, o których wygody starać się musiał ten, kto turnieje wyprawiał. W Niemczech zwykle rynek bywał placem turniejów; we Francyi otwarte pole za miastem.

Skoro się zebrali zaproszeni rycerze, z których każdy mniej więcej liczny dworem przybywał, a w okazałości ubiorów i rynsztunków jeden drugiego przesadzał, wznoszono w oznaczonym miejscu pyszny tron dla monarchy, ozdobiony najbogatszymi materyjami, złotem i srebrem suto

haftowanemi; strusie pióra, w różne kolory farbowane, nad pokryciem tronu igrały z powiewem wiatru. Po obu stronach tronu, zwykle pod témże pokryciem, były siedzenia dla kobiet; dalej wznosiły się galeryje mniej więcej ozdobne, stosownie do widzów, dla których były przeznaczone, a przed niemi szranki, z obu stron mocnemi baryjerami opatrzone, z dwiema przerwami: do wchodzenia i do oddalania się. Rycerze, pierwszy raz w szranki występujący, obowiązani byli, przed wyznaczoną w tym celu rycerską starszyzną, wywieść swoje pochodzenie szlacheckie z dziadów i pradziadów, dowieść nieskażonego życia i przedstawić poprzednie znakomite czyny rycerskie.

Skoro monarcha i dostojniejsi goście zajęli miejsca, bogato ubrani heroldowie wyzywali rycerzy w szranki. Wtedy dopiero, na dzielnych rumakach, strojnych w bogate rynsztunki, wjeżdżali rycerze w okazałej zbroi, a oddawszy pokłon monarsze i damom, rozpoczynali harce. Giermkowie i pазie zajmowali miejsce oznaczone, trzymając tarcze i chorągwie z herbami swoich rycerzy. Trąby, surmy i kotły grzmiały wojenną muzyką, podnosząc zapal walczących. Niekiedy po kilku i kilkunastu rycerzy z każdej strony występowało do walki; pospolicie jednak dwóch tylko walczyło. Z początku używano tępych szabli i długich dzid bez ostrza, które się kopijami nazywały. Tryjumpf walki polegał na zwałeniu przeciwnika z konia, przy czém największym było zaszczytem ugodzić kopiją w czoło i żelazny szyszak strącić z głowy przeciwnika. Strzaskanie dzidy również przynosiło zaszczyt, tak dalece, iż większa lub mniejsza liczba skruszonych, jak mówiono, kopij, stanowiła większą lub mniejszą sławę rycerza. Ciężka szabla służyła do walki pieszej, lecz i konni rycerze nieraz jej używali. Nagrodą zwycięzcy był puchar misternej roboty, a najczęściej szarfa, którą odbierał z rąk damy, wśród odgłosu muzyki i wesołych okrzyków rycerzy

i zgromadzonego ludu. Całą zabawę kończyła wesoła biesiada, w czasie której minstrele, czyli poeci, w ułożonych na cześć tryumfującego rycerza wierszach, sławę jego i przodków przy odgłosie muzyki opiewali.

Zczasem, na takich turniejach, pozwolono dwom zwanym rycerzom w pojedynczej walce dochodzić wyrządzonej urazy i ci wtedy już używali ostrój broni. Od tego zwolna wchodził i zakorzeniał się zwyczaj gonić na ostre, a wtedy rycerskich turniejów szranki, krwią zlane, postać rzeczywistej bitwy przybierały. Jakkolwiek kościół powstał przeciw takim walkom i monarchowie zakazywali ich swoją powagą, jednakże ani klątwy kościelne, ani zakazy królów zapobiedz temu nie zdołały. Odtąd turnieje stały się celem prześladowania i powoli upadać zaczęły, a z nimi razem i duch rycerski zniknął. Ostatni cios zadał im wynalazek prochu; wtenczas bowiem osobista siła na niewiele się przydała, a do broni palnej trzeba było zręczności wcale innej, niż do kopii. W końcu więc XV wieku rzadko już odbywano turnieje, a w XVI — całkiem o nich zapomniano.

Tomasz Dziekoński.

2. Rękawka.

Trzy mogiły śliczne sterczą ponad Wisłą, dokoła Krakowa; prędzej on w gruzach legnie, aniżeli potęga czasu zrówna z ziemią te niebotyczne pomniki. Wszystkie trzy należałoby zwiędzić; tymczasem pójdź ze mną, czytelniku, zaprowadzę cię na jedną z nich, na najstarszą.

Oto wiosna zaledwie pierwsza zaczęła stawiać kroki; wschodni wietrzyk ostrzega chłodnym podmuchem, że technienie mrozu może zabić jej najrańsze dziatki, pierwiosniki.

Na pochyłościach Krzemionek, w rozpadlinach skał, bielą się jeszcze gdzieniegdzie śniegi; dno Twardowskiego

katedry pokrywa jeszcze biały, poszarpany całun; święta Wielkanocne kończą się. Trzecia doba upływa, jak dzwony czterdziestu świątyni Krakowa ogłosiły doroczną pamiątkę zmartwychwstania Chrystusowego. Wesołe tłumy śpieszą stromemi drożynami na szczyt góry, gdzie na krańcu bieleją białe ściany kościółka św. Benedykta. O kilkaset kroków, na najwznioślejszym miejscu płaskowzgórza, sterczy wysoka mogiła. Kiedy powstała, kto ją usypał, w jakim celu? Pytaj ksiąg starych; one coś o tém wiedzą, ale jeżeli nie chcesz się trudzić i przerzucać zatęchłych kronik, zaczej którego z tych dziarskich parobczaków, co wesoło pędzą na wierzchołek — zagadnij starca, co tam o kiju z trudnością pnie się do góry, albo sędziwego żebraka z mlęczną brodą, co pod figurą święte wyśpiękuje hymny — lub tego dzielnego chłopka, co, w śnieżystej sukmanie i płonącej z pawiem piórem czapce, dąży ku kościółkowi. Oni ci powiedzą, jako przed laty, w pieczarach Wawelu, żył smok ogromny, który dokoła spustoszenie szerzył, a najdrobniejszą dziatwę krakowską pożerał; oni ci powiedzą, jako naonczas Krakus, król, czy książę tutejszej ziemi, bolał nad nędzą uciśnionego ludu, a idąc za radą Skuby, mądrego szewca, podrzucił smokowi barana, napelnionego zapaloną siarką i żywicą. Ryczał z wielkiego bólu straszliwy potwór i wypił połowę wody z Wisły, a żaru nie ugasił, aż nakoniec zdechł, rozciągnawszy cielsko u podnóża góry. Wtedyto lud, oswobodzony od długoletniego ucisku, umiłował sercem i duszą swego wybawcę, a kiedy umarł, żal był srogi po całym Podgórzu i usypano mu mogiłę na 30 łokci wysoką; sypano ją czas nie mały, boć tam nie taczki, ani wozy przewożyły ziemię, ale zarówno młody i stary, biedny i bogaty, mąż i niewiasta nosili ją w swych rękach, a kto miał szerokie rękawy, — w rękawach. I nazwano ją, ku pamięci potomków, Rękawką, ażeby wiedzieli, ile pracy kosztowała i jak

ją sypano. Po ukończeniu mogiły Krakusa, »starsi i najmniejsi narodu hojnie uczestowali lud biedny, pochyłość góry zalegający. Kto był bliżej, brał w ręce; dalej stojącym rzucano przez głowy, aby każdy był nasycony, a pamiętał, że tu spoczywa wódz i książe, który naród w zły uratował chwili«.

Od tego czasu śpieszą co rok Krakowianie oddawać hołd miejscu, gdzie ich dziadowie żal swój zagrzebali. Nie kilkato gromadek, ani kilkadziesiąt, ale niezliczone tłumy ciągną na wierzchołek Krzemionek, obchodzić lubą pamiątkę, od dziecinnych lat ukochaną.

Wesoły gwar rozlega się na płaszczyźnie. Dokoła kościółka szerokim taborem zaległy przekupki; na białych płachtach rozłożyły rozmaite łakocie, od pospólstwa ulubione. Piętrzą się piramidy orzechów, jabłek, obwarzanków i pierników. Włóścianie z Liszek i Golkowic zasiedli ze swemi słynnemi kukielkami; ciastka, kołaczki, cukierki, figi i daktyle, misternie rozłożone na straganach, wabią ku sobie dziatki. Z innej strony rozłożono zabawki drewniane prostej roboty, jaskrawo ubarwione: więc wózki, łódeczka, szafki, stoliczki, i białe siekiérki z czerwoną, lub niebieską kratką, i gliniane dzwoneczki, i żółte piszczałki, niemniej pociągają ku sobie młodziuchne pokolenie. Scylla¹⁾ to i Charybda dla dziatwy. Ale rzecz dziwna, że nie same dzieci korzystają z tych bogactw, obficie nagromadzonych: dorośli najwięcej kupują. Dziwi się rękawiczka palijowa, że jej każą dźwigać ogromną kukielkę; zżyma się cieniuchna chusteczka koronkowa, że w nią sypią jabłka i pierniki. Na kunsztownej laseczce niesie paniczek kilkanaście nanizanych obwarzanków. Wszystkie klasy społeczeństwa zwirowane, zmieszane w jeden ogromny

¹⁾ Scylla i Charybda — dwie niebezpieczne w starożytności skały, gdzie dziś cieśnina Messyńska.

tłum; każdy na wyścigi kupuje; każdy tłoczy się na krąg wędz góry, nie tknąwszy zakupionych łakoci. Jaki ścisk, jaka wrzawa! Jakiegoż wysilenia potrzeba, ażeby przebić się przez te żyjące fale i dostać do brzegu!

Nakoniec stajemy. Niezwykły widok przedstawia się oczom zdumionego wędrowca, nie znającego zwyczajów krakowskich i obchodu Rękawki. Cała pochyłość wzgórza zasypana tysiącami chłopców; niżej stoją doroślejsi, u stóp góry — starcy i kaléki. Z wierzchołka, jak z rogu Amaltei, sypie się deszcz zakupionych łakoci. Jak z groźnej baterii, wylatują nieustanne pociski: kartaczami leżą orzechy i jabłka; zręczną ręką wyrzucone obwarzanki, ogromne, jak bomby, zakręślają łuki; kiedy niekiedy bochen chleba, placek, lub babka, z jękiem skacze po stromym wzgórzu, a grożąc nieostrożnym, wymykając się mniej zręcznym, albo staje się łupem zgrabnego łowcy, albo, dosięgszy spodu, dostaje się biédakom, tam zgromadzonym. Wesołe okrzyki i prośby, przeplatane dowcipnym słówkiem, wrodzonym ulicznikom krakowskim, głuszą niemal gwar, panujący na górze. Niekiedy pomarańcza, lub inny wytworniejszy przysmak, *rara avis*¹⁾ na polu tutejszém, zaciętszą sprowadza walkę. Jeżeli doroślejszy pochwyci zdobycz, roje malców usiłuje mu ją wydrzeć, a przysłowiu *nec Hercules contra plures*²⁾ literalnie się tu sprawdza. Stojący bliżej proszą okrzykiem: »Dołem, panoczku!« żeby im rzucać; stojący dalej wołają: »Górá! górą!« bo tym sposobem prędzej coś uchwycą. Zręcznemu zapaśnikowi towarzyszą huczne brawa, niezgrabnemu — śmiechy; słowem, swoboda tu panuje zupełna. Każdy otwarcie oddaje się powszechniej wesołości: nie masz przymusu; nie słychać sarkastycznych uwag, ani francuzkiego żargonu.

¹⁾ Rzadki ptak. ²⁾ Sam Herkules nie podolał przeciw liczbie.

Słońce schyla się ku zachodowi; zgromadzenie topnieje; ogień baterij słabnie; gwar cichnie; Krakowianie powracają do domu. Słysząc tylko po drodze wołanie żebraków i śmiechy wesółch chłopców, którzy, podskakując, zajądają obfite łupy. Dawniej, kiedy żył Artur hr. Potocki, ten Krakowiak duszą i ciałem, obfitsze jeszcze na Rękawce zbierano żniwa. Zakupywał on całe zapasy od przekupki i koszarą kazał sypać pomiędzy pospólstwo. To też pamięć jego po dziś dzień żyje, a starzy inwalidzi Rękawki opowiadają o nim dzieciom swoim różne anekdotki, kończąc zdaniem, że był bogaty i hojny, jak sam Krakus.

Jeżeli wierzyć można rozповідaniom starych i żywej tradycji ludu, dwanaście wieków trwa już obchód Rękawki. Być może, iż niegdyś świetniej się odbywała, ale nie serdeczniej. Dwanaście wieków Krzemionki oglądają corocznie wesółch gości, a staro-słowiańska gościnność nie wyczerpała się dotąd i jednakowo się utrzymuje.

Wład. Ludwik Anczyc. 1860.

3. Uroczystość Mulid-en-Nebi w Kairze.

Przybyliśmy do Kairu na zamknięcie uroczystości Mulid en Nebi, to jest urodzin proroka. Pierwszy rzut oka na plac Ezbekieh przekonywał o tém. Po wszystkich alejach ciągnące tłumy, bezustanne okrzyki i śpiewy, migające różnobarwne sztandary i znaki pośród sykomorów i akacyj, wystrzeliwujące szczyty namiotów i estrad, przybranych w różnokolorowe świedla, wszystko to zapowiadało dzień świąteczny.

Nie było nawet czasu przebrać się w oberży, bo właśnie w tej chwili najciekawsza część ceremonii, towarzyszącej świętu urodzin Mahometa, odprawiać się miała. Uroczystości tej widzieć nie można już nigdzie, tylko w Kairze, gdzie fanatyzm islamizmu ma jeszcze swoje

siedlisko. Wpadłem zatem na pierwszego lepszego osła, którego mi podano, i przyłączyłem się do towarzystwa, z kilku osób złożonego.

O kilkaset kroków od hotelu, dostaliśmy się na część placu, wiodącą do tak zwanego starego Kairu—z drzew, oprócz rzadkich wiekowych sykomorów, całkiem оголоconą. Tysiące ludu zalegało obszerną płaszczyznę, na której rozbite były namioty i powbijane ogromnej wysokości słupy, połączone z sobą linami w rozmaitych kierunkach. Niezliczone mnóstwo wstęg i sztandarów majaczyło w powietrzu i przedzielało gęste tumany wznoszącego się kurzu. Obrazu tego, oblanego prostopadle padającymi promieniami słońca, z niczem porównać nie można było, chyba tylko z krzykami, od których trzęsła się rozpalona atmosfera. Całość przedstawiała harmoniję, jakkolwiek rażącą. W chwili, gdym zatkał uszy, zdało mi się, że do takiego obrazu potrzeba takiego krzyku, i nawzajem, przy zamkniętych oczach, myśl podobne krzyki w takim mieściła obrazie. Jak w okrzykach, które się rozlegały, nic prócz głosu ludzkiego rozróżnić nie można było, tak też i w masach, które je wydawały, prawie niepodobna było pochwycić ani wyrazów twarzy, ani ubiorów: nic, prócz mieszaniny wszelkich kolorów, zmieniających ciągle położenie, w bardzo gwałtownych ruchach i gestach.

Pod opieką drogmana, wziętego z hotelu, wjechaliśmy w szpaler dość wązki, który przez sam środek tych tłumów utrzymywało z ciężką białą wojsko, pod bronią stojące, i policyjanci, zaopatrzeni w kurbacze. Szpalerem tym, miał po ciałach ludzkich przejeżdżać »święty turecki« czyli santon, to jest derwisz, uznany za takiego, z powodu nadzwyczajnych egzaltacyj i napadów epileptycznych, które tu za natchnione uchodzą. Ceremoniję tę trawienia ludzi konno, nazwaną *doseh*, odbywał teraz szeik, czyli przełożony derwiszów, sekty Sadieh, który jest kaznodzieją

w Ehatib, w meczecie Hassana i ma przywilej tego cudu. Cud naturalnie ma zależeć na tém, aby nikogo z leżących na ziemi nie uszkodzić. Przepędziwszy noc na modlitwach, po odbytem w meczecie nabożeństwie, udawał się na to właśnie miejsce, gdzieśmy się znajdowali i gdzie lud cały oczekiwał jego przybycia.

Towarzystwo nasze, jak powiedziałem, wjechało na osłach w środek szpaleru. Z pośpiechem poskoczyło ku nam kilku, zda mi się, oficerów—i umieściło nas tuż za szpalerem, w miejscu, z którego, jak mówili, wszystko dokładnie będziemy mogli widzieć. Wielki był czas, abyśmy się usunęli, bo jednocześnie prawie ujrzelśmy masę ludzi, biejącą szpalerem w najokropniejszych konwulsjach, krzyczących przeraźliwym, a przecież wycieńczonym głosem: »Allah! Allah!«, wywracających się, tarzających się po ziemi, targających na sobie odzienie, wydzierających sobie włosy, łypiących oczami. Obok nich biegli inni, krzyczący podobnie, przewracający pierwszych i zmuszający ich biciem i kopaniem, aby, raz upadłszy, nie powstawali więcej.

Ludzie w konwulsjach, a było ich kilkuset, leżeli już wszyscy na ziemi. Byli to derwisze fanatycy, którzy, chcąc przyjąć udział w cudzie, zapisali się w wiliją, co za wielki uważane jest zaszczyt i daje niejako świadectwo pewnej doskonałości religijnej.

Ale łatwiej się zapisać, niż rzucić pod końskie kopyta. Z téj przyczyny, wycieńczwszy ciało postem i przygotowawszy się małą dozą drażniącego narkotyku, ludzie ci zbierają się od rana na modlitwę, to jest krzyczą i rzucają głową, ciałem, w prawo i w lewo, kręcą się wkoło, słowem, odurzają się i męczą dopóty, dopóki wysileniem fizycznym nie dojdą do pewnego stopnia zawrotu, lub konwulsyj. W tym stanie dopiero przybiegają pędzeni przez lud, który, jak powiedziałem, pomaga im z wielką energiją

i zapalem do spełnienia przyjętego zobowiązania. Tych, którzy się sami nie przewrócą, lud obala gwałtem i zmusza razami do ułożenia się jeden tuż obok drugiego, twarzą do ziemi i to pod linią; psujących symetrię ciągnie: tego za nogi, tamtego za głowę lub ręce, pięścią lub kurbaczem zalecając spokojność, dopóki nie nadjedzie oczekiwany święty.

Niebawem ukazała się procesyja derwiszów, poprzedzona muzyką i sztandarami, która, wśród okrzyków: »Allah!«, przeszła w całości przez nieszczęśliwych towarzyszy, po większej części już jak bez ducha leżących. Zostawiony był do przejścia tak ciasny szpaler, że z jednej strony nóg, z drugiej zaś głów tych ofiar fanatycznych bezpośrednio dotykał. Zaraz za procesyją jechał na ogromnym koniu, po prostu mówiąc, opasły Turek w zielonym turbanie. Ów oczekiwany święty był człowiekiem, mającym może 40 lat, z czarną niewielką brodą, ubrany dość bogato. Kiwał się na koniu, jak pijany; wyraz twarzy miał śpiący.

Na widok jego powstały krzyki zagłuszające, a między nimi jeden zupełnie nowy, jakby tysiąca gdaczących indyków. Krzyk ten, całkiem odrębnej i dzikiej oryginalności, jest sposobem wyrażenia radości, zapалу, entuzjizmu, u kobiet, nie tylko w Egipcie, ale na całym Wschodzie. Takim krzykiem zagrzewają one do bitwy i towarzyszą walce Beduinów; z takim krzykiem słyszałem później wjeżdżające do Jerozolimy karawany Koptów; takim nareszcie krzykiem wyrażają wszelkie uciechy i udział w zabawach i uroczystościach. Gdyby nie ten krzyk, nie byłbym nawet wcale spostrzegł obecności kobiet, w téj massie ludu, jaką miałem przed sobą. Obejrzawszy się dopiero w kierunku, z kąd krzyk dochodził, spostrzegłem, że tysiące kobiet razem zebranych, z czarnymi woalami na twarzach, w niebieskie chustki udrapowanych, stało nieco na ustroniu.

Tymczasem koń świętego, w piękny rząd przybrany, wstrzymał się nieco przed ową drogą, z ciał ludzkich ułożoną, a ułożoną tak, iż nie było sposobu postawić kopyta bez nastąpienia na ciało. Był to jakby kobierzec usłany bez żadnej przerwy. Po krótkim oporze, szlachetne zwierzę postępować zaczęło, a tentent głuchy i miękki, zdało mi się, dochodził moich uszu. Dwóch ludzi prowadziło konia za cugle i starali się utrzymać go tak, aby nie schodził z linii i tratował tylko części ciała między krzyżami i kolanami. Każde zboczenie było dla leżących nieboraków bardzo niebezpieczne, a jednakowoż nie obeszło się bez przypadków, dlatego właśnie, że go prowadzono. Chociaż mi mówiono, że koń bywa do tego spaceru wprawiany (nie rozumiem, jakim sposobem), zda mi się, że derwisze lepijby na tém wyszli, gdyby się całkiem szlachetnemu instynktowi zwierza, zwłaszcza z rassy arabskiej, powierzyli. Bądź co bądź, chociaż koń był niekuty, cud, według mnie, nie udał się. Skoro bowiem święty, bardzo do Bachusa podobny, przejechał, ujrzałem na dwóch przedemną leżących ślady krwi na biodrach i karku; sądzę więc, że pokalęczonych było wielu. Ale u sfanatyzowanych wyznawców islamizmu cud udaje się zawsze, bo jeżeli znajdą się zranieni, dowodzi to tylko, że tacy nie byli godni zaszczytu brania w nim udziału. Wstyd jedynie na nich spada i czémprędzej odprowadzani zastają do przygotowanego na ten cel szpitala. Nie mniej przerażający, a może okropniejszy od widoku krwi, był widok ludzi tych, z których jedni sami się porwali i dalej biegli, jak szaleni; drugich podejmowano bez zmysłów i odnoszono, nie mogąc ich do przytomności przywrócić; inni znów w ciągłych byli konwulsjach, rzucali się i szamotali, tócząc pianę i krzycząc głuchym głosem: »Allah!«

Nie mogąc pozbyć się wrażenia nader przykrego, jakie na mnie ta okropna ceremonija sprawiła, postanowiłem

odpędzić je inném i pojechałem do miasta. Przejżdżając przez Ezbekieh, aby się dostać do głównej ulicy, widziałem wszelkiego rodzaju huśtawki i koła, w których błazny, zwani tutaj *sutari*, bawili publiczność przedstawieniem, włoskiego pulczynella przypominającym; to znów przybiegali do mnie czarnoksiężniki i żonglery, ofiarując się za piasra zjeść żywego węża, którego trzymali w ręce. Wszystko to było zakończeniem uroczystości, równie parzywém, jak ona sama. Jedna tylko była ciekawa w niej strona, dająca poznać wielkość stolicy Egiptu, to jest, że z ruchu i ludności, jaką tu się widziało, nikt by się nie mógł domyśleć, że tak ogromne massy ludu i na inném również zebrane są miejscu.

Żadna stolica nie może dać wyobrażenia o Kairze. Przebiegając ulice bez nazwy, bez bruku, ciasne, krzywe, kręte, co chwila kończące się impasem, zasłane śmieciem wszelkiego rodzaju, pokryte kawałkami plecionek z trzciny, które je od promieni słonecznych bronić mają, a złożone z dwóch rzędów domów, czasem pięknych, jakby pałaców, częściej nędznych, zawsze nieforemnych, przegradzanych co parę kroków to lepianką, to ruiną—przysiadz można, że się krąży w prawdziwym labiryncie. Mało kto chodzi w Kairze piechotą, oprócz pospólstwa: wszystko jeździ na koniach lub osłach; obładowane wielbłądy snują się szeregiem; bawoły ciągną wozy na niskich kółkach, których osie niesmarowane skrzypią nielitościwie; wszystko idącemu piechotą zagraża i w ciągłych jest on obrotach. Ekwipaże, lubo rzadkie, pędzą kłusem, poprzedzane laufkami; wojskowi i zamożniejsi jadą na koniach lub mulach, reszta—na osłach. Krzyk saisów i burychijerów: *rygelak! szumala!* (na prawo! na lewo!) bezprzestannie i chrapliwie odbija się w uszach; gwar sprzedających, z towarem na wózkach, taczkach, lub na głowie, połączony ze skrzypieniem kół, słuch rozdziéra; tu kaléki ciągną

za suknie i płaczą dla wzbudzenia litości; tam — kłótnia, która niczém inném nie jest, tylko dobijaniem targu; dalej znów derwisz, na progu meczetu leżący, otoczony ko-
biętami, udziela im rad; a w całej téj ludności, na 20 osób, zdało mi się, że jeden był ślepy, dziewięciu jedno-
okich, a połowa tylko zdrowe miała oczy. Oto w ogól-
nych rysach obraz, jaki mi, w przelocie po raz pierwszy, ulice Kairu przedstawiły.

Maurycy Mann. 1854.

4. Religija, nauki i sztuki u starożytnych Rzymian.

a). Religija.

Rzymianin głęboko szanował, co mu religija za boskie podawała. Wprawdzie ciemno tylko, niewyraźnie bogi swoje pojmował, ale o wpływie ich na losy państwa, na stosunki społeczne i rodzinne, mocno był przekonany. Samodzielny, czynny, Rzymianin lubił bezwarunkowe i ściśle wykonywanie obrządków; z głęboką czcią dla potęg nadumysłowych, wierzył w zawisłość człowieka od istot niebieskich. Z téj wiary wypłynęło mnóstwo obrządków i przepisów, odbywanych z sumienną troskliwością, wedle prawa, podań, lub zwyczajów przodków. Przez modły, śluby, ofiary dziękczynne, igrzyska, naród uczucia swoje dla bogów tłumaczył. Wieszczby używał, badając wolę niebian dla kierowania sprawami państwa, bo religija najściślej połączona była z celami państwa; z państwem się téż rozwijała. Od kolébki nieśmiertelnego miasta, w rękę kapłanów, znakomitych rodzin, mężów stanu i wojowników, najdzielniej przykładala się do wielkości narodu. Religii winni Rzymianie większą część swoich cnót, mianowicie rzetelność i miłość prawdy. Nawet popędliwi i dzikiej duszy

hetmani słuchali jój głosu, bo, przy pomocy bogów, nie tylko umysł wojska, ale same losy przewyćżali. Nie była jednak religija wyłącznie tylko służebnicą, środkiem dla państwa, chociaż, w potrzebie, przez wieszczbę i inne przemyślnie zabiegi, naczelnicy kraju stér rządu sprawowali. Religii przodków, czci bogów, w głębokiej wierze, przypisywał Rzymianin powodzenie narodu, pierwszeństwo swoje nad innemi ludami, świętą potęgę państwa, na ziemi, jak twierdził, jedyne.

Obrządki były dwojakie: publiczne i prywatne. Pierwsze tyczyły się ogółu, drugie — rodzin pojedynczych. Jedne i drugie zostawały pod tarczą prawa kapłańskiego. Rzymianie, pobbazający dla religii obcych ludów, bogów ich szanowali, swojej — nikomu nie narzucali, ale mieli ją za klejnot, za najdroższą puściznę przodków, za podstawę wielkości państwa. Moralny wpływ religii rozléwał się na wszystkie strony; skutkiem jego były: cześć bogów, wykonywanie obowiązków dla kraju, rodziców, krewnych, przyjaciół i obcych nawet, szanowanie prawa gościnności, wstręt od złej wiary, podejscia, lub innych zbrodni, bo, wedle zasady religii rzymskiej, bogowie brzydzą się złem, karzą zbrodnie, wynagradzają cnoty. Zasada ta, przeszedłszy w życie narodu, była podstawą jego wielkości. Póki Rzymianin czcil swych bogów i w pokorze ofiary im składał, był wielki; gdy szydzić z nich zaczął, a bezbożność wzrastała, Rzym chylił się do upadku.

b). Nauki i sztuki.

Rzymianie, jako lud polityczny, obrali dla siebie przedewszystkiém zakres działania, zakres wielkich czynów. Występując samodzielnie w rzeczywistości życia, lubili zatrudnienia praktyczne, trudy obozowe. Zamierzywszy wyjść na bohaterów świata, przepisować ludom prawa, wydali

mnóstwo nieustraszonych wojowników, ale Homerów, Platonów nie mieli. Na drodze działań w zakresie rzeczywistości, nie byli do Greków podobni, bo, chociaż, jak Grecy, rozważni i umysłowi, nie poświęcali się jednak wzniosłym badaniom ducha, wyższemu rzeczy pogładowi, życiu harmonijnemu. W sztukach i umiejętnościach Rzymianin nie był twórczy; polityczny jego zawód, czyny wojenne, przeszkadzały mu do wyższego ukształcenia, do swobodnych, rzeczywistych uczuć ducha. Działając bezprzestannie na zewnątrz, przekształcając państwa i ludy, rozwijał siły zewnętrzne, a nie kształcił życia wewnętrznego. Taki kierunek, od pierwszego zawiązku narodu, Rzymianom nadany, kazał im mierzyć rzeczy wedle ich użyteczności. Nie byli Rzymianie, w ścisłym znaczeniu wyrazu, poetami, lub filozofami, lubo mądrość grecką w porze właściwej strawili i do owocu przywiedli. W naukach, prócz prawa, wymowy i historii, naśladowali Greków; na polu historycznym, na niwie politycznej, są dopełnicielami starożytności. Grecy i Rzymianie są jej wyobraziciele: Grek przez życie duchowe, wewnętrzne, umysłowe—Rzymianin przez zewnętrzne, rzeczywiste, polityczne. Rzym połączył nauki i ducha wschodu i południa z duchem Europy. Zwyciężywszy Afrykę i Azyję, staje się ogniskiem ludów dawnego świata, zléwa ich umiejętności w jedną całość pod swoim berłem; dawne rozproszenie ustaje: bezsilna sobą, oddzielność występuje w pierwszej powszechnej postaci.

Jan Szwajnic. 1846.

5. Walki gladyjatorów w starożytnym Rzymie.

Już od samego świtu zapelniają się wszystkie miejsca wspaniałego Kolosseum ¹⁾. Tłum ciśnie się gwałtem,

¹⁾ Kolosseum był to ogromny amfiteatr w Rzymie, wystawiony w I wieku po Chrystusie; ruiny jego istnieją po dziś dzień.

popychając się i tłocząc, gdyż za chwilę nie będzie w środku miejsca—i tysiące ciekawych chyba tylko pod murami przysłuchiwać się będą przeraźliwemu krzykowi dzikich zwierząt, albo okrzykom jeszcze dzikszej od nich publiczności.

Już wchodzi cesarz z rodziną swoją i zajmuje wspaniałą lożę; za nim wchodzi urzędnicy, westalki ¹⁾, kapłani, a wszystko strojne, jakby na gody, uśmiechające się radością, krwi chciwą. Kobiety, przybrane w najcudniejsze kwiaty, błyszczą pięknnością, drogiemi kamieniami, złotem, ale ich serce to głaz; na ich licach uśmiech anielski, a ich dusze — zimne, bez miłości bliźniego.

Zgiełk i hałas ciśniętych i cisnących się, nawoływanie się wzajemne, rozmowy i śmiechy, ucichają naraz i oczy blisko sta tysięcy widzów zwracają się w stronę, przeciwległą loży cesarskiej, gdyż z bramy otwartej zaraz pokażą się gladyjatorowie. Muzyka gra wesoło: trąby, jakby głoszące wspaniały tryumf, zanoszą głosy, może o pomstę wołające do tronu Boga, albo proszące o zmiłowanie dla nieszczęśliwych ofiar, które processjonalnie wprowadzają na arenę. Jedna ich część — konno, inni — na wozach, pstro pomalowanych, reszta — pieszo. Ubranie na nich — lekkie, na głowach — hełmy. Idą wprost ku loży cesarskiej, a stanawszy przed nią, wykrzykują głosem wielkim, może rozpacz, może wściekłości: »Pozdrawiamy cię, cesarzu, stojąc nad grobem.«

Po wyborze broni przez urządzającego widowiska, rozpoczyna się bój gladyjatorów. Ponury głos trąb, jakby marsz pogrzebowy, przejmuje serce widza, w którym się jeszcze zostało jakieś uczucie ludzkości, a przenikliwy głos piszczałki jest jakby głosem nieszczęśliwego, który pod razami przeciwnika ból i cierpienia w jękach zdradzać będzie.

¹⁾ Kapłanki bogini Westy.

Gładyjatorowie występują pojedynczo, albo partyjami, ubrani wedle zwyczaju narodu, do którego należą.

Naprzód występują gładyjatorowie z zawiązanymi oczyma, jakby dla igraszki, a machając mieczami na oślep wokoło siebie, wymierzają większą część razów napróżno. Następnie powstaje rodzaj gonitwy między gładyjatorami, zwanymi *siatnikami* (*retiarii*), którzy prawie zupełnie nadszy, uzbrojeni tylko w sieć, trójząb i sztylet, uciekają przed przeciwnikiem, uzbrojonym w hełm, pancerz, tarczę i miecz, albo przed Gallem, noszącym ciężką zbroję, albo przed Myrmillonem, tak zwanym od ciężkiego wielkiego noża, mającego kształt sierpa. Walka jest zacięta i żarliwa; razy padają ciężkie; każdy z przeciwników zręcznie i ostrożnie unika śmiertelnego ciosu. Wtém nagle zwraca się siatnik, rzuca się, jak grom, gwałtownie na przeciwnika, a mimo ran, zadanych mu przez niego, zarzuca nań sieć swoją i uwikławszy go w nią, wlecze przez całą arenę, sierpem straszliwe zadając mu ciosy. Gdzieindziej znów, odwrotnie, zwycięża Gall lub Myrmillon, a biedny siatnik, powalony na ziemię, oddaje ducha.

Następnie występują szermierze, zwani *ducicielami*, którzy starają się zarzucić sobie nawzajem na kark stryczek, aby przeciwnika udusić. Dalej walczą z sobą *essedarii* z wozów, nareszcie właściwi gładyjatorowie, albo pieszo, mając w lewej ręce tarczę podłużną, a w prawej długi pałasz, albo konno, z długą lancą.

Im większy zapal w walczących, im większa ich zamiętłość, ich wściekłość i męztwo, tym większy szal w widzach. Patrzcie! owe niewinne westalki, owe tysiące poważnych senatorów i obywateli, potomków Cyncynatów, Fabrycjuszów i Scypijonów, tysiące tych matron i pięknych dziewic rzymskich, byłyby gotowe wyskoczyć na scenę, ale nie jako one Sabinki, aby rozbroić braci, walczących z sobą, lecz aby mieć udział w walce; tak zapalone

ich twarze, taki ogień w ich wzroku, takie głosy z ich piersi. O! w tych piersiach zastygły serca, bo gdyby sto tysięcy serc ludzkich zatętniło naraz prawdziwą miłością bliźniego, to by Bóg sam zesłał ślepotę na walczących z sobą, aby się nawzajem mordować nie mogli, i nie byłby potrzebował zsyłać dnia tak okropnego i strasznego, jakim był dzień, w którym tyle tysięcy widzów, radujących się z śmierci bliźnich, znalazło śmierć pod gorącym popiołem, w amfiteatrze w Pompejach. Ale nie! patrz! tam oto znurzony gładyjator, krwią zboczony, powalony na ziemię, przykłęka na kolano i wyciąga ręce na znak, że błaga zgromadzoną publiczność o łaskę; od publiczności zależy życie lub śmierć powalonego. Zwycięzca ogląda się dokoła, czekając na jej rozkaz. Ależ to tylko podły gładyjator! Smaganiem i rozpalonem żelazem trzeba go było zmuszać do walki! On śmierci w oczach ludu rzymskiego nie uważa dla siebie za honor; nie walczył dość mężnie, więc obraził lud, a przeto niech ginie! I podniesieniem w górę palcy lud daje znak śmierci, a nieszczęśliwy zadaje ją sam sobie, topiąc miecz w piersi; lud zaś, wznosząc okrzyk piekielny, raduje się strumieniowi, który wytryska z serca, szlachetniejszego może, niż wszystkie serca zgromadzonych widzów.

Tam znów w innej stronie walczy mężny gładyjator, potykając się dzielnie i śmiało broniąc swego życia, lecz wtém wywraca się w zapędzie i już przeciwnik ma mu głowę rozplatać podniesionym mieczem, kiedy lud, na znak nieszczęśliwego, błagającego o łaskę, z krzykiem powiewa chustkami i przebacza mu brak męztwa, na ten raz jeszcze darząc go życiem.

Lud, znudzony wreszcie widokiem krwi, unurzony ogromnym upałem, potrzebuje odpoczynku. Następuje więc pauza; muzyka gra, a ze sztucznie urządzonych maszyn rozpryskuje się na wszystkie strony kroplisty deszcz

wody pachnącej. Zapach róż, jaśminu, szafranu, fijołków, napelnia powietrze, a widzowie, napawając się nim, po-krzepiają siły przysmakami, bawiąc się rozmową o pięknych widowiskach, których byli świadkami przez kilka godzin. Tymczasem poległych i niedobitych wynoszą oprawcy w maskach Merkurego. Inni, w maskach Charona, próbują rozpaloném żelazem, czy się w którym nie utailo jeszcze życie, aby je przeciąć zupełnie w przyległych pokoikach, dokąd wynoszą wszystkich na marach. Niezadługo ten plac krwawego boju, plac śmierci i mordu, nie ma i śladu tego, co się na nim działo, gdyż czarni niewolnicy wysypali całą arenę grubo piaskiem—i Kolosseum ma znów pozór ogromnego salonu, woniejącego pysznemi zapachami, pełnego widzów, śmiejących się z zadowoleniem.

Pod podłogą słychać przesuwanie maszyn, hałas i łoskot; znać nowe, wielkie przygotowuje się widowisko. Nim jednak wszystko gotowém będzie, potrzeba bawić publiczność, by się nie znudziła czekaniem. Przedstawiają więc sceny, jakby między-akta pomiędzy pojedynczemi oddziałami całego dramatu, ale tym smutniejsze, iż w nich pokazuje się cały barbarzyzm zgnilego ludu rzymskiego, szukającego zabawy w wyrafinowanych mordach i mękach, zadawanych nieszczęśliwym. Bo oto wyprowadzają drugiego, ale przymuszonego Mucyjusza Scewolę, który w płomieniach pali sobie rękę, a potem zapalają na nim siarką przesiąkniętą płaszczy, i tak ginie; tam znów palą Herkulesa drugiego na Ecie; tu Dedala lew rozrywa i t. d., a lud śmieje się z nieszczęśliwego, że drży ze strachu, że nie ma dość odwagi, by śmiało śmierci zajrzeć w oczy, w obec tego pana świata.

Nareszcie zabrzmiały trąby wojenne. Z obu stron Kolosseum występują dwa wojska w różnych ubraniach, z rozmaitym bronią. Jakby czarodziejską laską dotknięta, ziemia rozstępuje się i występują dwa obozy, urządzone

zupełnie na wzór obozu rzymskiego, a na głos trąby, ruszają do walki z sobą z każdej strony 300 koni i 20 słoni uzbrojonych, niosących na sobie wysokie wieże z żołnierzami, jakby fortece. Z wywyższonej łoży komenderuje urzędnik, prezydujący na widowiskach. Ale to bitwa nie dla igraszki prowadzona! Obie strony widzą w swych przeciwnikach prawdziwych nieprzyjaciół, i walczą z zaciętością, godną żołnierza, zastawiającego piersią swój kraj; walczą, jak gdyby od zwycięstwa zależało szczęście narodu, a to tylko dla zabawy publiczności, która z zajęciem wesoło patrzy na umierających, rannych, krwią zbaczonych. Pobojowisko, zasłane trupami, oczyszczają prędko; ponad całym Kolloseum rozciągają namiot jedwabny; tysiące pochodni rozpędzają ciemność wieczoru, a lud, nie syty jeszcze zabawy i krwi, wyczekuje z ciekawością chwili, w której scena się zmieni i nowe jeszcze nastąpią widowiska.

I cóż powiemy o tym ludzie rzymskim, któremu takie zabawy były miłemi? co o jego charakterze i oświacie. Na te pytania odpowiem słowy Dantego. Kiedy książę Weroni Kandella Skala, widząc, że dwór jego unosił się nad skokami jakichś arlekinów i skoczków, zapytał Dantego, dlaczego błazen więcej się wszystkim podoba, niż on, którego wszyscy za mądrego uważają, odpowiedział poeta: »Dlatego, że się równi nawzajem podobają sobie (Similis simili gaudet)*.

Jan Wolfram. 1865.

6. Zielone Świątki w Wenecyi.

Zabiérałam się już pożegnać Wenecyją, ale namówiono mię do poczekania na zielono-świątkowe tameczne zabawy: na tombolę i na regatę.

Tombola jest to po prostu publiczna loteryja: widziałam ją już w Rzymie, ale w Wenecyi z większą odbywa

się ceremoniją. Każdy wygrywający numer, w oświeconych ramach, przy odgłosie bębnow i muzyki, krwawymi okazuje się liczbami. To wszystko jednak nie bardzo mi się ciekawem wydało i dziwiłam się, że, przy nader miernych losach, tombola ta mogła zwabiać tyle ludzi i tak żwawego zapału być przedmiotem.

Przeciwnie, regata należy do najpiękniejszych zabaw, jakie widziałam w życiu. Jest to maskarada na wodzie i gonitwy w gondolach. Tylko karnawał rzymski może z nią co do wdzięku rywalizować, a i to nie wiem jeszcze, której z tych dwóch zabaw dać pierwszeństwo. Regata nie mogła by tak długo zajmować i rozrywać, ale dla oka więcej ma niezawodnie uroku.

Wyobraź sobie cały ten kanał wielki, zwany *il canale grande*, albo *canalazzo*, co na dwoje przecina Wenecję, zasypany krociami łódek, gondoli, większych i mniejszych statków, a wszystkie w kwiaty i wstążki z najwytworniejszym ustrojone przepychem, a w nich najświeższe charakterystyczne kostjumy. Jak w karnawale rzymskim całe wozy murzynów, westalek, zbójców i t. d. jedne drugie wymijają, krzyżują się, koncepta i żarty między sobą zamieniają, tak tu — gondole i łódki. Tylko co peruwijański okręt, pełen majtków, strojnych w pióra i świecidła, wyminął wiejskich pasterek łódkę, gdzie same kobiety wiosła trzymały, aż tu za niemi postępuje świątynia Wenera. Posąg jej u steru, na muszli, dwoma ciągniony gołębiami; różowa z jej ramion szarfa lekki tworzy żagiel. a figlarny jej synek między nimfami swawoli. Za tą płochą boginią, w drugim podobnymże statku goni jej kula wy małżonek: stary Wulkan; sam on u steru siedzi, a wyrobnicy jego, opuściwszy chwilowo kuźnię, młotek zamienili na wiosło. Dalej spostrzegasz wspaniałe statek wice króla, jego dworu i innych urzędników. Inne czółna wiozą muzykę wojskową, co temu zgromadzeniu wesoło

przygrywa, lub śpiewaków, melodyjnemi tony całe napełniających powietrze. Dodaj do tego iskrzące południowem słońcem niebo, pod którym woda i wszystko, co na niej, brylantem błyszczy. Pałace obu stron kanału — od góry do dołu ozdobione aksamitnemi ze złotem kobiercami, a okna — przepelnione eleganckim światem; we drzwiach — dla niższej klasy porobione gradusy. Zdaje się, że dnia tego ludność się zdwoiła, i być może: z dalekich bowiem okolic, ze wszystkich prawie Adryjatyku portów ujrzyć tam mieszkańców, tak między widzami, jak i aktorami. Przysłanie ozdobnego statku oznacza życzliwość i chęć przyjaznych stosunków. Tak Tryjest, który długi czas rywalizował z Wenecją, a ku końcowi wielce się do upadku jej przyczynił, przysłał po raz pierwszy 12 pięknych łodzi z czterdziestoma ośmioma majtkami, w prześlicznym stroju z epoki odrodzenia. Barki te bardzo ładny robiły efekt.

Kiedy tak cały kanał, rozswawolony, śmieje się i huczy, kilka wystrzałów oznajmia, że się gonitwy zacząć mają. Natenczas łódki na oba boki tak się tulą, iż stały tworzą pomost, a w środku dla ubiegających się do celu zostawiają wolną drogę. Osobne afisze już od rana ogłosiły nazwiska i ojczyznę tych, co się do zakładu zapisali. Było ich naówczas osiemnastu. Parami, w stroju gondolijerów, ale bardzo starannym i coraz innych kolorów, stali na dwóch końcach swęj łódki takiegoż samego koloru. Nie łódka to, ale strzała, tak mała, cienka i lekka, jakby z ręki jakiego kupidyna puszczone, a na dane hasło takimiż lecąca pędem. Domyślasz się, jakie żwawe oklaski, jakie radośne okrzyki towarzyszą im przez całą przestrzeń, aż do samej mety. Ci, co najpierwsi do niej dobiegną, wracają z tryumfem do altany, urządzonej na ten cel w najokazalszém miejscu kanału i tam, przy odgłosie muzyki i głośnych wiwatów, z rąk wice-króla odbierają nagrodę.

7. Zielone Świątki w Krakowie.

Świeci się Warszawa, świeci się i Kraków.
(*Stary Krakowiak*).

a). Wycieczka do Bielany.

Dawnym zwyczajem, w obudwu stołecznych dawniej Polski grodach, odbywa się uroczystość Zielonych Świątek wycieczką do Bielany. Ma Warszawa swoje Bielany, ma Kraków swoje, ale erem¹⁾ Kamedułów warszawskich jest minijaturą krakowskiej pustelni i mimo pięknego wzgórka nad Wisłą, mimo romantycznego lasku, ustępuje jej pod każdym względem.

O milę na zachód Krakowa, tuż ponad Wisłą, leży wysoka góra, gęstym lasem pokryta, a na jej szczycie, wśród zieleni, wystzelają dwie wieże bieluchne, panujące szerokiej okolicy. Górę tę zowią Srebrną, bo Mikołaj Wolski, założyciel eremu, marszałek Wielki Koronny, dał za nią Sebastyanowi Lubomirskiemu, Kasztelanowi Wojnickiemu, ogromny serwis srebrny i z wielkim kosztem²⁾ wznosił tu obszerny kościół dla pustelników reguły świętego Romualda.

Kościół z frontem z kamienia ciosowego, ozdobiony wewnątrz bogato czarnym marmurem Dębnickim, otoczony jest obszernym eremem, z domkami i ogródkami Kamedułów. Mur, opasujący część lasu, czepia się po urwiskach skał, wisi nad przepaścią i spuszcza się po stromej spadzistości, zadziwiając wędrowca śmiałością budowy. U stóp góry Wisła roztacza swą wstęgę; naprzeciwko sterczą nagie skały opactwa Tynieckiego; w dali Lanckorona i Kalwaryja na sinych zasiadły górach, a dalej jeszcze

¹⁾ Pustelnia. ²⁾ Wybudowanie kosztowało 500,000 złotych ówczesnych.

majaczej Tatry. Ku wschodowi czerwienią się dachy Krakowa wśród wieńca drzew, a na jego krańcu piętrzy się dumnie królewski zamek, otoczony szeregiem topoli. Kto raz zwiędził Bielany krakowskie, ten zatrzyma do śmierci niezatarte tego widoku wrażenie.

A mieszkańcy Krakowa tłumnie używają tej rozkoszy trzy razy na rok: na Zielone Świątki, w dzień świętego Gerwazego i Protazego (19 Czerwca) i w dniu Wniebowzięcia Matki Boskiej (15 Sierpnia). Wszelako Zielone Świątki najliczniej gromadzą, pod cieniem drzew góry Srebrnej, krakowskich gości.

»Co kraj, to obyczaj«, mówi staropolskie przysłowie; więc téż wycieczka w Zielone Świątki, na Bielany krakowskie, wielce się różni od przejażdżki warszawskiej. W Warszawie Bielany są prawdziwem *Long-Champs* miejscowem: w wytwornych pojazdach, pysznemi unoszonych cugami, pawia się szczęśliwi posiadacze mamony ziemskiej, postrojeni w przepyszne wiosenne stroje. Prawda, że nieznośna kurzawa zmienia do niepoznania barwy drogich jedwabnych tkanin; że, w czasie największego natłoku, przejażdżka odbywa się procesyjonalnie: ależ zwyczaj tak każe, zwyczaj, zapewne niedawny, datujący się od czasów Stanisławowskich, kiedy modny polor francuzki, z westką i frakiem, wypędził dawny obyczaj z bielańskiego lasku. Nie braknie i spektatorów, co rozsiadłszy się na krzesłach przed improwizowaną cukiernią, przez szkła przypatrują się przeciągającej paradzie, oceniając powozy, ubiory ich właścicieli, konie, liberyję, i zaprawiając te spostrzeżenia attyką solą dowcipu. W głębi tylko lasku, kilka huśtawek i katarynek przypomina dawniejsze czasy. Inaczej dzieje się w Krakowie.

Za rogatką Zwierzyniecką od świtu gromadzi się mnóstwo lekkich wózków chłopskich; drabinki i chomonta — przybrane w zielone gałązki i ustrojone polnemi

kwiatami; hoże parobczaki, którym krew tryska z świeżych, opalonych twarzy, niecierpliwą się, oczekując przybyszów. Od piątej godziny z rana już tłumy mieszkańców miasta ciągną ku rogatkom i wnet rozpoczyna się konkurencja między woźnicami.

»Po piętnaście groszy od osoby«, woła jeden.

»Ja wezmę po dwanaście«, krzyczy drugi.

»Niech panowie siadają po dziesięć«, zaprasza trzeci.

Gwar, ścisk, targi, a co chwila wóz, naładowany podróżnymi, puszcza się gościńcem. Parobczak, stojąc na przodzie, strzela z bicia i jednym lejcem zręcznie kieruje końmi; pędzi, krzyczy, wymija, śmieje się, sypie konceptami, prześciga spółzawodników, łajac ich niezręczność i stara się jak najprędzej dobiec do celu, aby, wysadziwszy jednych, wrócić po innych.

Tymczasem, po wszystkich ulicach miasta, przed domami, stoją wozy chłopskie, również gałęzmi strojne; są to powozy, na cały dzień przez zamożniejszych wynajęte. Niekiedy jedna rodzina dwa bierze wozy. Na dole, dzieci poubiérane oczekują z utęsknieniem chwili, w której będą mogły wsiąść na wóz, a tymczasem służące znoszą różne wiktuały: pieczonego różnego rodzaju, sławne miejscowe placki z sérem, mazurki, baby, tu kosz piwa, tam kilka butelek wina, stosownie do stanu i zamożności. A nie tylko zamożni i niezamożni rzemieślnicy, ale i bogaci kupcy i właściciele domów nie wstydzą się drabiniastych ekwipaży, boć jadą na Bielany, nie dla pokazania swjej zamożności, ale dla spędzenia wesołej majówki. I tak ruszają jedni za drugimi, a cały gościniec, od rogatki do Bielana, literalnie zatłoczony jest tysiącem wozów, wózków i bryczek. Gdzieniegdzie wlecze się fajak, ale w nim najczęściej obcy siedzi przybysz, bo krakowskie dzieci nie lubią zółwięj jazdy fjakrami.

A w lesie Bielańskim ludno i gwarno; jak okiem zasięgniesz, mnóstwo osób; tu namioty z kawą, herbatą, pomarańczami, winem i przekąskami; tam różnego rodzaju towary odpustowe: koronki, szkaplerze, książki do nabożeństwa, obrazki, pierścionki, krzyżyki i korale szklane najrozmaitszych barw; to znów stoliki, krzeselka, kolébeczki, szafki, komódki, wózki, siekiérki drewniane, dzwonki gliniane, gwizdki, garnuszki, ryneczki, obok kukielki, placki mosiężne z Liszek, przysmak włościański. Gdzie tylko obok siebie dwa drzewa niezbyt daleko stoją, tam zaraz huśtawka; przy każdej parobczaki, a huśtają za grosz, za dwa, za trzy, za ile kto chce.

Nieco dalej od zgielku odpustowych kramarzy, széroko po lesie, aż po mury pustelni, porozścielane są gęsto dywany. Każdy dywan to siedziba jednej rodziny. Wedle gustu i dogodności każdy wybiera sobie stosowne miejsce i rozkłada się taborem. Od głębi lasu, ścieżkami od skał Panieńskich i mogiły Kościuszki, ciągną lubownicy wiosennych przechadzek i śpiewu słowików. Rośnie liczba przychodniów i większa połowa ludności miejskiej mieści się w Bielańskim lesie. Bo téż miasto zupełnie osamotnione; oprócz lékarstwa w aptece, za żadne pieniądze niczego nie dostaniesz; wszystkie sklepy, cukiernie, szynki, na głucho pozamykane; wszystko — na Bielana.

Wtém dzwony kościelne wzywają na nabożeństwo; ani kościół, ani dziedziniec obszerny nie mogą pomieścić przybyłych. Największa część słucha nabożeństwa pod gołym niebem, pod majowym słońcem, przy śpiewie ptasząt leśnych, a w tém gorliwym zgromadzeniu, tak uroczą cisza panuje, że słyhać każdy dźwięk dzwonka mszalnego i z głębi świątyni przedziéra się głos kaznodziei. Wietrzyk tylko szeleści w liściach drzew, lub niesforne ptaszę krzykliwym głosem ciszę przerywa.

Po skończoném nabożeństwie wszystko wraca do lasu. Tam już skrzętni słudzy przygotowali posiłek; po drodze napotyka się znajomych, więc jedni drugich zapraszają wzajem i odbywają się improwizowane wizyty.

Swoboda, wesołość niewymuszona jest duszą téj miłej rozrywki; z latarnią Dyjogenesową szukać by przyszło przesady etykietalnej. Tu grają starzy spólnie z dziećmi w gry rozmaite; tam gosposia naléwa wonną kawę; owdzie zasiadło w koło grono przyjacielskie na trawniku i wiedzie gwarne rozmowy. Przychodni żebrak nie odejdzie bez posiłku; śpiewa wesoło dziatwa; bujają huśtawki; gra muzyka melodyje narodowe; dzień rozkosznie upływa.

Słońce schyla się ku zachodowi. Już widać dokoła ruch do powrotu: zajężdżają wózki umajone, woźnice trzaskają z biczów, konie rżą, ludzie śmieją się, żartują, żegnają, dzieci hałasują, wrzawa wzmagą się, huśtawki szybciej bujają, muzyka raźniej dogrywa. Wszystko czuje, że blizki koniec rozrywki; że śpieszyć się trzeba, aby wesoło użyć ostatnich chwil majówki. Nakoniec karawany wędrownie puszczają się z powrotem, zmiérzch zapada i gwar się uśmierza. Kobięty już z rodzinami opuścili uroczne ustronie; młodzież tylko, stanowiąca tylne straże majówki bielańskiej, wraca tłumnie, licznymi gromadkami, ochoczo i wesoło śpiwając zgodnymi chóry przeróżne pieśni.

b). S o b ó t k i.

W roku 1845, w towarzystwie kilku kolegów, wyszedłszy z Bielana, puściliśmy się za dnia jeszcze ścieżką, grzbieciem góry biegnącą wśród skał i krzewin. Już słońce zaszło i zmrok padać zaczynał, kiedyśmy dosięgli mogiły Kościuszki. Wstąpiliśmy na wierzchołek, ażeby raz jeszcze rzucić okiem dokoła, z tego najwyższego punktu ziemi krakowskiej. Nagle w oddaleniu błysło światło potężne,

dalej drugie, trzecie, dziesiąte, setne. Wnet cały widnokrąg zagorzał tysiącem ognisk, jak nieprzejrzone obozowisko wśród nocnych cieni. Od Ojcowa do Lanckorony, od wzgórz Chełmskich poza mogiłę Wandy, płoną ogniska. To starosłowiańskie Sobótki, które lud krakowski dziś pali.

Rzecz szczególna, że gdy w królestwie od wieków odbywa się obrzęd ten w wigilią świętego Jana, w Krakowskiem w dniach Zielonych Świątek palą Sobótki. Nasyciwszy się uroczym widokiem, gdy na pogodnym majowém niebie zabłysło także tysiące gwiazd, jakoby w odpowiedzi światłom ziemskim, i my z kolei założyliśmy na dwóch kamiennych ławkach, na szczycie mogiły wówczas będących, po parę funtów bengalskiego ognia. Długie, a wolno tłące się lonty założono i zapalono. Nim dosięgły ognia, mieliśmy dosyć czasu ubiedz kilkaset kroków do najbliższej Sobótki, opodal wzgórza płonącej.

Tu mnóstwo włościan otaczało kręgiem palący się stos gałęzi i słomy, wciąż podsycany. W pośrodku gorzała ciemnym płomieniem beczka smolna, umyślnie na ten cel u smolarzy zakupiona.

Dokoła stosu biegali młodzi chłopcy, mając na żerdziach długich snopy zapalonych słomy.

Przyjście nasze zmieszało na chwilę zabawę, ale to tylko na chwilę, bo lud krakowski nie kłopotuje się wcale obecnością mieszczucha, a lubo grzecznie, ale zawsze traktuje go z pewnym lekceważeniem. Więc wnet ochocze skoki i gonitwy rozpoczęły się na nowo, z całą swobodą i wesołością.

Wtém na szczycie mogiły zajaśniał płomień białego ognia bengalskiego, rozpraszając na paręset sążni dokoła nocne ciemności.

»Patrzajcie, patrzajcie ku kopcowi,« zawołałem na wieśniaków, wskazując im jasność. »Co to tam takiego?«

»A no i cóżby było?« rzeknie obok stojący parobczak. »Kościusek pali téż Sobótkę i kwita.«

»Ale jak pięknie świeci,« zawołał drugi.

»Bo téż to nie gałęzie, ani słoma,« rzecze trzeci, »jeno jakiś dziwny ogień.«

»To pewnie panowie zaświecili coś zmyślnego, bo to nie pasterze palą,« powiada inny.

»Juści ta sobótką to studencka robótką,« rzecze pierwszy.

»Jakżebyśmy tam mogli świecić,« odpowiadam, »kiedy tu wszyscy jesteście?«

»Ba,« rzecze pierwszy. »Studenci to tam różne sztuki umieją. Ale patrzajcieno, chłopcy, ogień się przemienia; jaki czerwony, śliczny, gdyby słońko wschodzące!«

Purpurowy blask, ze szczytu wzgórza, oblał fantastycznym światłem pobliską okolicę; drzewa, krzewiny, urwiska skał, wystąpiły z cieni nocnych, drgając i chwiejąc się, jakby ożywione. Widok ten wywarł nieopisane wrażenie. Wieśniacy tak się zagadali, że im Sobótką zgasła i tylko smolna dogorywała beczka.

Rzuciłem okiem dokoła: liczba Sobótek co chwila się zmniejszała; gasły ognie jedne po drugich, dalsze i bliższe; nakoniec, gdy i nasza — na szczycie mogiły zagasła, pożegnawszy wesołe grono, puściliśmy się górzystym gościńcem ku miastu. Wrażenie zamknęło nam usta. Północ wybiła, gdyśmy przechodzili rogatkę.

Wład. Ludwik Anezye.

8. Kafrowie.

Wszystkie ludy, od zatoki Algoa do zatoki Kwiloo (w południowo-wschodniej Afryce) mają wiele między sobą podobieństwa i znacznie od właściwych murzynów się różnią. Czaszka ich — okrągła, jak u Europejczyków,

nos — do orlego zbliżony, kości — wydatne, jak u Hotentotów, włosy — kędzierzawe, lecz nie welniaste, broda — lekko zarosła, a cera — czarniawo-popielata. Arabowie nazwali ich ogólnie Kaframami, t. j. niewiernymi, dlatego że wiara mahometańska znaną im nie była. Hollendrzy z przyłądka Dobrej Nadziei zastosowali to nazwisko do jednego zwłaszcza rodu, Kussasów, którzy z niemi w bliższych pozostawali stosunkach i którego różne szczepy zamieszkują wybrzeże Natal.

Kussasy odznaczają się wysokim wzrostem, śmiałą i kształtną postawą, chodem pewnym, ruchami zręcznymi. Popielatą swą skórę malują zwykle na ulubiony czerwony kolor. Mleczyno stanowi główne pożywienie tego ludu, woda — napój jedyny. Z mąki prosa umieją robić wycisk tęgi i upajający, lecz go bardzo rzadko używają. Nigdy nie jedzą wieprzowiny, bo, jak mówią, świnia wszelkimi nieczystościami się żywi; — zajaca, bo się po nim obłąkania dostaje; — kaczek i gęsi, bo wydają głos przykry, do skrzeku żabiego podobny; nakoniec — żadnych ryb, bo one są w ich przekonaniu tém samém, co węże.

W rodzinach wielka zgoda i wielki porządek panuje. Żony wraz z córkami stawiają dla siebie domy osobne, niskie, okrągławego kształtu i zakładają przy nich ogrody, których uprawą każda zosobna się trudni. Mąż ich przez ten czas poluje, albo hodowaniem bydła jest zajęty. W tém ostatniém szczególnież wszyscy wielkie mają upodobanie; całe stada tak sobie oswajać potrafią, iż te na jedno ich gwizdnięcie zatrzymują się, lub biegną, w którą trzeba stronę. Nieraz, gdy się Kafrowi ryk jakiej krowy spodoba, nie ma chwili wesołej, póki jój sobie choćby za cenę, od wartości wyższą, nie kupi.

Dzieci przez całe życie najgłębsze dla rodziców zachowują uszanowanie; pewien rodzaj publicznego wychowania jest dla nich przyjęty. W dwunastym roku oddają je do

księcia, naczelnika hordy, gdzie, na gromadki podzielone, kolejno różną służbą się zajmują. Chłopcy pilnują bydła i uczą się, jak włócznią lub maczugą wywijać; dziewczęta zaś, pod okiem żon tegoż księcia, wprawiają się w szycie skórzaną dla mężczyzn odzież, w kuchenne i rolnicze prace.

Kobięty nie mają udziału w ogólnych naradach, ale w czasie wojennym, gdy o życie posłów jest obawa, wyprawiane są do hord nieprzyjacielskich z upominkami, lub ugodą, bo im się wtedy nic złego nie stanie. Pospolicie Kafrowie niezbyt są do bitwy pochopni, lecz, gdy w pole wyciągną, mężnie walczyć umieją. Przed rozpoczęciem kroków zaczepnych, napastujący, wysła do swego przeciwnika heroldów, niosących lwi ogon, godło wypowiedzenia wojny. Potém, gdy się już zbliży ku obozowi wroga, jeszcze raz się zatrzymuje i posyła do niego z uwiadomieniem o swém przybyciu. Jeżeli napastowany nie zgromadził dostatecznej siły, oświadcza to nieprzyjacielowi, który na ostateczne jój zebranie czekać musi. Dla Bojesmenów jedynie podobnej względności nie zachowują Kafrowie, tylko bezprzestannie ich ścigają i mordują, nie zważając na płeć lub wiek różnicę. Namietnie lubią też polowanie na dzikie zwierzęta; za lwami i słoniami po całych ubiegają się miesiącach.

Każda horda ma dziedzicznego wodza, zwanego inkoosi; ten bardzo wielką ma władzę, ale, gdy zaczyna niesprawiedliwie postępować, wtedy starszyzna w imieniu całej hordy go napomina. Ogólnie uważając, Kafrowie są ludem łagodnym, czynnym i najlepsze okazującym skłonności—i bezwątpienia łatwo by oświatę i religiję chrześcijańską przyjęli, gdyby sami chrześcijanie, mianowicie osadnicy z przylądka, nie odstręczyli ich od europejskiej cywilizacji złą wiarą w handlu, nadużyciem praw mocniejszego i nieludzkiem postępowaniem swoim z zawojowanymi Hottentotami.

Drugi szczep rodu Kafrów składają Betzuanie, mniej wysmukłej, ale równie składowej postaci. Cera ich—ciemno-śniada, nosy — jeszcze wydatniejsze, niż u Kussasów, usta — daleko drobniejsze. Spojrzenie, każdy ruch i wyraz twarzy, mają tak pojętne, tak ożywione, iż się w nich przemiana wszelkich uczuć i wrażeń natychmiast odbija. Mowa ich — bogata w samogłoski i gardłowe brzmienia. Betzuanie z łatwością uczą się obcych wyrażen; do nauki bardzo są ciekawi; cudzoziemców o wszystkie mniej znane przedmioty natrętnie się wypytują; kiedy co pierwszy raz widzą, muszą zaraz wziąć w rękę, obejrzyć i poprobować użytku. Życie ich ciągle jest czynne i ruchliwe; podróże większą część jego zapelniają: czasem dla odwiedzenia przyjaciół Betzuanin odbywa 50-milowe drogi. Betzuanie też wszyscy znają się z sobą. Synowie możnych i wodzów z obowiązku nawet przedsiębiorą dalekie wy-cieczki, dla zawarcia stosunków, któreby się, w razie potrzeby, całej ich hordzie przydały.

W ogóle Betzuanie, ze wszystkich dzikich ludów stałego ładu Afryki, są najwyżej w cywilizacji posunięci. Domy, przez kobiety stawiane, odznaczają się czystością, a niekiedy i kształtem dość ozdobnym; w garncarstwie one także bardzo zręcznie pracują. Mężczyźni, pomimo braku narzędzi, wcale nie źle kuja żelazo, robią miedziane z drutu naszyjniki i bransoletki, a na oprawie nożów, łyżek i tym podobnych rzeczy, wyrzynają rozmaite figurki, które świadczą o ich zdadności do rzeźbiarstwa.

W religijnych pojęciach nierównie też wyżej od sąsiednich ludów stoją. Mają pewne wyobrażenie o duszy i zdaje im się, że w sercu obrała swe główne siedlisko. Kiedy kogo chcą pochwalić, mówią, że ma białe serce; przeciwnie, czarność łączy się u nich z myślą o złém i o występku. Rzetelność, odwaga i szczerość, najpiérw-

szemi są w ich mniemaniu cnotami. Prawa własności niebardzo przestrzegają.

Narcyza Żmichowska 1868

IV. GEOGRAFIA.

OBRAZY I OPISANIA.

1. Krater Wezuwiuszu.

Śpieszyliśmy ku kraterowi, w niespokojnym rozdrażnieniu, a najwyższym napięciu duszy. Już tu i owdzie, ze szczelin skalnych, buchają wyziewy siarczane lekkim kędziornym dymkiem białawym; niekiedy pod stopami już grzeje popiół gorący. Niezadługo znienacka ujrzelśmy przed sobą gęste, ociążałe, rozwlekające się dymy, jakby od wczorajszego strasznego pogorzeliska. Przewodnik woła: »Otóż krater!« Biegniemy jeszcze kilka kroków naprzód, a przed nami rozłożył się widok, który mi będzie tkwił w świeżej, niczem niezatartej pamięci, na całe życie. Widok ten jest tak straszliwy i ohydny, tak okropny, a przerażający, iż się jeszcze po długich latach przyśnić może, niby złowieszcze marzenie nocne.

Otchłań olbrzymia, prawie okrągła, bezdenna, o ścianach skalnych, pionowo sterczących, burych, okopconych, roztwiera się przed nami, niby przepaść piekielna. Ciężkie dymy, grube, białawe, dźwigają się zwolna i niby z trudem z głębin gramolą się w górę, a pełzają po ścianach, niby węże, a smocze potwory. Dopiero spiąwszy się na wierzch, uchwycone wietrzykiem, skracają się we wszystkie strony, najgęściej atoli przewalają się właśnie

w stronę, na której staliśmy, zatykając nam wyziewem siarczystym dech i sprawiając zawrót głowy. Przewodnik woła: »Signori, tutaj ani na chwilę bawić nie możemy.« Trzymając tedy chustki przed ustami, śpieszymy poprzez te swędne dymy, idąc prawie tuż przy samej krawędzi przepaści. Zrobiwszy tym sposobem jakie sto kroków, zatrzymaliśmy się w miejscu, w którym już atmosfera swobodniejsza i mniej jadowita.

Teraz mogłem już bezpieczniejsz nachylić się i zapuścić wzrok w gardziel wulkanu. Kto w życiu nie miał tego widoku, nie zdolen nigdy wyobrazić sobie takowej okropności wspaniałej, takowej strasznnej okazałości; jest to istny wyraz szatańskiego majestatu. Słońce, zachodząc, jeszcze oświecało połowę wierzchniej części otchłani, gdy druga pokryła się cieniem. Im niżej oko zapada, tym mroczniejsz, tym ciemniejsz; tam już głębie niezmierzone, nieodgadnione, bo sięgające wnętrza naszej ziemskiej planety. Ściany, wznoszące się z bezdeni pionowo, niby mury, tu i owdzie stoperczą ostrym szorstkiem urwiskiem. Okropność tych ścian potęguje jeszcze palająca jaskrawość barw, bo na burym, czarném tle, ciągną się z dołu do góry pasy zielone, żółte, pomarańczowe, ponsowe. Te farby są nad wyraz rażące, żarliwe; zwłaszcza żółte i pomarańczowe są jakieś złośliwe, jadowite. Wyziewy, zwłaszcza siarczane, krystalizując się, tak ustroiły paszczę wulkanu. Te kolory przypominają węże, co im w żywsze mienią się kolory, tym bywają jadowitsze, groźniejsze.

Patrząc na ogromny obszar téj złowieszczej kotliny, łatwo zrozumieć, że ona zdoła buchnąć słupem ogniowym, na tysiąc stóp wysokim; że popioły, z niej wyrzucone, mogą pokryć przestrzeń kilkumilową. Gdy mię przewodnik trzymał za ramię, śmielęjsz a śmielęjsz się nachylałem, ale tam w otchłani — noc, noc gruba, ciężka. Zdawało mi się atoli, jakoby niekiedy na chwilę błysła słaba luna

purpury krwawej, ciemnej. Z niedojrzanych zapadlin do-
latuje niekiedy jakby grzmot za górami, lub przytłumiony
strzał działowy; to znów odzywa się huk, jakby daleki
ogień rotowy batalionów, i znów zdawało się na chwilę,
że wnętrza bezdeni umilkły. . . . gdy wrychle wznoszą się
z pod ziemi jakieś dalekie ryki, jakby bawołów dzikich
w puszczy, lub wycia bestyj drapieżnych.

Wyznaję, że, choć się widziałem bezpiecznym, ogar-
nęły mnie dreszcze. Patrząc oko w oko tym strasliwym,
bezrozumnym potęgom, słysząc ich głosy i wrzawy, nie
mogłem się obronić jakimś ohydom i strachom mrozącym.
Bo to są przecież też same moce geologiczne, które,
przed tysiącami a tysiącami lat, chaotycznym, tytanicznym
wywrotem burzyły świat, a które, choć już okiełznane,
jednak po dziś dzień stroją burdy, pożerając mieszkania
ludzi, błogie szczęście tysiąca rodzin, chłonąc najzacniejsze
dzieła ducha. Nastrój umysłu, którego doznałem, porów-
nać jedynie mogę z uczuciem, co nas przeszywa, gdy głę-
bięj wzieramy w ciemne otchłanie duszy waryjata. Bo
i w niej gospodarzą nocne, bezrozumne potęgi natury,
które, opętawszy myśli swobodne, wyprawiają gwałty
w jasnym państwie ducha, wywracając chaosem to, co
zaczne, święte i nieśmiertelne.

To chodząc tuż około przepaści, to zatrzymując się
w miejscu, nie mogłem oderwać oczu od strasliwego
obrazu, który mnie jakby mimowoli trzymał demoniczną
siłą swoją, a choć wkońcu już go opuściłem, choć już
za mną nikły dymy jego, jednak jeszcze, jak straszidło
groźne, stał mi przed oczyma. Czulem się jakby czynio-
ny, urzeczony tém widmem; cała bytność wszech rzeczy
skoncentrowała się dla mnie w tym jednym, jednym
widoku.

Józef Kremer. 1861.

2. Morskie Oko.

Około szóstej stanęliśmy nad Morskim Okiem. To
miejsce, dla jego przystępności z powodu wygodnej drogi,
jest jednym z tych miejsc w Tatrach, które wielu bardzo
zwiędza, podziwia, a nie jeden opisuje. Morskie Oko ma
swoję piękność niepospolitą, a sobie tylko właściwą. Jest
to wielka massa wody, zamknięta w jeziorze okrągłym,
którego powierzchnia zajmuje 70 morgów. Brzegów jest
tak rozległych, że człowieka, stojącego na brzegu prze-
ciwnym, dojrzeć nie można; tak, mniejszemu wydaje się
z powodu olbrzymich wysokości, które je dokoła otaczają.
W nadziei, że się prędko dostaniemy do brzegu przeciw-
nego, wsiedliśmy na stojący tam statek, rodzaj promu,
i w pięć wioseł silnie pędziliśmy; w pół godziny pokazało
się z oddalenia brzegów, żeśmy jeszcze w połowie nie by-
li; później strzelaliśmy kulami, ale te, przy wszystkich
swoich podskokach, nie dosięgały nigdy ani połowy jeziora.

Głębia morskiego Oka jest niezmiernie duża. Może nie
jest bez zasady to twierdzenie, że jezioro to łączy się
z morzem, że woda jego z morza przychodzi; bądź co
bądź, głębokość jeziora w pewnej odległości od brzegów
dotąd nie jest docieczona. Na środku Morskiego Oka
jest wir wielki.

Ryby dają się tu widzieć, a czasem nieznanego ro-
dzaju. Powiadał mi człowiek wiarogodny i miał na to
świadków, że w roku zeszłym ukazała się im niedaleko
brzegu ryba, z głową nad wodę podniesioną, do kocięj
podobną. Górale także powiadają, że przed laty kilkun-
stu, jakaś ryba, nieznaną im, porywała pijące owce,
a szczególnie czarne; pasterze zasadzali się ze strzelbą,
dali do niej ognia, skoro się pokazała, i odtąd już jej nie
widzieli.

Przezroczystość wody Morskiego Oka jest rzeczywiście więcej niż szklanna; przypomina to, co wiemy o przezroczystości wody północnych stron Oceanu: na dnie kilkunastosążniowej głębokości widzisz najdrobniejsze prawie przedmioty, jak za szkłem.

Dwoma głównie przedmiotami, godnymi widzenia, odznacza się okolica Morskiego Oka. Pierwszym — jest jezioro, zwane Czarny Staw. Leży ono we wschodniej stronie Morskiego Oka, w obrębie tychże samych szczytów nadbrzeżnych, ale na podniesieniu wyższym, mniej więcej o sto sążni. Jest to jakby ustęp w skałach Morskiego Oka, wodą zapełniony. Woda jego wylęwa się w potoku, rodzaju wodospadu, i spływa do Morskiego Oka.

Od południa znowu stoi góra skalista, Mnich zwana. Ma ona w samą rzecz podobieństwo do siedzącego zakonika z odrzuconym kapturem, a dłuższe wpatrzenie się daje dokładnie rozpoznać twarz, brodę i inne części ludzkiej postawy.

Nie wiele wód zewnętrznych zasila Morskie Oko. Oprócz wodospadu z Czarnego Stawu i potoku, który się spuszcza po przepaścistej skale ze strony zachodniej, innych wód nie dostrzegłem; zdaje się, że główny zapas wody tego jeziora na dnie jego być musi, gdyż odchód wody, tworzącej Białkę, każe się domyślać obfitego jej przepływu.

Zajmującym także szczegółem tego miejsca jest echo, zwłaszcza echo wystrzału z ręcznej broni. Trwa ono minut kilka, jak grzmot największy, obchodzi dokoła jezioro i w chwili, kiedy głucho w jednym punkcie, odzywa się w drugim z tym większą siłą.

Gasnący dzień nakazywał pożegnać rozkoszną tę okolicę. Słoneczna luna błakała się jeszcze po szczytach nadbrzeżnych, ale w dolinie Morskiego Oka zmrok już szarzał. Strzeliliśmy kilka razy na odjeźdnym i pożegnawszy się przez echo z okolicznymi górami, wsiedliśmy na konie,

czekające nas przy Morskiem Oku, i wróciliśmy tą samą drogą, która nas aż do Rostoku przeprowadziła.

Seweryn Goszczyński. 1853.

3. Jezioro Leman.

O milę jeszcze przed Lozanną, odkrył się mojemu oku widok, zawierający wszystko, co tylko przyrodzenie stworzyć może wzniosłego i pięknego. Jezioro Leman, zdające się być małym oceanem, błyszczało przy promieniach jesiennej słońca, jak masa nieprzeliczonych dyamentów. Wzruszone fale snuły się jedna za drugą, naksztalt spłotów ognistego węża, a części jeziora, na które padał cień gór nadbrzeżnych, podobne były do roztopionego *lapis lazuli*, w którego łonie osadzono świetniejące farbami tęczy drogic kamienie. Ten ogromny obszar wody, lekkim wiatrem wzdymanej, przedstawiał zachwycający obraz, co chwila zmienny, co chwila piękniejszy. Światło, igrając w zwierciadłach Lemanu, zamieniało je to na szyby lodu, to znowu na fałdowane przestrzenie, w których każda kropla przybięrała jasny blask srebra. Kiedy wiatr, unoszący się ponad wodą, zwolniał, odbite w jej toniach góry i skały nowy tworzyły widok. Każda nadbrzeżna chatka zstępowała ze szczytu góry swojej, by kąpać się w przezroczystych jeziora wodach; każdy szczyt skał niebotycznych opuszczał niebiosa, by się odświeżyć w zwierciadlanej toni. Zieloność murawy, dotąd jeszcze mrozami nie ujętej, białość śniegu, wieńczącego wyżyny, mieszały się z niebieskawą Lemanu barwą. Wioski, po bokach rozsypane, pełne były ogrodów i drzew, jesienną szatą okrytych. Tu sosna samotna, przypominająca mi Polskę, wznosiła się nad poziome krzewy; tu lipa żółtkłemi szeleściła listkami, za przelotem wiatru, którego skrzydła rozwijały białe żagle statków jeziora; tu modrzew' ciemną zielonością ocie-

niał skał wierzchołki, a po bokach bluszcz i różnobarwne wijące się rośliny czarodziejskie tworzyły sklepienia. Dalej znowu dziksza poczyniała się okolica; naga skała, śmiałe czoło pod chmury dźwigając, wydaje się, jak olbrzym, pogardzający murawą i kwieciami; strumień huczący spada z jej urwisk i z pianą biegnie w dolinę, gdzie, pośród umajonych wybrzeży, spokojniejszym już płynie korytem. Świerki rosną tu i owdzie nad chatą, której białe ściany zdaleka jeszcze wzrok przyciągają; ciasna ścieżka wiję się od jej drzwi aż do stóp skał wyższych. Czasem człowiek po niej dąży; czasem krowy, dzwonkami, u szyi zawiazanymi, brzęczące, przesuwały się powoli, wśród dolów i przepaści, i ze schyloną głową, na wzniesionych gór piętrach, żują ostatek jesienną trawę.

Ale nad wszystkie te obrazy uroczystszy i poważniejszy panuje widok. Pasma gór, wiecznym lodem skrzepłych, ciągnie się po drugiej stronie jeziora; mgła i pośród najczystszej pogody zaciemnia ich ściany; chmury w fantastycznych kształtach snują się po ich szczytach, to jak czołgające się węże, to znów jak skrzydlate smoki. Śniegi, od wieków na ich barkach złożone, błyszczą przy słońca promieniach, jak sztaby ze srebra, przykute do piętr skały, kiedy gwiazda jasności stoi na połowie niebios; lecz kiedy znizona zapowiada zachód czerwona barwa swych promieni, wtenczas trzeba przenieść całą duszę do oka, i patrzeć tylko i zdumiewać się nad wielkością przyrodzenia. Niczym są rubinu blaski, przy jasnościach, rozlewających się po górach, które otaczają jezioro Genewskie, kiedy je barwa zachodu okrywa. Chmury zdają się z płynnego złota ulane, a wierzchołki gór, purpurą i dyamentami strojne, dają wyobrażenie, o ile to może istnieć na ziemi, tronu Przedwiecznego. Obłoki, podobne do tęczyowych skrzydeł Serafów, to się roztapiają i nikną powoli w czystym błękicie, to znowu, gromadząc

się razem, rozwijają pyszny baldachin nad skał szczytami. Do tego dodać potrzeba ukazujące się zewsząd domki wiejskie, Genewę w oddali, lasy i gaje, a utworzy się obraz, który łatwiej uczuć, niż opisać.

Ze stopniowem niżaniem się słońca, słabną iskrzące się barwy na szczytach i z purpurowego koloru przechodzą do różowej farby. Wtenczas oko zmęczone mile odpoczywa po tylu świetnościach, i każda góra wydaje się narzeczoną, strojną w ślubne suknie, kratowane śnieżnemi pasami i uwieńczone różami. Zmrok zapadający miesza z sobą odrębne wprzód kształty, i kolory rozmaite zmieniają się w szarą barwę, pięknie przy wodach Lemanu odbijającą. Księżyc wschodzi powoli, a wtenczas odnawiają się pyszne dnia widoki, ale słabiej odznaczone. Nie tak rażące światło jaśnieje nad okolicą; miłszy czulemu sercu blask rozprasza nocne cienie, zatrzymując wszystkie złudzenia i piękności mroku. Góry i skały, jak gdyby przez sen widziane, zdają się z upodobaniem przegłądać się w nurtach Lemanu, którego zwierciadła leżą spokojnie, i dopóty za sobą zdziwione przyciągają oko, dopóki w mglistej nie znikną oddali. Uroczę Helwecyi wdzięki, opuszczając nieco ze swęj wzniosłości i powagi, zstępują do rzędu widoków, między którymi już nie drży, nie uwielbia, ale rozpływa się serce. Księżyc rozsyła srebrne promienie, by uwieńczyć gór szczyty niepewną jasnością. Chmury się zwolna przesuwały i, mieszając się do śniegów, zdają się między niemi roztopiać. Błękity niebieskie i wody jeziora, połączone przestrzenią nieznaczoną i słabym tylko oświeconą blaskiem, zdają się jedną składać krainę, w której i wielkie wznoszą się ogromy i lekkie snują się chmury, podobne do statków, żeglujących w otchłani białych śniegów i niebieskich obszarów.

Ale, drogi mój, ty łatwo pojdziesz, że nad te wszystkie cuda natury, nad te czarowne Szwajcaryi okolice,

wolałbym widzieć brzeg naszej Wisły, lub Narwi, pogłądać na Gopla fale. Oko zajmuje się Lemanem, ale serce wzdycha za Polską i powtarzam sobie nieraz ów wiersz Mickiewicza:

Wokoło mnie kraina dostatków i krasy,

Nade mną niebo jasne.....

Dla czegoż ztąd ucieka serce w okolice

Dalekie—i niestety! jeszcze dalsze czasy?

Zygmunt Krasiński. 1829.

4. Katakomby Rzymskie.

Katakomby służyły pierwszym chrześcijanom, w wiekach prześladowania, za cmentarze, kościoły i miejsce schronienia. Wszystkie one wykute są w tufie, puccolanie, lub zsiadłym piasku i glinie. Są to niezbyt foremne galerie, ciągnące się w różnych kierunkach i rozgałęziające się na kilka pięter w głąb. Wśród korytarzy, których ściany stanowią jedne nad drugimi ułożone groby, pozamykane kamieniami, dachówką, gliną, spotykają się kaplice, salki i ozdobniejsze miejsca modlitwy. Z katakómb tych chrześcijanie zwycięzcy wyszli na świat; tu spoczęły ciała ich męczenników; na tych grobach wzniosły się pierwsze na powierzchni ziemi bazyliki.

Ta kolébka chrześcijaństwa, zaniedbana w średnich wiekach, pozasypywana umyślnie w obawie profanacji i zniszczenia, dość długo zostawała ukrytą ze skarbami, które zawierała. Pierwszym niemal, co po długich latach zstąpił do katakómb, był Antoni Bosio, rodem z Malty, z powołania prawnik. Mieszkał on w Rzymie, jako prokurator zakonu rycerzy Maltańskich. Zajmując się od młodości starożytnościami chrześcijańskimi, Bosio poszukiwał zręczności dostania się do podziemi, o których dawne mówiły tradycje. Na drodze za *porta Salara*, obsunięcie się ziemi

odkryło przypadkowo katakomby św. Pryscyli. Bosio cały się badaniu poświęcił, o własnym koszcie, z niebezpieczeństwem życia, niekiedy własnymi wkopując się w nie rękami. Pierwszy raz wszedłszy w korytarz cmentarza św. Kaliksta d. 10 Grudniu 1593 r., Bosio ledwie mógł nazad trafić; następnie sznurek służył mu za przewodnika. Tu on rysował, pisał, notował, zbierał pamiątki i gotował materyjały do pierwszego dzieła o katakómbach, które się za życia jego nie ukazało. Papiery, po Bosio pozostałe, zabrał zakon Maltański, od którego dostał je książę Aldobrandini i przywiózł do Rzymu, a kardynał Franciszek Barberini polecił je O. Janowi Sewerano. Z mnogimi dodatkami dzieło Bosia wyszło nareszcie z druku i rozchwytnie zostało; taką obudziło ciekawość. Od tego czasu prace, poszukiwania i kosztowne wydania różnych zbiorów relikwii podziemnych, przedsięwzięte i dokonane zostały, potworzyły się zdania i opinie najrozmaitsze o ich powstaniu. Najjaśniejszą treść tych badań naukowych dają prace p. Rossi.

Katakomby rzymskie są w wielkiej liczbie dokoła Rzymu, pod powierzchnią jego rozciągnięte. O. Marki powiada, że znane galerie ich wynoszą około 300 mil długości, a w przybliżeniu zawierają do 6-u milionów grobów.

Poganie wiedzieli dobrze o tych przytułkach chrześcijan, których prześladowali; pierwszym zawsze hasłem do nowych ścigań i mordów były zakazy zgromadzania się w podziemiach. W chwilach tolerancji nie przeszkadzano chrześcijanom kopać i odbywać swe nabożeństwa w kryptach, zowiąc ich, z powodu tych schronień, ludem uciekającym od światła (*lucifuga natio*). Wiadomo, że kilka razy, z rozkazu cesarów, zamurowano katakómb wnijścia... i wszyscy, zamknięci w nich, ginęli. Lud, we wściekłości swój przeciw chrześcijanom, tak samo wołał:

»chrześcijan zwierzętom na pożarcie! chrześcijańskie pozamykać cmentarze«. Z tego powodu wniknięcia do katakómb były liczne i skryte; mnóstwo ich wynajdują ciągle. W wielu posiadłościach prywatnych tajemnie urządzone wchody, kopano katakomby i osłaniano je od oka pogan.

Z prac p. de Rossi jasno się okazuje, że cmentarze, zamykające w sobie kościoły, były razem pierwszymi parafijami, na które się chrześcijanie dzielili. Później też pierwsze kościoły i ołtarze jawne wzniosły się nad głównymi ogniskami podziemi, jak na przykład u św. Sebastjana, św. Wawrzyńca i św. Agnieszki. Cmentarzy tych i parafij wiele już pookreślano; katakomba św. Aleksandra, na drodze Nomentańskiej, jest ciekawym wzorem tej przemiany krypty na kościół, dawniej konfessyi na wielki ołtarz, i połączenia katakomby z nową budową. W wielu razach kościół podziemny i grób męczennika, stanowiący ołtarz (confessio), tak był głęboko, że nowa budowa złączyć się z nim nie mogła. Naówczas wschody wiodły z kościoła górnego do grobu; mnóstwo pielgrzymów pobożnych zwiędzało podziemia i składało w nich vota; krypty zdobiono ofiarami; ztąd później znalazły się w nich napisy nowsze nad wiek IV i t. p. Odkrycie nietkniętej od czwartego wieku katakomby św. Kaliksta winniśmy panu Rossi.

Teraz słów kilka o fizjognomii katakómb.

Mówiliśmy już, że galeryje katakómb mają z obu stron w ścianach, od dołu do góry, grobowe wieka. W większej części galeryj groby nie są regularnie i w równych odstępach poukładane, ale ściśle zastosowywane do rozmiaru ciał, co wskazuje, że fossorowie (kopacze) przygotowywali je dopiero, gdy zachodziła potrzeba. Rzadko gdzie, jak w katakombie św. Cyryjaka, leżą osobno dzieci, dorośli i t. p. w symetrycznie rozmiarzonych grobach. Mogło to dopiero w szczęśliwszych dla kościoła czasach

odbywać się tak swobodnie. Groby bogatych i ubogich ani napisami, ani formą, ani powierzchownością się nie różniły; zupełna równość panowała w obliczu śmierci, jak w obec Boga, wedle prawa chrześcijan. Przy grobach znajdują liczne lampki gliniane z godłami chrześcijańskimi i małe flaszeczki szklane (ampullae), w które zbierano krew męczenników. Te flaszeczki były dowodem męczeństwa; jeśli zaś zmarły był spalony, utopiony, lub zginął śmiercią inną bez krwi rozlewu, rysowano palmę na kamieniu lub glinie. Niekiedy rodziny przygotowywały sobie oddzielne na kilka ciał wydrążenia zasklepione, które zwano *arcosolia*, całe izdebki (cubicula) własnym robiąc kosztem i z większym staraniem, zawczasu.

Oprócz grobów, gdyż katakomby były przedewszystkiem cmentarzami, ale nie wyłącznie niemi, zawierały one miejsca modlitwy, które, jako budowy, jako urządzenie, są niezmiernie ciekawe. W nich to uchowały się najstarsze zabytki sztuki chrześcijańskiej, mozaiki i malowania z pierwszych wieków. Chrześcijanie zwykli byli, od najdawniejszych czasów, zbierać się na modlitwy w domach prywatnych, w osobnych na to przeznaczonych izbach, często bogato przyozdobionych. Nabożeństwo kończyło się skromnym posiłkiem. Świątynki te powoli, coraz bardziej uczęszczane, z domowych zmieniały się na publiczne; za Dyjoklecjana rozkaz zburzenia kościołów dowodzi, że już osobne istniały. Prześladowanie zmusiło zbierać się dla modłów w miejsca mniej widoczne i dostępne. Najwłaściwiej w obszerniejszych arkosolijach katakómb odbywać było nabożeństwo. Kaplice te są różnych kształtów: czworokątne, ośmiokątne, okrągłe, zasklepione w górze, zawsze niewielkie. Naprzeciwko wniknięcia, na jednym z grobów wyznawcy (confessio), odbywała się ofiara święta. Najczęściej w podziemiach bywa dwie kaplice naprzeciw siebie, osobna dla kobiet i dla mężczyzn, jednak nie zawsze.

Okolo ołtarza, przy grobowcu męczennika, wykuty bywa stół na naczynia i sprzęt ofiarny (prothesis); ku temu służył kamień wystający, lub małe wgłębienie w murze.

Katakomby niektórym, wyłącznie prześladowanym, papieżom, biskupom i t. p., służyły za przytułek; chronili się więc w nich i żyli, ale śladu żadnych osobnych mieszkań w nich nie znajdujemy. Dla zabezpieczenia ucieczki i wnijsia, pomnażano wchody skryte. Dla odświeżenia powietrza więcej może, niż dla oświecenia galeryj, urządzano *luminaria*, to jest rodzaj otworów, wychodzących z głębi piętr podziemnych aż na powierzchnię ziemi. Jakkolwiek bowiem groby szczelnie były zamknięte, taka mnogość ciał, palące się po galeryjach lampy i światła przy grobach męczenników, musiały ciężkiem czynić powietrze katakómb. *Luminaria* były tak urządzone, że najczęściej na dwie kaplice służyły; w późniejszych czasach przyczyniły się one do nadwężenia w wielu miejscach galeryj: przez nie bowiem wpadała do nich woda, a potoki je wyrwały i niszczyły. Napady i łupieże katakómb spowodowały przeniesienie ciał męczenników do kościołów, lepiej zabezpieczonych od napaści—a później niepokoje, wojny, przeniesienie stolicy papieżkiej do Awinijonu, okryły na jakiś czas katakomby zapomnieniem.

Józef Ignacy Kraszewski. 1866.

5. Okolice Sandomierza.

Piękne to zaiste okolice Sandomierza! Gdzie spojrzysz, wszędzie pola pokryte zbożem: tu żółcą się pszenicą, tam bieleją dojrzewającym żytem, lub jęczmieniem, a żyzne łąki, zalegające rozdoły między wzgórzami, krasą swoją zieloną odbijają od fal kołyszącego się zboża, jak wypustka przy mundurze wojaka. Cudny, śliczny to widok, bo, gdy słońce promieniem swoim ozłoci, a wiatr dmuchnie po

schylonych kłosach zboża, to nagle cała powierzchnia ziemi, tak daleko, jak tylko okiem zasięgnąć można, zaczyna się ożywiać, poruszać, falować, i bałwaniąc się, tak cię ułudzi, że będziesz sądził, iż stoisz wpośród rozhukanego morza, co chwila, wodami swemi, chcącego cię zalać. Pomiedzy tak kołyszącymi się zbożami, widać dosyć gęsto rozsypane wioski, które, stercząc ku niebu bielącymi się domami, topolami i inną drzewiną, wyglądają, jak okręty z rozpuszczonymi żaglami, dążące zaopatrzyć zamorskich mieszkańców produktami naszej ziemi.

Okolice Sandomierza to nie nudne okolice Mazowsza, co niemi jedziesz, jedziesz, choćby tydzień cały, a zawsze wszystko jedno, wszystko równo, jak na dłoni: to kawał na pół zniszczonego lasu, to zgniłe bagnisko, na którym żadnego żyjącego nie dopatrzysz się stworzenia; gdzieniegdzie łąn lichego zboża, lub na uboczu stojący dom mieszkalny; w inném miejscu niby pół lasu, niby pół pastwiska; tam znów kawał wykrudowanego pola, na którym, między zasianém prosem, bieleją się pnie po wyciętym lesie; słowem, pusto, nudnie i jednostajnie. Mijas las, wjedziesz w kawał pola bezludnego; miniesz pole, dojedziesz do bagna i cieszysz się śliczném żab rzechotaniem; wywleciesz się z bagna, widzisz znów zdala las, jak z pokrzywionemi sosnami czeka twego przybycia, i tak zawsze jedno w kółko. Dodajcie do tego jeszcze piasek, udaremniający wszelki pośpiech w podróży, i brak jakiegokolwiek obszerniejszego widoku, bo każdy, jaki się wydarzy, zamknięty jest szczelnie wkoło czerniejącym lasem, jakby strażą, abyś ciekawego wzroku czasem dalej nie zapuścił; wyobraźcie to sobie wszystko razem w połączeniu, a dokładny mieć będziecie obraz Mazowsza i innych podobnych jemu okolic.

Jakże różne są od nich okolice Sandomierza! Oczy swoje karmisz coraz nowszymi widokami, jakich ci obficie

dostarcza każda wyniosłość, każde wzgórze. Stałeś na pierwszym, a oko nie wie, gdzie granica dla niego; obracasz się wkoło, wszędzie jakby wielki jeden ogród: wioski to klomby; pola z różnobarwnym zbożem, poprzerynane licznymi drogami, miedzami i granicami, to w oddaleniu, jak kwatery i zagony, się przedstawiają. Patrzysz coraz dalej, nikną pól podziały; wioski gęstszymi się być zdają, a dalej i coraz dalej przemieniają się pomału w czarną niewyraźną wstęgę, okrytą mgłą i obłokami, aż nareszcie wszystko łączy się z niebem i mimowoli myśl twoją ku niebu podnosi.

Wjędziasz w rozdół najczęściej drogą, wijącą się, jak wąż po trawie, między dwiema gliniastymi ścianami, na kilkanaście sążni wysokimi, a kilkadziesiąt — długimi, i zniknął ci w jednej chwili widok, jakby na znak czarodziejskiej różdżki. Przed tobą znów nowa wyniosłość, a z boków najpiękniejsze łąki, okryte bujną koniczyną, macierzanką i innym różnobarwnym kwieciami. Jedziesz dalej pod nową górę, widnokrąg coraz bardziej zaczyna się rozszerzać; spojrzysz poza siebie, a dolina cała, którą minąłeś, zdaje ci się, jakby była zasłana kobiercem zielonym, utkanym w najdelikatniejszy rysunek.

Stałeś na szczycie góry, nowy widok, nowe zachwycenie! Tam daleko, poważna Wisła modrym szlakiem posuwa zwolna pienne swe wody; czasem się skryje pomiędzy domami, nad brzegiem jej rozrzuconych wiosek, to znów wychyli swoje lica, jak młoda Sandomierzanka, gdy wygląda z chatki swym okienkiem, i płynie, płynie coraz wężej, coraz niewyraźniej, aż wreszcie ginie między gór rozdołami, łącząc się z horyzontem. Druga strona brzegu, zarośnięta świerczyną i jedliną, wygląda, jak okryta szeregi wojowników, co tylko hasła czekają, aby szcękami oręża i hukami strzałów zagłuszyć panującą wokoło ciszę. Z tej strony ruch, życie; z kominów dym bucha, dając

obietnicę posiłku dla uznojonego pracą wieśniaka; między wikliną i wierzbą przesuwają się stada bydła i owiec; z tamtej — cichość, niczym niezakłócona; tylko przemknę się czasem cień chmury, w powietrzu przelatującej, lub poświst wiatru między drzew gałęziami.

Cudna, śliczna okolica! A jacy to ludzie zalegli tę ziemię! Nie bez błędów, to prawda, bo nie przestali być ludźmi, ale z cnotami tak pięknymi, z taką gościnnością staropolską, że gdy raz chociaż chwilę pożyczysz między niemi, to ci później wszędzie będzie nudno i mimowoli myśl twoja zabłąka się nieraz między wzgórzami i rozdołami, pięknej, cudnej okolicy Sandomierza.

Jan Kanty Gregorowicz. 1852.

6. Wyspa św. Heleny.

— Łąd, łąd! — zawołano z kosza masztowego.

Przed nami leży skała, na której niedawno czerwony sęp¹⁾ szarpał wątrobę owego Prometeusza²⁾, który wyrwał Jowiszowi pioruny i niemi lepiej od niego władał.

Anglicy wzniesli ogromne fortyfikacje na tej wyspie, niegdyś poświęconej świętej Helenie, i pilnie strzegą tego świadka czynu, który tu został dopełniony. Może nie jeden Anglik wołałby dziś, żeby się zapadła skalista Helena, widownia ostatniego aktu owego dramatu, który nieraz świat cały wstrząsał w jego posadach.

Zaiste, ostatni akt był nader tragicznym! Żołnierz, szlif oficerskich niegodny, pastwił się przez lat sześć nad bezbronnym bohaterem! Tyle razy o tym czytałem i słyszałem, a jednak jeszcze dreszcz mi przejmie na wspo-

¹⁾ Anglik. ²⁾ Według mitologii greckiej, Prometeusz skradł z nieba ogień dla ludzi, za co przykuty został do skały na Kaukazie, a sęp mu szarpał wątrobę.

mnienie tego wszystkiego, co tu z woli zbrojnych kupców¹⁾ na nieszczęśliwym dokonano wodzu.

Zarzuciwszy kotwicę, wylądowaliśmy dla zaopatrzenia się w wodę, w rośliny przeciwskorbutyczne i w żywność dla ludzi i dla zwierząt.

Portugalczycy, odkrywając tę wyspę, na początku XVI wieku, nie znaleźli na niej ludzi, tylko żółwie i ptactwo morskie, a nader mało roślin; nie wiele przeto cenili tę zdobycz, nawet nie założyli na niej osady. Później Hollendrzy uznali ważność tego punktu i wypędzili z niego Portugalczyków, a nareszcie Anglicy, czujne argusy²⁾ morskie, poznali, że nie masz wygodniejszego punktu na połowie drogi z Indyj Wschodnich do Europy, jak św. Helena, i potrafili wydrwić ją od Hollendrów, aby z niej zrobić tak szlachetny użytek, na jaki została obróconą.

Dziś żyje tu 4 tysiące ludzi, trudniących się uprawą ziemi i rybołóstwem, i 2 tysiące żołnierzy, pilnujących baterij i redut, przytém mnóstwo bydła rogatego, nierogatego, owiec i indyków. Niewdzięczna ziemia zmuszona została do wydawania plonów, a górne jej okolice zdumiewają nawet bujną roślinnością.

Longwood, folwark, w którym był więziony i umarł Napoleon, nabytym został przez jakiegoś starego wiarusa z czasów cesarstwa.

Głaz tylko i wierzba płacząca pozostały na miejscu, na którym przez lat blisko 20 spoczywały zwłoki tytana³⁾, ale i teraz jeszcze miejsce to jest celem pielgrzymki wszystkich, którzy zarzucają kotwicę w przystani św. Jakóba.

Nie masz na wyspie całej ani jednego człowieka, najbiedniejszego kolonisty chińskiego, któryby ci nie wskazał grobowca i nie umiał prawić o Napoleonie, jak o nadludzkiej istocie.

¹⁾ Anglików. ²⁾ Stróże. ³⁾ Olbrzymia, t. j. Napoleona I.

Zwłoki wygnanego cesarza wróciły na ziemię, nad którą panował i która, wycieńczona wojnami, wyrzekła się go w r. 1815.

Jego szatan-stróż, sir Hudson Lowe¹⁾, zostawszy po śmierci więźnia generał-lejtnantem, potem gubernatorem wysp Bermudzkich, ozdobiony wielkim krzyżem orderu Łaźni, nareszcie mianowany właścicielem 50-go pułku piechoty liniowej angielskiej, dostąpiwszy 74-go roku, na rękach przeslicznych córek swoich życie zakończył.

Takie były na tej ziemi koleje Prometeusza i jego sępa.

Komu z nich obu zazdrościć?

Zdawało się, że ani potomność, ani nawet lekkomyślność Francyja nie przebaczą nigdy prześladowcom bezbronnego bohatera. Wszystko jednak zatopioném być może w mętnych wodach Lety²⁾; w naszej cywilizowanej Europie przeszłość nie wywiera już swego uroku na ludzi i człowiek żyć zaczyna wrażeniami teraźniejszości, tak, jak zwierzę, o przyszłości i przeszłości najmniejszego nie mające wyobrażenia. *Les extrêmes se touchent*³⁾.

V. HISTORYJA NATURALNA.

OPISANIA I OBRAZY POETYCZNE.

1. Człowiek.

Człowiek jest zbiorem wielkości i nędzy, składem światła i ciemnoty; król przyrodzenia, pan zwierząt, jest

¹⁾ Wymawia się: ser Hadsen Lau. ²⁾ Rzeka zapomnienia (w starożytności). ³⁾ Ostateczności stykają się z sobą.

razem jak gdyby igraszką poddanych swoich—i często ze wszystkich istot najbardziej upośledzonym się wydaje. Świat ten cały i wszystkie cuda jego dla niego są stworzone; on rzeczy przyrodzone poznał, stosunki ich wynalazł, własności użył. On na wołu jarzmo kładzie, orla w powietrzu zabija, dogania jelenia w kniejach, lwu na puszczy stawia sidła, jeździ na ogromnym słoniu, podbija najmocniejsze zwierzęta, najdziksze—ułaskawia. Potwory morskie nie ujdą rąk jego; łowi strasznego wieloryba, wydzięra skarby z łona wód i ziemi, czyta na niebie, na grzbiecie morza się unosi, walczy z rozhukanemi falami i żywiołom rozkazuje. Wszystko jest mu posłuszne. Ziemia, według upodobania jego, żyzność swoje pomnaża i płody odmienia; woda, powietrze i ogień, słońce i gwiazdy, wszystkie te przedmioty, nie podległe jemu na pozór, muszą mu służyć. Niemi czas mierzy; im każe ruch dawać tym ogromnym machinom, które rozum jego wynalazł, a słabsza siła poruszyć nie może.

Lecz ten człowiek, tak możny i dowcipny, rodzi się nagim i słabym, nic nie dostaje od przyszłej poddanki swojej; to przyrodzenie, które później tłomaczy, tak mało zrazu pojmuje, że gdyby go matka przez lat kilka nie pielęgnowała, zginąłby z głodu, gorąca, lub zimna. Te zwierzęta, którym ma panować, więcej nad niego zmyślności mają: ledwie na świat przyjdą, już sobie radę dać mogą, już posiadają wiadomości na całe życie dostateczne, a przyszły ich pan kroku bez pomocy uczynić nie może, słowa bez nauki wyrzec nie zdoła, i trzeba tylekroć powtarzanego doświadczenia, żeby uwierzyć, iż w drobnym niemowlęciu, w tej słabej i chwiejącej się istocie, która nic nie pojmuje, przed muchą obronić się nie umie, król przyrodzenia i pan zwierząt jest ukryty.

On jest najukochańszem Stworzyciela dziełem; dla niego Bóg świat stworzył, ciało jego własnymi złożył

rękoma, do szczęścia, do prawdy, do wieczności go przeznaczył. W oblicze jego wlał dech żywota na obraz i podobieństwo swoje. On jeden ma duszę nieśmiertelną, zna, że żyje, wie, komu to życie winien, pragnie żyć na wieki i być szczęśliwym. On jeden słyszy głos sumienia, spełnia dla cnoty najtrudniejsze ofiary, życie dla bliźniego położyć gotów, czuć i kochać umie. On jeden dąży do prawdy, myślą swoją wzniesć się do samego Boga może, objąć świat cały, zeszłe i przyszłe wieki. A na tegoż samego człowieka najsrozsze spikają się nieszczęścia. Jego dusza wszystkie zbrodnie zrodziła; w jego rozumie wszystkie się błędy wyległy. Cel niejako kary Stworzyciela, od kolébki, cierpienia i przykre walki ponosi. Boleść jest pierwszym jego uczuciem, łza — pierwszą mową, chęć do złego — pierwszą skłonnością. Kiedy zwierzęta łatwo i snadnie wyżywić się mogą, on krwawo pracować, lub gorzko się kłopotać o kawałek chleba musi. Żadne zwierzę tylu chorobom nie podlega, żadne nie ma zgryzot i niespokojności, nie drży o przyszłość, śmierci nie przewiduje. Dusza jego jest razem do cnót najwyższych i do niepojętych występków zdolna; serce kochać i nienawidzić umie; rozum zna prawdę, a w błędzie ma upodobanie. Do nieśmiertelności przeznaczony, umiera; cóż po nim zostaje? oto garstka nikczemna prochu! Stworzony do wieczności, w doczesnych się troskach zanurza; przeznaczony do nieba, przywiązany jest do ziemi; określony krótkim życia wymiarem, działa, jakby wiecznym miał być pobyt jego na tym świecie; złożony na obraz samego Boga, często od zwierząt podłejszym się staje! Może między aniołami czystszych i łagodniejszych uczuć nie ma; może między lwami i tygrysami nikt większych okrucieństw nie widział, jakich się on dopuścić potrafi.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

2. K o n.

Ze wszystkich zwyczajów, jakie otrzymał człowiek, najszlachetniejsze jest nad tym dumnym i ognistym zwierzem, który z nim dzieli trudy wojny i chwałę w boju. Równie jak jego pan nieustraszone, koń widzi niebezpieczeństwo i na nie się rzuca; przywyka do szczęku broni, lubi go, szuka — i tymże samym, co rycerz, wre zapałem. Dzieli także jego rozrywki na łowach, na turniejach, na wyścigach; błyska, sypie ogień, lecz, z odwagą łącząc niepodległość i pojętność, swemu zapałowi uniść się nie pozwala, umie go miarkować; nie tylko się poddaje ręce kierującego, ale stara się niejako wybadywać jego życzenia, i jedynie ich pełnieniem zajęty, na jego skinienie puszcza się, hamuje, albo stawia. Jestto stworzenie, które swego jestestwa się zrzekło, chcąc tylko żyć wolą cudzą; które ją umie zgadywać i uprzedzać; które, przez szybkość i dokładność swoich poruszeń, każe się domyślać, że tę wolę rozumie i wykonywa; które czuje, ile życzymy, a działa, ile chcemy; które nakoniec, oddając się nam bez granic, od niczego się nie wymawia, łoży na usługę wszystkie siły, wycieńcza je nawet, i, aby lepiej było posłusznym, umiera.

Alojzy Feliński.

3. L a s y.

Znaszże czytelniku jakie miejsce na ziemi, wspanialsze i uroczystsze, nad piękną i ogromną puszcą? Tu pnienie drzew odwiecznych przechodzą w wysokości najkunsztowniejsze ręce ludzkiej słupy; tu zielone ich korony, zetknąwszy się z sobą, tworzą owe ruchome sklepienia, z jakimi najmielsze dzieła sztuki w porównanie iść nie mogą.

To najwspanialsza świątynia, którą w dzień oświecają z trudnością przenikające promienie słońca, w której podczas nocy migocą, niby lampy, tu i owdzie przeziérające gwiazdy. Gmach ten ruchomy, przy najbliższym powiewie, brzmi uroczystym hymnem, co duszę naszą religijną przejmuje wzruszeniem. Tu wszystko każdej chwili Boga ci obwieszcza... lecz uczucie wszechwładnej Jego potęgi najżywiej się roznieca wśród burzy.

Zaledwie daleki grom się odezwie, umilka wesoły śpiew ptastwa; cisza następuje po miłej wrzawie; zda się, żeś przeniesiony do jakiejś samotni, na kończynach świata położonej; same nawet liście jakimś tylko głuchszym odzywają się szmerem; rzecz byś gotów, że wszystkie milkną głosy, aby w obawie słuchały Tego, który im wszystkim rozkazuje. Przeciągły łoskot gromu, poważnie się rozlegając, obudza w duszy religijne uczucia. Trzask gromu i runących po nim gałęzi, z szumem liści zespolony, daje ci uczuć całą potęgę owego głosu na górze Synai, przed którym zawsze całe drży przyrodzenie. Nie trwóż się jednak, bo to tylko groźba najlepszego z ojców, który, dawszy poznać swą władzę, zaraz swą dobroć okaże. Na rozkaz Jego umilknie burza; spoczną rozkołysane pnienie drzewne; liść orzeźwiony, jakby kroplami rosy, zabłyśnie; trawka podniesie pochylone swe czoło; rozleje się tchnienie ziół wonnych i ptastwo nowym ozwie się kwileniem, co wdzięcznie się rozlegnie w odświeżonym powietrzu.

Jednakże te lasy nie ku samej tylko ozdobie siedziby naszej stworzone zostały; w ich łonie mieści się nieprzebrane źródło dobrodziejstw dla człowieka. Obdarzywszy nas podczas lata rozkosznym swym cieniem, służą później do zaspokojenia rozlicznych potrzeb naszych, dostarczając stosownego materiału na budowę, pożywienie, odzież i sprzęt rozmaity, ku wygodzie, lub nawet zbytkowi służący, z jakiego korzystają wszystkie rzemiosła i sztuki.

Lecz nim ulegnie ostrzu siekiéry, ileż, żyjący, wypełnia posług!

Wspomniawszy sobie, czytelniku, iż każdy listek buka, lub dębu, tysiące ma otworków, które wciągają szkodliwe wyziewy ziemskie i ożywcze gazy wydaje, łatwo wyobrazisz sobie, jak wielki wpływ wywierają lasy na odświeżenie atmosferycznego powietrza, tak niezbędnego do oddechu zwierząt. Zastanawiając się także, iż każdy gatunek drzewa stanowi obręb istnienia dla niezliczonych tłumów żyjących stworzeń, co na nim znajdują swą kółkę, schronienie i środki do utrzymania; że pod swym ramieniem pielęgnuje mnóstwo ziół rozmaitych i nieprzebraną mnogość zwierząt, począwszy od żubra, aż do prze-myślniej pszczołki—od głuszca, co donośnym głosem wita brzask poranny, aż do owego śpiewaka, co w zaroślach ukryty, powabnym swym pieniem samą ciszę nocną wymowną robi—od drapieżnego jastrzębia, aż do lękliwej kukawki; zastanawiając się, mówię, nad tem wszystkiem, pojmiesz, jak wielkiego znaczenia są lasy w ogólnym urządzeniu ziemi naszej; jak wielki wpływ mają na utrzymanie w szykownej całości tego łańcucha żyjących stworzeń, które ją zamieszkują.

Antoni Żyszkiewicz.

4. Łąki.

Łąki to żyjący kobierzec ziemi, ręką natury utkany, którym nagość ziemi w najpiękniejszy przyodziwa sposób. One to głównie stanowią jej ozdobę. Bo i znasz, czytelniku, jakikolwiek obraz, powabniejszy nad widok wiosennej łąki, gdy, odsłonią z pod martwego śniegów pokrycia, wyrzy żyjącą traw zielenią; gdy się ozwie swoim tajemniczym głosem, w którym się zleją—szelest powiewnej jej szaty, miększej od tkanin jedwabnych, dźwięczny

brzęk skrzydeł bujającego nad nią owadu i cichy, czysty szmer strumienia, co, w tysiącznych wijąc się skrętach, wszędy po niej swe źródło życia rozlewa. Nie stąpaj po niej obojętną nogą, bo za każdym krokiem tysiące cudów pomijasz, a tysiące innych za każdym razem stopą swą depczesz; wszak każde ziółko, każdy jego listek, każdy kwiatek jest cudem. Przypuśćmy, że masz przed sobą łączkę, tylko tysiąc kroków długą i tyleż szeroką. Na tej powierzchni, milion kroków kwadratowych wynoszącej, na każdym z nich naliczysz około seciny źdźbeł trawki. A więc, spojrzawszy na swą małą łączkę, obejmujesz razem 100 milionów najkunsztowniejszych żyjących przyrządów, a w każdym źdźble ileż się nie mieści rureczek, które ten przyrządek ciągnie pokarm z ziemi, ile kanalików w każdej łodyżce, ile otworków w każdym listeczku, ile pręcików w każdym kwiatku, ile ziarn pyłkowych w główce każdego pręcika! Czyżemy więc bez zasady powiedzieli, że depczesz swą stopą tysiące cudów? A jednak jest ktoś taki, czyją sprawą ten świat dziwów stanął, który przed wieki dał im początek, który je dotąd ponawia i utrzymuje i który sam tylko wie o ich końcu. Czyż więc potęgi i mądrości Jego nie uznasz, kornego nie ugniesz kolana i z pochylonem czołem, w pokorze ducha, hołdu, czci i uwielbienia Mu nie złożysz?

Lecz na tej łące znajdziesz nie same tylko dowody Najwyższej potęgi i mądrości; jeszcze i dobroć Jego odkrywasz. Ten niezliczony tłum poziomych trawek, których sto zdepczesz gatunków, kilka tylko zrobiwszy kroków, jak ważne, jak dobroczynne w żyjącym świecie spełnia posłannictwo! Nie dość, że one głównie stanowią najpierwszą pracownię, gdzie martwa materja przechodzi w dziedzinę życia, ale w nich jeszcze leży źródło wyższego zwierzęcego żywota, gdyż one to stanowią główny pokarm zwierząt, bez którego te ostatnie ostać by się nie mogły.

Oprócz dobrodziejstw i mądrości tej opatrznej ręki, co łąkom dała początek, jakże jeszcze wielkie źródło przyjemności znajduje w nich człowiek, piękność czuć umiejący! Usunąwszy łąki z powierzchni ziemi, jakże wiele odjęlibyśmy jej powabu, którego nie zastąpiłyby ani same lasy, ani uprawne pola, chociażby te nawet całą nagość ziemi pokrywały. Powabne rozmaitością krajobrazy, jakżeby wiele wtenczas straciły! Tymczasem teraz, wśród pól i lasów wyglądająca łąka ileż nam wdzięków przedstawia! Zielona murawa, stanowiąca jej tło, o tyle w piękności przechodzi aksamit, do którego przyrównaną być może, o ile każde dzieło natury, szczególnie zaś żyjącej, wyższe jest od najkunsztowniejszego utworu sztuki. A cały przepych wzorzystych tkanin naszych czémże jest w porównaniu z unoszącym się nad łąką, lub ukrytym w niej, kwieciem? Błękit nieba, barwa zorzy, białosć śniegu, połysk złota, wszystko tu znajdziemy w tysiącnych zespolonych odzieniach; zda się, iż tęcza, górną opuściwszy krainę, osiadła na ziemi i, zamieniona w chmurę, różnobarwnym zalala ją deszczem.

Antoni Żyszkiewicz. 1851.

5. Puszcze zwrotnikowe.

Spojrzyjmy na zwrotnikowe puszcze, ogromne, wiekuiste, któremi porasta jeszcze stara ziemia nasza. Cała siła roślinności, wywołana potęgą wilgoci i upałów, tak tu świeża, dziewicza, silna i młoda, jak w pierwszej chwili stworzenia, gdy ją Bóg z nicstwa wywołał. Puść się nurkiem w one przedwieczne knieje, a natura niewidzialnej u nas siły, jakby kościołem bożym, obejmie cię dokoła. Paprocie, znane naszej ciemnej i biednej północy, jako mdłe i nikłe trawy, i chwasty, tam, rosnąc w olbrzymiej postaci, zamieniają się na drzewa, grające wysoko nad

ziemią, rozłożystą i powiewną kitą. Ciemnolistne figi, lub palmy, wysmukłej i poetycznej formy, strzelają cienkim pnem w górę, rozwijając się u szczytu bogatym zawojem ogromnych liści; konary potężne, misterne gałęzie, wiążą się ciasnym i gęstym spletem w ciemną strzechę, co, nieprzebita słońca promieniem, wieczną pomrokę rozściela po lasu podłodze, a pnie drzew, niby lekkie i śmiałe kolumny, podpierają borów strop. Tu nie ma próżnego miejsca: krzewy, trawy, kwiaty i ziół tysiące gęstwiną tłumną cisną się od ziemi, jedno drugie na wyścigi wyprzedzając. Tu zamożność przyrody, w całej mocy i uroku, cieszy się bogactwem i siłą młodego życia; wegetacja — tak dzielna, iż zewsząd kipi bujnością swoją; nieprzebrane rośliny pnące wiją się węzem około drzew, wstępują po pniach, gałęziach, a dostawszy się do ich wieńców najwyższych, przerzucają się z wiérzchołków na wiérzchołki, wiążą drzewo z drzewem, jakby grubemi linami, a tak utwierdzają las, by dostał uraganom, mającym tu ojczyznę swoje. Ciemny namiot boru lśni barwami tysiącnych kwiatów, a na każdym drzewie jest tych kwiatów bez liczby, różnych kształtów i różnej barwy, bo odmienne z natury swojej pnące rośliny, każda po swojemu kwitnąc, schodzą się w nadpowietrznych wysokościach i, wiążąc się w bukiety, tworzą ogrody wiszące, niby czarem nad ziemię wzniesione. Scena ta cudownego powabu, zaludniona jest gromadami żywych mieszkańców, bo narody wrzaskliwych ptaków, zwłaszcza papug gadatliwych, goszczą po gałęziach, a farby ich skrzydeł i ciała — tak jasne, tak świetne, jakby się skąpały w złotym świetle słońca; a roje płochy różnogatunkowych małp swawolą i radzą pod gęstą strzechą drzew, lub, huśtając się po rozwieszonych sznurach, pnących się wiciowych roślinach, gniewnie patrzą się na ludzkiego przychodnia, wyszczérzając nań zęby, lub witają go pociskami gałęzi, lub orzechów koko-

sowych; gdzieś znów zdaleka, jak uderzeniem w kotły, bębni olbrzymia żaba. Potok nieprzebrany życia — wylany na tę naturę, co tak ochocza, młoda, jak gdyby wczoraj była wyszła z rąk Stworzyciela swojego. Tu życie jest wiecznem natury weselem—lecz, gdy uragany się rozszaleją, gdy burza grzmiąca zaryknie nad puszcza, i ogniem błyskawicy zajmie się niebo i zajaśnieje pożarem siarczyстым, puszcza, uchwycona w wichru objęcie, miota się z nim, pasuje i szarpie; wtedy chmury ciężkie, czarne, pękają z hukiem nad ziemią, a ulewa rzeką lunie na las. Słychać szum głuchy, niby katarakt huk. W lesie, kołysanym burzą, jeszcze sucho, jeszcze żadna kropla nie przeciekła przez ciasny splot liści potwornych; ale gdy tu i owdzie uragan z korzeniem wysadzi pradziadowe jakie drzewo i otworzy nawałnicy okno, wtedy woda słupem ciężkim, gęstym, uderzy w las. Strach pada na mieszkańców boru; chowają się milczkiem pod gałęzie, uciekają drżąc do nór; — powszechna trwoga, bo życie lęka się szalu żywiołów, a ślepe potęgi natury są zawsze wrogiem organicznej przyrody.

Józef Kremer.

6. Zorza północna w Norwegii.

Któż jest zdolny wystawić sobie, czém jest zorza północna, jeśli jęj w Norwegii nie widział? Jakie pióro — dość śmiałe, jakie wysłowienie — dość silne do odmalowania téj boskiej dekoracyi nieba?

Naprzód ukazał się na niebie obłoczek świecący, białawy, zawieszony w północnej stronie firmamentu. Nie widziałem jeszcze podobnego meteoru i z zadziwieniem wpatrywałem się w ową gazę srebrną, pływającą wysoko w powietrzu, ale nie zostawałem długo w zawieszeniu.

Ognisko, światłem rażące, ukazało się w środku obłoczka, rzuciło niezmierne promienie na przestrzeń nieba i od razu całe jego sklepienie pokryło się olbrzymiemi, najrozmaitsze kształty przybierającemi widmami. Ogniste snopy piorunów, długie, palające miecze zabłysły; wulkany, zalévające żarem i lawą świat cały, race, szybsze, niż myśl, przebijały powietrze. W czystym eterze niebios grały najbogatsze kolory; tu walczy purpura z jaskrawym fioletem, tam szmaragdy igrają z czarnemi dyamentami: w jednej chwili wszystko przybiera postać szerokiej, opasującej niebieską hemisferę tęczy, z której pryska na kulę ziemską dészcz ognisty. Nikt nie zdoła opisać uroku, pod jakim pozostawaliśmy wszyscy, niemi i zaledwie oddychający. »Boże odwieczny, czy Ty nam zstąpienie swe na ziemię zwiastujesz«, myślałem, »lub czyś otworzył bramy wiecznego raju?«

Nieustające zmiany kształtów i kolorów następowały jedno za drugimi; czasem wszystko znikalo w okamgnieniu, zostawując po sobie najczarniejszą ciemność, nieprzejrzaną dla gwiazd nawet; to znów wszystko zapalało się razem nieskończoną łuną—jak gdyby gorzał świat cały, gorzało niebo; woda morska w purpurę zamieniona, rubinami toczyła, a skały, śniegiem okryte, zalał amarant i obsypały brylanty.

Wszystko żyło, wszystko się poruszało, ale w zupełnej cichości, trwożącej kontrastem. Zdaje się, że natura własném dziełem zdumiona, milczy; a może téż milczy, bo nie wydała jeszcze żadnego głosu, godnego wtórować majestatowi zorzy północnej.

Teodor Trypplin. 1844.

7. Zorza północna w Syberyi.

9 Września 1840 roku.

Zorza północna jest w Berezowie ¹⁾ zjawiskiem dość pospolitém. Kilka jój pojawień mieliśmy już téj jesieni. Rozpoczyna się ona zwykle luną czerwonawą, która oświeca czasem spokojnie część widnokręgu, rozszerzając się, lub zmniejszając. Czasem to światło odznacza się ruchem widocznym, przemieniając kształty, to żywo, to poważnie; wszakże równie zachwycającego zjawiska, jak dzisiejsze, jeszcze nie widziałam i postaram się, jeżeli będę mogła, dać choć w części jego wyobrażenie.

Dzisiejszego wieczora, o godzinie 10-éj, dał się słyszeć szum wielki w powietrzu. Jakiś huk oddalony, jakiś łoskot dziwny, zdawał się być prologiem do nakazującej sceny i zapowiadać widowisko, mające oczom naszym się przedstawić.

Mieszkańcy Berezowa zrozumieli, co ten huk znaczy. Jakoż światło cudowne zalało cały widnokrąg.

Mój gospodarz wszedł do pokoju, wzywając mię na dziedziniec. Kiedym wyszła, stanęłam w zachwyceniu. Szkoda, że żadne pióro nie potrafi oddać wspaniałej sceny, która się rozwinęła przed memi oczyma. Nie mam nadziei dać o nią nawet słabego wyobrażenia.

Powietrze było mroźne, czyste. Śnieg pobielił ziemię, budynki, drzewa i wszystkie przedmioty. Przy dziwnej natury blasku, odbitym od śniegu, Berezów już mi się nie wydał małą miejsciną, jak zwykle; była to ogromna świątynia. Wszystkie części tego cudownego obrazu zdawały się stanowić jeden gmach, jedną całość, a ten gmach był

¹⁾ Berezów — miasto powiatowe gubernii Tobolskiej, leży pod 63° szer. półn., na lewym brzegu Soswy, która niedaleko od niego wpada do Obi. Ma sto kilkadziesiąt domów i tysiąc mieszkańców.

otoczony ścianami w płomieniu i takąż kopułą, strzelającą wysoko, ostro zakończona, jaśniała nad głową.

Najbardziej zachwycająca była natura światła. Nie było ono ani czerwone, ani jaskrawe, ale oświecało przedmioty jasnością nad wyraz miłą, sobie tylko właściwą, której nie można porównać z żadnem światłem, znaném w przyrodzeniu. Było to jakby małżeństwo ogni bengalskich z srebrzystą jasnością, odbitą od księżyca w pełni.

Widnokrąg przybrał dla oka kształt, nie już jak zwykle kopułowy, lecz jakby głowy cukru. Horyzont został zamknięty w ciśniejszych ścianach, ale wierzchołek tego ostrosłupa ginał w tak niezwykłej wysokości, że zmysły się łudziły. Zdawało się, że ten wierzchołek, przebiwszy zwykle sklepienie, zrobił otwór do nieba i pozwolił, w tę godzinę nadzwyczajnej uroczystości, zapuścić choć raz wzrok mieszkańcom tego padołu w krainę tajemniczą, dostępną dotąd tylko wyobraźni; lub, że duchy wyższej natury usunęły przez ciekawość przegrodę, dzielącą ich od śmiertelnych, dla przypatrzenia się zjawisku, niezwykłemu na ziemi.

Ściany owego ostrosłupa tworzyły się z bardzo lekkich obłoczków ruchomych, jasności srebrzystej, które, wijąc się w kłęby, jakby dym lekki, rzucały światło, o którym mówiłam. Obłoczki te, niby delikatna para, rodziły się u podstawy ostrosłupa, jakby wychodząc z pod ziemi — i zaledwie powstałe, pędziły z szybkością niewysłowioną, wrac zawsze kłębami światła, do góry, i znikwały u wspólnego wierzchołka tak szybko, iż oko nie mogło nadążyć w ślad za niemi. To znikanie nie rodziło jednak żadnej przerwy w ogólnych ruchach, bo coraz nowe kłęby światła, podnosząc się od podstawy w najfantastyczniejszych kształtach, pędziły za pierwszemi i znikwały, jak tamte, zostawiając miejsce innym, które goniły za niemi.

Po za temi ruchomemi ścianami nie było nic widać błękitnego sklepienia, usianego gwiazdami. Może też gwiazdy zbladły w obec tak dziwnego światła. Jedném słowem stanął świat inny śród świata codziennego,

Ten dziwny taniec mass światła, pchniętych w ruch siłą niewidomą, odbywał się przy majestycznym huku muzyki, brzmiać w powietrzu.

Ten huk, łoskot w powietrzu, miłe światło, nie mające sobie równego, kształt niezwykle widnokręgu, dziwnie ożywiona gra różnokształtnych obłoczków, które, pędząc, ściągając się i znikając, dążyły do jednego punktu i ginęły u wspólnego wierzchołka, wszystko to dziwnie nastrojało wyobraźnię i podnosiło zachwyconą duszę do Twórcy tych dziwów.

Człowiek chce zbadać prawa przyrodzenia, wykraść tajemie sił, pędzących w ruch światy—przynajmniej wiedzą, jeśli nie potęgą czynu, zmierzyć się ze swym Twórcą! Na każdym kroku spotyka nowe dziwy, nowe siły nieznanne, nowe tajemie przyrodzenia, nowe dowody nieobjętej wszechmocności, a jednak nie leczy się z pychy, z zarozumienia. Szczęśliwszy, stokroć szczęśliwszy ten, co, w zachwycie duszy upadłszy na kolana, umie czuć sercem dziwy przyrodzenia i w niemém uwielbieniu, w całej pokorze ducha, oddawać hołd niedościgłej wszechmocności.

To nadzwyczajne zjawisko trwało godzin kilka, poczem ruch zaczął się zmniejszać, światło—gasnąć częściowo, a o godzinie drugiej z północy wszystko znikło. Gwiazdy, dotąd zasłonięte, czy też zaćmione, zaświeciły na nowo; księżyc zaczął dalej odbywać chód wolny po czystym nieba błękitnie i wszystko weszło w porządek codzienny, jak gdyby nic nie było, zostawiając tylko pamięć niezwykłego wrażenia, piętnującego się żywo na duszy.

Ewa Felińska.

8. Jodła.

Otoczona ciemnozielonym całunem bisiorów, ku matce ziemi zwieszonych, jodła w podaniach naszych zawsze jest drzewem smutku i śmierci, podobnie jak świerk i cis. Nie pojawia się ona jednak tak często w ustach ludu, jak lipa, dąb, wierzbka i t. p. drzewa, bo też i mniejsze ma zastosowanie do potrzeb ludowych; ale za to częściej żegluj po głębokich morzach, obracana na wysokie maszty. Ta jej przymusowa wędrówka po obczyźnie natchnęła niemieckiego poetę piękną pieśnią p. n. »Jodła«. Opisuje tam poeta smukłą jodłę, szumiącą na najwyższym szczycie góry, patrzącą się w słońce gałęziami, wpinającą igły swoje we wzdęte burzą poduszki chmurowe. Pod jej korzeniami, w głębi góry, mieszkają al-runy (karły) i przepatniają drogie kruszce w swjej pracowni. Pod jej ramionami przelatuje z szumem nocny upiór, z sosną w dłoni, a daleko od ludzi, na mchu, u stóp swoich, widzi tylko ślady racie sarn i jeleni. Strząsając na ziemię nasiona przyszłego odrodzenia swego, sący łyzy szczęścia bursztynowego blasku—i bezpieczna o przyszłość, śpiewa dumy minionych dziejów.... Wtém topór zabójczy ścina ją z pnia i, obróciwszy na maszt, każe na fregacie błdzić po obcych morzach. Tam, przybrana w strój cudzy, skarży się morskim falom na swoją dolę; za ciekawości całego świata, które oglądała przy obrosłych mchem islandzkim opokach i w zatokach palmowych wybrzeży, nie dałaby ojczystego ustronia na skalistym szczycie, z kąd w bratnie swe lasy spoglądała spod chmury....

W ustach górali tatrzańskich napotykamy najwięcej pieśni, w których wspomniana jest jodła. Bo też w owych stronach, pomiędzy innemi drzewami, najczęściej wysmukłe jodły ciemnym wieńcem otaczają wyniosłe góry, stoją

CZĘŚĆ II, WYŻSZA.

w milczeniu i zadumie, a niekiedy tylko wiatr z doliny zaniesie im jakieś słowa tajemniczej pieśni.

Jest klechda, w której znajdujemy, że nieszczęśliwa precudna królewna, znajdując się przez czary w uśpieniu, została złożoną w trumnę i tak zawieszoną do czasu, przez dwunastu litościwych zbójców, w lesistej dolinie, wśród wysokich gór, na czterech łańcuchach, między czterema jodłami.

U Serbów łużyckich istnieje obrządek stawiania drzewa majowego, które się zowie Meja, i wywożenia śmierci w postaci bałwana (Marzanna), lub wózka, ubranego w jedlinę. Jak więc widzimy, jodła smętnym obrazom kolorytu użycza i odpowiednie swęj naturze miejsce w podaniach gór zajmuje.

Józef Grajnert. 1864.

VI. ŻYCIE SPOŁECZNE.

A). CHARAKTERYSTYKI OBYCZAJOWE.

1. Szarmant prowincjonalny.

Częstokroć ludzie gruntownie światli są małomówni, ale częściej jeszcze się zdarza, że ludzie przy zupełnym niedostatku myśli i wyobrażeń mają płynne wysłowienie i ciągle się niēm popisują. Między takimi dwunożnymi wiatrakami Kinal niepospolity wysłużył stopień.

Kto tylko go widzi, skazany jest na słuchanie nieustającej jego gadaniny; mając bowiem instynktowe samopoznanie swojego ubóstwa intelektualnego, usiłuje ilością wynagrodzić jakość. Wyczerpawszy materję różnych

zajmujących szczegółów o trybie swojego życia domowego; nauczywszy słuchaczy, o której godzinie zwykle się przebudza, jakie są jadła, co mu najwdzięczniej smakują, jak umie groźnie i sprawiedliwie obchodzić się ze sługami, jakim conceptem udało mu się upokorzyć pewną ważną osobę, która się zrazu na nim nie umiała poznać; dawszy do poznania, jak jest szczęśliwy do ludzi, tęgi do pojedynków, a zawsze słuchając sam siebie z większym upodobaniem, niż ktokolwiek obcy... kiedy się już wszystko przebrało, dopiero Kinal bierze się do nieprędko wyczerpanej materji obmów. Ach! co za dowcipne concepta, jakby z rękawa się wytrząsały! Bóg świadkiem, że te wszystkie obmowy nie pochodzą ze złego serca, ale jedynie z gorączkowej potrzeby zajmowania wszystkich sobą.

Kinal w żadnych naukach się nie ćwiczy, bo trzeba by się wziąć do nich z wielką wytrwałością, a jakże by mógł zająć się czēm innē, niż samym sobą. Jednak czyta najnowsze romanse francuzkie, które dostać może i tēm szermuje między mało odczytanymi, będąc pośród nich, jak jednooki między ślepymi. Często całkowitych okresów z tych tak ważnych pism wyucza się na pamięć i stara się upstrzyć niemi swoje opowiadania i bez tego dość rozwlekłe. Notabene język francuzki jest przez niego ulubionym, właśnie dla tego, że w nim namnożyło się mnóstwo zwrotów, wyśmienitych do ubarwienia czczości myśli i wyobraźni. Jest to jedyny język dla umysłów jałowych; w żadnym innym bezkarnie nie można być głupim. Językiem francuzkim można gadać ciągle, nic nie mówiąc. Francuzczyznę więc swoją popisuje się Kinal i trzeba mu sprawiedliwość oddać, że wymawia po francuzku wybornie, doszedłszy w tym języku do wygórowanego puryzmu.

Wiadomo wszystkim, że ludzie waleczni są łagodni i umiarkowani, a tchōrze są najzaciętsze burdy, byle

przypadkiem natrafili na jeszcze większych tchórzów. To prawidło urzeczelnia się we wszystkich innych kategoriach ludzkich. Ludzie, którzy się cieszą szczęśliwem powodzeniem majątku, zwykle się kurczą i użalają na złe czasy, że nie tak im idzie gospodarstwo, jakby sobie życzyli; przeciwnie ci, co zaplatali majątek długami, ciągle prawią o szerokich swoich intratach, o trafności i zapobiegłości swojej ekonomiki. Uczni nie lubią popisywać się swemi wiadomościami i zwykle z takimi tylko prowadzą naukowe rozmowy, od których mają nadzieję jeszcze się czegoś nauczyć; niedouczeni zaś zawsze chcą drugich uczyć. Ludzie rozumni zawsze i u drugich jakiś rozum dopatrzeć umieją i z niego nawet korzystają; półgłówki, co mają jakąś pozłotę na swoją i bliźnich biędę, nikomu rozumu nie przyznają. Mnóstwo jest ludzi bardzo mało uczonych, ale wielce rozsądnych i trafnych. Proszę zapytać któregoś z nich, z kim dla niego łatwiejsze obcowanie, czy z takim, co ma wysoki rozum i obszerne wiadomości, czy z półmędrkiem; zaręczam, że odpowie bez wahania: z pierwszym. Bo rzeczywiście światły i z bliźniego światło wydobędzie, poda mu rękę, ośmieli go i sam się zadziwi, jakie szacowne wygrzebie skarby intelektualne ze skromnego, ale ze zdrowym rozsądkiem człowieka, czasem bardzo mało czytanego. Ztąd wielkie potęgi umysłowe, umiając i mówić i słuchać, są przyjemne w poufałym towarzystwie i nigdy nikogo nie upokarzają. Półgłówki zaś, otynkowani jakąś nauką, są nieznosni, tak dla uczonych, jak i dla tych, co, mając rodzimy rozsądek, nie znają sztuki mydlenia oczu i nie umieją rozprawiać o tém, czego nie rozumieją. Kinal jest arcywzorem podobnych półgłówek, a ztąd istotnym ciężarem dla towarzystwa, bez którego jednak obchodzić się nie może.

Rola Kinala na świecie jest być szarmantem—i dobrze ją odgrywa, bo posiada w wysokim stopniu dwa niezbędne

warunki téj roli: wykuintność w ubiorze i bezczelność w mowie. Jest on postrachem wszystkich towarzystw, ale przyjmują go jak tylko można najuprzejmiej, bo każdy woli być unudzonem, niż, naraziwszy się mu, spotwarzonem. Lubo takowy rachunek nie zawsze się udaje, gdyż najczęściej z początku unudzi, a mimo to potem spotwarzy. Biędny szarman! ileż to zabiegów, trudów, kłopotów, ofiar, skrytych upokorzeń, na to tylkołożonych, aby pozyskać pogardę powszechną!

Henryk Rzewuski. 1841.

2. Sknéra wystawny.

Pan chorąży Wolczyński byłto sknéra wystawny, jakich mamy wielu na wszystkich szczeblach majątkowych naszej szlachty. Próżność i wystawność jest pierwiastkiem i sprężyną ich czynności, jest źródłem głupstw najpociesniejszych. Jeżeli który z nich odebrał staranne wychowanie; jeżeli zna świat i widział wiele rzeczy pięknych i wytwornych... w wystawności jego będzie gust i wybór; jeżeli zaś wyrósł w domu, zestarzał się w swojej prowincyi—to we wszystkiem, czém się zechce popisać, będzie dziwactwo, niestosowność, nagromadzenie bogate rozmaitych rzeczy, bez prostoty, elegancyi i celu. Ale w duszy obu jest skąpstwo brzydkie, prawdziwe. Ani jeden, ani drugi, nie daruje grosza swoim wieśniakom; nie da zapomogi, nie podstawwszy wołu, krowy, konia, uprząży, odzienia, które otrzymują w cenie wyższej nad rzeczywistą; rozgniewa się, gdy się dowie, że w motkach niedostawało jakiego pasma, że nie dodano jakiej kury, że między jajkami, które biędna chłopka dostawiła do dworu, były niektóre zepsute. I ten, i ów podwyższy arędę, jeżeli ją może podwyższyć, dając w zamian żydowi zupełne prawo obdzierać i demoralizować chłopą. Ani ten, ani ów, nie ustąpi nic pose-

sorowi, przez wzgląd na nieurodzaj, lub na taniość produktów. I jeden i drugi z najbiédniejszym żydkiem, który wózkem na dwóch kołach zajężdża do dworu skupować skórki zajęcze, każe się targować do upadłego; księgarza, który przyjedzie do domu i przywiezie książki, każe wypędzić z dziedzińca i nie dać mu szklanki wody; te szlachetne dusze, które z narażeniem się na tysiąc odmów i przykrości, śmieją przecież podnosić głos za biédnymi i proszą o składkę, przyjmie z urąganiem, lub da zupełnie wytartego półrubelka. Słowem, i jeden, i drugi, kocha monetę i do niej ma szczególne nabożeństwo: chroni ją i oszczędza, żałując dla siebie, dla dzieci, dla biédnych, ale tylko na potrzeby istotne, na wydatki, mające na celu wygodę, zdrowie, gruntowną edukacją i miłosierdzie, bo tego nikt nie widzi, nikt o tém nie zagada. Lecz, gdy wydatek gruchnie po całym powiecie, lub gubernii, i da szlachcicowi pozór pana, tam wysypie chętnie. Kupi, co okazałe choć niepotrzebne, i co zdarł z chłopą, to odda w angielskim magazynie; co wydrwił z biédnego żydka, to zostawi u Szafnagla; co odciął ekonomowi i biédnemu nauczycielowi polskiemu, to weźmie kamerdyner Francuz, lub guwernantka Angielka.

Takim był pan chorąży Wolczyński. Odebrał on po ojcu majątek dosyć znaczny, ale nie odebrał żadnego wychowania. Z początku był sknérą niewinnym, zagrzebanym, sknérą zwyczajnym, jakich wszędzie wielu, lecz gdy mu się przypadkiem udało dostać posażną żonę, gdy dołazł milijona, zrobił się sknérą wystawnym, sknérą herbowym polskim, tym brzydszym i tym niemoralniejszym, że cały deficyt, okazujący się w budżecie, w skutek głupich i niesmacznych wydatków, zapełniał nowymi zdzierstwami, nowym uciskiem chłopów, oficyjalistów i arendarzy!

Ponieważ pan Orłowski w Malinowcach miał piękny pałac z kolumnami, postanowił więc i pan chorąży wystawić

dla siebie rezydencyją, któraby widna była w okolicy i o której by w całej gubernii zagadano. Miał on stary dom, obszerny, wygodny i z ogrodem, ozdobionym wodą i przepysznymi drzewami, ale ten dom stał w zakęcie i ukrywał się przed okiem ludzkim. Pan chorąży wybrał wzgórek ze wsią, nagi i bez wody, kazał tam wkopać wielką krokiew, do niej przywiązać prześcieradło, jak flagę, i jeździł konno naokoło wsi, robiąc krąg coraz większy, dla przekonania się, z jak daleka widać będzie dom, który miał wystawić, a szczególnie z pocztowego traktu. Zaspokojony z tego względu, wziął się do roboty i kontent, że nie było żony w domu, któraby mu wmieszała swoje »ale«, puścił wodze swemu gustowi. Skończył swój dom prędko, bo nie żałował pieniędzy; wznosił dwa piętra, postawił przed gankiem sześć ogromnych kolumn, ułożył posadzki w rozmaite wyrzynania, wymarmurował i wylakierował ściany, na gzymsach i piecach porozstawiał rozmaite figury, ale ktoby tam chciał szukać harmonii, proporcji, zgody kolorów, doskonałości rysunku, a szczególnie prostoty, wygody, elegancyi, bardzo by się oszukał. Zdawa jednak jaśniała żółta masa z białymi kolumnami—i więcej, niż na milę wkoło, świecił się dom pana chorążego.

Józef Korzeniowski.

3. Genijusz.

Wielka rozłożystość, moc i dzielność wszystkich władz umysłu, głęboki i silny rozum, lubiący torować sobie i wyrąbywać nowe drogi i tworzyć nowe pomysły, umiejący z powszednich dawno znanych myśli wyprowadzać całe familije nowych prawd, ognista dusza, bujna imagi-nacja i nieunoszona czułość serca... są cechą, znamięniem genijusza. Genijusz więc nie jest władzą umysłu, lecz najwyższą jego i najbujniejszą doskonałością, przymio-

tem osobistym, wrodzonym niebios darem. Doskonale kształcenie umysłu i sprzyjające okoliczności pomagają genijuszowi do rozwinięcia sił swoich i pocucia się, lecz braku tych sił zastąpić nie mogą. Dobre wychowanie kształci ludzi światłych; genijusze same się rodzą.

Genijusz wszystkie roboty umysłowe szybko odbywa; między najodleglejszymi rzeczami dostrzega podobieństwa, w rozumowaniu przeskakuje ogniwa prawd wiążących się z sobą i śpiesznie leci do wypadku—żadne wszelako pokrewieństwo między myślami, żaden między prawdami związek, przed orlim wzrokiem jego, ukryć się nie zdoła, tylko że go w krokach długo nie zatrzymuje.

Człowiek z genijuszem ma mocniejsze od innych czucie, rozleglejsze objęcie i właściwy sobie sposób pojmowania rzeczy. Wszystko, co go otacza, silniejsze na nim sprawia wrażenie; każda większa myśl zapala go i unosi. Najmniejsze słówko pochwycone przeobraża się w nim szybko na myśl i uczucie, sięga aż do dna duszy, krąży z szybkością błyskawicy, wszystkie tajniki umysłu i serca przebiega, obudza roje myśli i rozliczne uczucia, wprawia w ruch wszystkie siły umysłu, długie i nieprzewidziane w całej duszy jego sprawia wzburzenie.

Genijusz nie ulega wpływowi panujących uprzedzeń, ubitej kolei nie cierpi, w łamaniu trudności wielkie ma upodobanie; pomysły jego zawsze mają w sobie coś zachwałego. Roztoczywszy wszystkie skrzydła, lubi bujać po nieskończonem przestworzu i nowe dla siebie krainy myśli odkrywa. Z wszystkiego, czego doświadczył, co na około siebie lub w sobie poznał, pewne ogólne prawdy, rzucające wielkie światło, lub pewne prawidła wyprowadzić umie. W opisach jego podoba się i zastanawia dobitność wyrażen, moc myśli i gwałtowne zwroty. Malując namiętności, zapuszcza się dalej w głąb serca ludzkiego. Opisuując rzeczy świata otaczającego, okazuje rysy

i kształty, które przed okiem naszym zawsze się wymykały; odsłania przymioty, okoliczności i stosunki, około których tysiąc razy krążyliśmy, a nigdyśmy ich nie dostrzegli. W zwierciadle jego duszy wszystko innych nabiera wymiarów, zdumięwa, zachwyca i porywa. Wszystko sam dla siebie tworzy: pomysły, myśli, obrazy, prawidła, język, sposoby wyrażania się i obroty mowy. Nad językiem panuje, wyobrażeń swoich i myśli łamać, ścieśniać i obcinać mu nie dając.

We wszystkich genijuszu utworach widać wielkie bogactwo pamięci, ognistą imaginacją, która obficie farb do malowania myśli dostarcza, i w ogólności bujność umysłu, która przestrogami roztropności jak małostką jaką pogardza. Człowiek rozumny potrafi sobie wystawić grzmoty, pioruny, przeraźliwy świst wichrów, okropne pustynie, niebotyczne góry, czule śpiewy pasterzy, rozhlukane i spienione morze, gwałtowność namiętności, zapalczywy gniew, wielką radość, żal nieukojonny, rozpacz ostatnią i t. p., lecz sam tylko genijusz czuje te obrazy, te utwory imaginacji, aż w głębi swego serca—i z całej duszy raduje się niemi serdecznie, lub zasmuca, unosi i zachwyca. Takie pomysły i uczucia nie wciela w słowa ogólne, ale maluje w śmiałych rysach, pokazuje na oko w obrazach, którym świeży koloryt i życie nadaje. Obfitość myśli, rozogniona czułość, tak go unosi i porywa, tak mocno nim włada, iż natchnieniom swego genijuszu oprzeć się nie może. Nie jest panem swoich uczuć i myśli, ani ich miarkować, ani pohamować nie może, póki nie zaspokoi gwałtownej potrzeby wcielenia w słowa, w marmur, lub przeniesienia na płótno myśli, która wre, burzy się, całą duszę jego wypełnia i aż do dna wzrusza.

Utwory genijuszu mają to do siebie, iż w nich zawsze coraz nowe piękności dostrzegać się dają, bo wynikają z głębi duszy, są objawieniem się wewnętrznego natchnie-

nia, mocnego czucia i przekonania. Różnią się zaś od dzieł rozumu, jak kwiat naturalny od kunsztownego. Człowiek przemyślnego rozumu zbiera zewsząd ozdoby i piękności do swego dzieła, lecz mu duszy i życia nadać nie zdoła. Wieniec z najpiękniejszych uwity kwiatów prędko zwiędnie; na łąkę, usłaną rodzimemi kwiatami, zawsze z nową patrzymy rozkoszą, bo te ssą życie z ziemi, w której tkwią i rosną.

Człowiek z genijuszem prędzej od innych myśli; ma niewyczerpane skarby wyobrażeń, pomysłów i obrazów. Zatopiony zwykle we własnych myślach, które tłumami się cisną, w nich najmilsze znajduje zajęcie. Najczęściej pierwsza młodość genijusza ukrywa się skromnie w cieniu, jak barwinek, i dopiero nagle, niespodzianie, w całym blasku rozkwita. Dla miernych zdolności pochwały i oklaski bywają zachęceniem do wytrwania i pilności; prace genijusza, jak działania natury, lubią odosobnienie, cichość borów pierwotnych i tajemnicę. Człowiek z genijuszem, wyższy nad próżność, nie ubiega się za oklaskami, najśłodsza nagrodę w sobie znajduje. Zwykle do jednego rzędu myśli, do jednej jakiejś rzeczy miéwa wyłączny pociąg.

Genijusz jest wyższością, która dziwi, lecz nie wznieca miłości. Nie rozciągając tu nici cierpień, którym ludzie z genijuszem podlegać zwykli, cierpień, w Tassie Gეტego pięknie opisanych, wymienimy tylko niektóre. Człowiek z genijuszem, póki nie pójdzie drogą, wskazaną mu od natury, jest posępny, niczém niezadowolniony, dziwaczny, niespokojny, często stan i miejsce odmienia. Siły duszy i umysłu, pasujące się wewnątrz, nie dają duszy jego spoczynku. Zniewolony niekiedy do chwycenia się zatrudnień, wprost naturze i skłonnościom genijusza swego przeciwnych, długo znosi ten ciężki dla duszy swój przymus, w końcu atoli kruszy wszelkie zawady i z podwójnym zapalem rzuca się w zawód sobie właściwy. Genijusz albowiem

nie daje się, jak talent, do wszystkiego przygłaskać, nagiać, lecz zaraz w pierwszej jutrzence umysłowego życia o swoich lubi kroczyć siłach; w tém tylko mocne upodobanie znajduje, do czego go wrodzona porywa skłonność.

Ludzie z genijuszem, przebijając się przez rozliczne zawady do właściwego sobie w społeczeństwie miejsca, zwykle doznają nieszczęść, które tém mniej znosić umieją, iż u nich wszelkie myśli i uczucia większych nabywają wymiarów; iż, co dla innych jest przykrością tylko, dla nich jest nieszczęściem. W niedoli — dumni, w pomyślności okazują się skromnemi. Oburza ich pycha, dziwi powodzenie mierności. Na swą wyższość jedynie polegając, okolicznościom uleż nie umiejąc, łagodne obchodzenie się z ułomnościami ludzkimi za niegodne siebie poohlebstwo poczytując, z trudnością kierują się na świecie. Ztąd wielkie ich dla całej ludzkości przysługi i chwałę, którą narodowi przynieśli, późna dopiero potomność ocenia i najczęściej wieńcem, na grobie złożonym, nagradza.

Michał Wiszniewski. 1837.

4. Dziadek cerkiewny.

Każda prawie z większych wiosek wschodniej części Podlasia posiada cerkiew, która, w dość malowniczym za-
zwyczaj położeniu, miły i charakterystyczny przedstawia obraz. Cerkiewka taka, dranicami kryta, z kopułą blaszaną i dużym promienistym krzyżem u wierzchu, kryje się zwykle w cieniu odwiecznych lip, lub w gaju płaczących brzoź, rosnących na oparkanionym cmentarzu.

Wnętrze jej podobnie bywa skromne i pełne prostoty. Pośrodku — stoliczek z krzyżem, który pobożni, wchodząc, całują; na ścianach obrazy skromnego pędzla; w lichtarzach cynowych — żółte woskowe świece; osłony — z pstrych wiejskich chustek, jako dary pobożnych wieśniaczków;

słowem, wszystkie przybory i ozdoby największą tchną prostotą.

Stróżem ciągłym podobnej cerkiewki jest zwykle dziadek, którego typ tu krésłimy.

Oprócz *dyjaka* i kilku, a czasem i kilkunastu, *bratczyków*, jest on najbliżej z cerkwią związany i stanowi najważniejszą w służbie kościelnej figurę.

Stary Wasil, którego cała wioska, ba, cała parafija swym kumem i bat'kiem nazywa, za młodu bywalec na świecie, gdy mu gospodarstwo jakoś nie szło, żona umarła, a dzieci rozsypały się po szerokim świecie, chatę i grunt sprzedał, zapuścił brodę i postanowił dokończyć życia, pilnując stariej cerkwi, w której rodzice go ochrzczili, gdzie brał ślub i gdzie przywykł się modlić co niedziela i święto. A tak ukochał tę cerkiew' swoją i starego proboszcza, tak przywykł do tego szumu lip odwiecznych, splatających swe konary ponad dachem kościelnym, i do odgłosu rozbitych dzwonów dzwonnicy, które codziennie swą ręką poruszał, iż obsługi swe pełnił z prawdziwem zamiłowaniem i dobrze i spokojnie żyć mu tam było.

On codziennie okurzał i zamiatał cerkiewkę, zapalał świece i kadzidło, nosił krzyż na procesyi, lub z pogrzebem na mogiłki. Latem, a nawet i zimą, mieszkał w przed-sionku cerkiewnym popod dzwonami, gdzie na tapczanie za drzwiami sypiał. Gdy go było spytać, czy mu nie strach tak samemu noce w cerkwi przebywać, odpowiedział: »A i czegoż mam się bać? Czasem to nawet i z umarłym, którego stawiają, tu się prześpię; wtenczas przeżegnam się, ta i śpię dobrze«.

Najwięcej roboty dla Wasyla, kiedy w cerkiewce praznik czyli święto; wówczas zakrętu i zachodu wiele i wtedy tym bardziej stara się, aby cerkiew' była czysta, odświeżona i o ile być może ozdobna, żeby nabożeństwo szło porządnie i uczciwie.

Wieczorami latem, w dnie powszednie, gdy wszystko w cerkwi uporządkuje, siada zwykle na schodkach wchodowych i, słuchając szumu lip i skrzeku żabek na poblizkich moczarach, wspomina sobie lata ubiegłe i krewnych i kumów, których już tylu powyprowadzał na mogiłki. Toć i on sam wkrótce tam się wybierze; więc wspomnienia swe kończy cichą modlitwą za umarłych.

Leon Kunicki. 1865.

5. P y c h a.

Cieężką chorobą duszy jest pycha. Najczęściej wyraża się ona w ludziach pojedynczych, ale napotyka się także w charakterze całego narodu. Bywa pycha z rodu, z godności, z pieniędzy, ze stanu, z nauki i t. d., lecz w każdym razie jest naganną i trudno wierzyć, aby mogła mieć jaki cel szlachetny. Powstaje ona z przesadzonej miłości własnej i z przeważonego mniemania o swęj wartości wewnętrznej. Ludzie pyszni między równymi chcą być wyższymi i prawie nigdy nie uznają niczyjjej wartości, tylko swą własną. Chrześcijańska zasada miłości bliźniego jest u nich najzupełniej pogwałcona: pyszałek to samolub; nic nie kocha, tylko samego siebie. Jeżeli taki człowiek jest głupi, każdy nim pogardza, każdy z niego szydzi; jeśli jest mądry i potężny, wszyscy go nienawidzą. Ruchy ciała u człowieka pysznego są wyrażowanie poważne; głos — napuszony i powolny, chód — przymuszony; ani dostrzedz uśmiechu na twarzy; w oczach jego nie miga żadne światelko, którem by wejrzyć można aż do głębi duszy. Ludzie pyszni lubią samotność, równie, jak ludzie, dotknięci tęsknotą za krajem, ale szukają jęj wcale w innym celu: tęskniący śni na jawie; marzenia jego są chorobliwą poezją o kraju, o rodzinie, o przyjacielach — pyszny zaś nienawidzi poezyi, bo uważa siebie

samego za doskonałą rzeczywistość, za wiarę, nadzieję i nieomylność; samotność i noc są mu najmiłsze, bo w nich knuje swoje tajne zamiary. Ludzie pyszni z rodu, jeżeli mają naukę, a nawet bez niej, dążą do zajmowania wysokich godności, a jeżeli dojdą do władzy, wtedy, przy jakim takim powodzeniu, wpadają prawie w szaleństwo. Nigdzie też nie znajdujemy przykładów, aby ludzie pychy, przez wielkie czyny, lub jeszcze większe obywatelskie cnoty, zasłużyli sobie na wiekopomną pamięć; przeciwnie, imiona ich, jak złowrogie widma, splamiwszy karty dziejów, stoją przed oczami następnych pokoleń, złorzeczących i przeklinających ich pamięć. W dziejach naszego narodu wiele jest przykładów, popiérających to twierdzenie, że pycha ludzi, stojących przy władzy, lub pnących się do niej, spowodziła klęski, a wreszcie upadek kraju. Zborowscy, Glińscy, Radziejowscy, Kaniowscy, Młodziejowscy i wielu, bardzo wielu innych, zawsze będą przedmiotem narodowej pogardy i przekleństw.

Pyszałek nie przemówi, nie napisze nic po prostu, lecz wzniosłe zawsze i zawsze jego »ja« przebijać się musi. Jeżeli pochodzi ze starożytniej rodziny, przy lada sposobności wymieniać będzie cały szereg pradziadów, dziadów, ojców, stryjów, prababek, babek i t. d. Przypuszczony do władzy, rozpościéra ją na swój absolutnej woli i uprawia despotyzm, rozszéraszając go na wszystkie strony. Ta forma rządu jest dlań najdogodniejsza, ale i w téj jeszcze nikogo nie może znieść nad sobą i nikogo nie uznaje być sobie równym. Co piękne i szlachetne nie robi na nim żadnego wrażenia, bo dusza jego nic nie uwielbia i nie unosi się nad niczém. W życiu domowém, pyszałek żyje sam w sobie: żonę uważa nie za towarzyszkę moralnego, ale koniecznego związku; ztąd też synów wyżej ceni, niż córki, bo widzi w nich rozszérlenie się siebie samego i, jak dla siebie, tak i dla nich myśli o tytułach, majątku i władzy.

Ale nie tylko wśród bogaczy, lub wysoko urodzonych, napotykamy pychę; pojawia się także między biednymi i między nieukami—i nie wiem, czy ci nie są niezniośniejsi od tamtych. Zazdrość pożera ich; chcą żyć bez pracy, bo ta ubliża ich pysze; wolą zebrać, byleby nie pracować; zebrzą z dumą w sercu, a z przekleństwem na ustach. Oni także wynoszą się nad drugich, a raz jeden popchnięci do zbrodni, dostępują godności naczelných bandytów i przez całe życie są krwiożercami.

Między narodami, Anglija i Turcyja wyróżniają się szczególniejszą dumą i pychą zarazem. U Turków pycha jest nieodłączną od godności i stopnia władzy; u Anglików дума i pycha zaraziły cały naród; mają one swój zaród w specyjalności, którą Anglija celuje nad wszystkie narody. Zbiorowy ich rozum w parlamentach, mityngach, jest bez zaprzeczenia wielki; lecz pojedynczo każdy Anglik jest niezniośny, o tém tylko chce mówić, co sam zna dobrze, a nie zna, jak tylko jeden szczegół i dla tego jest dumnym i pysznym zarazem. U Turków pycha zastępuje rozum, naukę i wszystkie cnoty. Padyszach jest bogiem na ziemi, a pieniądze i ranga są wrotami, któremi oni mają się wcisnąć do szczęśliwej wieczności. Dla tego to, im kto wyżej z nich stoi i im jest bogatszy, tym jest pysniejszy.

Pycha wyradza się często w pewnych stowarzyszeniach; takimi były: zgromadzenie jezuitów i Zakon Krzyżowy. Nauka wzniosła ich, a pycha obaliła.

Dla zapobieżenia rozwinięciu się pychy w człowieku, należy od dziecka wpajać w niego miłość bliźniego, pięknymi przykładami z dziejów rozbudzać w nim zamiłowanie do cnót wielkich i do ciągłego doskonalenia się przez całe życie—i zachęcać go do pracy, która sama tylko uczynia i uszlachetnia człowieka.

6. Dorobkowicz.

Pan Michał Perzyna był synem ubogiego szlachcica, który, mimo wielkiego ducha porządku, oszczędności i pracy, nie potrafił zebrać wiele, bo miał liczną familiję i zbierał po dawnemu, dusząc grosze wzięte za żyto i gorzałkę, ale nie wdając się w żadną spekulacyją, którejby też prowadzić nie umiał. W domu ojcowskim napatrzył się Michał, jakto trudno przychodzą pieniądze; nasłuchiwał się, jak one potrzebne są człowiekowi; nabrał smaku do nich, może dlatego, że, w ciągu lat dziecinnych i większej części młodości, ojciec nie dał mu nigdy więcej nad złotówkę, a i z téj trzeba było staremu zdać rozumowany rachunek. Będąc jeszcze małym chłopcem, potem wyrostkiem, ile razy ze szkół powracał do domu, ile razy godzinę razem był z ojcem, nigdy od niego o czém inném nie słyszał, tylko o pieniądzach, bogactwie, o głupstwie tych, którzy fortunki nie szanują i którzy jęj zbierać nie umieją i t. p. Jak katechizmu i wprzód podobno, niż katechizmu, wyuczył go ojciec przysłowia: »kto grosza nie szanuje, ten szeląga nie wart.« O poczciwości rzadko kiedy była mowa i to na głucho, ogólnie; częściej stary ganił uczciwych golców, niż niegodziwemi sposoby zbogaconych. A koniec końcem zawsze synowi powtarzał: »Panie Michale, ten kiep, kto mając sto złotych i młodość, nie będzie na starość bogatym.«

Maksymy ojcowskie przedziwnie trafiły do synowskiego serca. Michaś jeszcze nie dorósł, a już zaczął zbierać grosze, myśleć o spekulacyjach. Kupował kozłeta, sprzedawał je kozami; zarabiał grosz na grosz i, nie wydając szeląga na owe drobne przyjemności dziecinne, dla których inni tak są słabi, złotówki ojcowskie pakował do woreczka zakłętego, z którego je chyba na handel pewny wyjmował.

Potrafił ojciec ocenić przymioty syna; to téż, ze wszystkiój licznój dziatwy, jego najlepiej ukochał, jako godnego po sobie następcę. »Michał«, mawiał, »zajdzie daleko, dorobi się fortuny i będzie panem«. I to mówiąc, całował go w czoło. A gdy Michał dla swoich kóz i ciał kradł od ojcowskich koni siano i owies, stary, dowiedziawszy się o tém, śmiał się do rozpuku i znów syna w czoło całował. Z szczególną troskliwością dopytywał się potem Michała o jego zyski i zdumiał się niespodziewanie, gdy kilkunastoletni dzieciak pokazał mu z tryjumfem już sześćset złotych, zrobionych z niczego. »Mosanie, a wiesz ty, to znaczna sumka! Patrzajcie! ten młokos dorobił się już sześciuset złotych! Z tego możesz już dalej tysiące robić. Ho! ho! patrzajcie-no! Michał ma już sześćset złotych! Dobrze, mosanie, będzie z ciebie człowiek. Dalipan, wielem się spodziewał, a jednak nie tyle. No! ruszajże dalej! Ja, mosanie, nie tak łatwo grosza dostałem. Służyłem długo za paręset złotych, a na starość ledwie mam niewielki kawał ziemi. Ty będziesz miał milijony«.

W tak słodkich marzeniach stary pan Perzyna umarł, a pan Michał, jako najstarszy, objął opiekę nad pozostałym rodzeństwem, które w miarę, jak dorastało, powoli spłacał z ojczystej grędy i został jedynym jęj dziedzicem i panem. Wprawdzie, mówiąc o tém, bracia jego i siostry płakali i narzekali na pana Michała; ludzie gadali, że oszukał rodzeństwo, ale on był rumiany, wesoły i nie widać było wcale, aby go gryzło sumienie. Wziąwszy się do rządu wioseczką, tak pracował młody dziedzic, iż wkrótce dokupił przyległą część od sąsiada, wpół gotówką płacąc w pół zastawiając na majątku. Jakoś właśnie w tym czasie kilka korzystnych dostaw, wziętych zręcznie zpod nosa tym, którzy ich już pewni byli, postawiły lepiej jeszcze pana Michała na nogach. Nabrawszy w téj próbie

odwagi, rzucił się na większe, wyszedł lepiej jeszcze i zaraz wziął w dzierżawę ogromny klucz przyległy, korzystając z położenia dziedzica, któremu płacąc za kilka lat z góry, odtargował bardzo znaczną sumę. Tu założył gorzelnię parową, postawił woły, zaprowadził owce, a w swą sąsiednią wioskę dziedziczną ogromną fabrykę sukna założył. Wszystko to nie przyszło bez łez ludzkich, bez narzekań, ale na nie był pan Michał, jak skała, jakby ich nie widział, jakby nie słyszał, jakby nie rozumiał. Brał dalej dostawy, rozszerzał posesyję, budował drugą fabrykę, kupował drugą wioskę i był wesoly, rumiany, szczęśliwy, jak aniołek.

Więc życie jego naówczas? Nie zmieniło się ono, chyba bardzo mało. Zawsze w szaraczkowym surducie, zawsze na prostym wózku, bez przyjaciół, znajomości, nie odwiedzając nikogo, nikogo nie przyjmując, nie tracąc na nic, żył skąpo, cicho, i gromadził grosze, kłaniając się nisko, pokornie; był przytém zręczny w interesach i twardy z ludźmi, którzy go potrzebowali, jak deska. Mając już kapitały, pożyczał je, ale na olbrzymie procenta, na zastawy, nie wahał się mieć do czynienia z żydami, bo wiedział, że oni go nie oszukają nigdy, on ich — zawsze.

Tak rosła fortuna pana Michała, który, mając lat dwadzieścia i kilka, przypadkiem się ożenił. Nie wiem, jak poznał on pannę Agatę, nie młodą już sierotę, pod opieką matki tylko zostającą, która słynęła więcej z procesu, jaki się o jej posag toczył, niż z wdzięków i przymiotów umysłu i serca. Rozpoznawszy stan interesów matki panny Agaty, gdy ta uciekła się do niego o pożyczanie pieniędzy na proces, i przewidując wygraną sprawy, oświadczył się, ożenił, wygrał proces, wziął wielki posag i włożył go zaraz w handel i spekulacje.

Codzień powiększał się majątek pana Michała Perzyna, który wziął w dzierżawę drugi i trzeci klucz, dokupił

drugą i trzecią wioskę, założył nową fabrykę i już był uważany za milionowego. Wiadomo było, że miał kapitały w banku, wielkie summy w obrocie, znaczne także w zakładach fabrycznych, a nie mało i w ziemi. Tak pan Michał doszedł lat trzydziestu kilku, zawsze szczęśliwy we wszystkiem, nie spotkawszy oporu, zawodu, wesół, zdrów, czynny. Ojcowskie słowa już się były sprawdziły zupełnie: zaczawszy od handlu kozłętami, skończył na obracaniu milionami. Imię jego, jako pierwszego w prowincyi spekulanta i kapitalisty, wielce szanowane od żydów, uwielbiane od drobnej szlachty, z której wyszedł, przeciśkało się już w sąsiednie części kraju. Gdzie tylko było jakie wielkie przedsiębiorstwo, na które się nikt targnąć nie śmiał, mówiono, że miał się go podjąć pan Michał Perzyna. W istocie posłańcy jego objeżdżali mające się wypuszczać klucze, mające się sprzedawać dobra; wszędzie ich było pełno. Ale gdy kto chciał traktować z panem Perzyną ostatecznie, niepospolite spotykał trudności. Speculant udawał obojętność, mówił, że wszystkie jego kapitały były w ruchu, sarkał na ciężkie warunki, podawał swoje zabójcze, a trafiwszy na zmuszonego okolicznościami, korzystał nielitościwie z jego położenia, obdzierał go z ostatków. To téż fortuna pana Michała wzrosła olbrzymio, a ludzie, lubiący zawsze trochę przesadzać, jeszcze go bogatszym ogłosili, niż był w istocie. Kredyt miał nieograniczony, brał pieniądze na małe procenta, a odpoczywał na wielkie i tak szedł dalej, a dalej, dotąd bez szwanku.

Już miał lat przeszło czterdzieści, gdy nagle zaszła w nim odmiana. Pan Perzyna naprzód wystawił potężny, bez architektury i smaku, dom murowany, w swoim głównym majątku, założył ogród angielski, sprowadził meble ze stolicy, kupił obrazy, konie i powozy na licytacyi. Nie myślcie jednak, żeby tego wszystkiego używał. Sam

z żoną i dziećmi, kontentując się małym w pałacu kąci-kiem, dusił grosze, jak dawniej, ale coś mu w głowie za-świtało, zażądał pokazywać się panem. Pojmujecie, że to nie tak łatwo, jak się zdaje, nawet przy pieniądzach, zwłaszcza temu, który strawił życie na żydowskich speku-lacjach i nie rozumie świata, tylko z najprozaicniejszej jego strony. Co też baków nastrzelał pan Michał, nie wyliczę; ile było niesprawiedliwych, śmiesznych pre-tensyj, ile dziwactw w urządzeniu domu, w wystawie jego i przepychu, opisać niepodobna. Jedno nie trzymało się drugiego, ale pan Perzyna rad był wszystkiemu, byle drogo zapłacił, bo nie pojmował, żeby na świecie mogło być istotnie to, co to nazywają smakiem.

Oboje z żoną doskonale ślepi, w zupełnej niezajo-mości świata, w który wejść życzyli sobie, czynili z siebie śmiech ludzom. Ludzie bywali u nich dla ciekawości, a potem pękali od śmiechu, wyjechawszy za wrota. Nad-to, od czasu, jak panu Perzynie zachciało się być jaśnie wielmożnym, ujrzał swoje interesa w nieładzie, przestał mieć dawne szczęście; i słusznie, bo duszą był już gdzie-indziej.

Odtąd życie pana Perzyny raczej męczarnią nazwać by można. Pnąc się do wyższych, niespokojny, gryziony wewnętrzną chęcią wyniesienia się, widział się wszędzie upokorzonym, odepchniętym, lub przyjmowanym tak wi-docznie dla interesu, iż on sam nawet postrzegać to mu-siał. Koszta wzniesienia pałacu, ozdoby jego, bale wspa-niałe, do niczego nie prowadziły, na nic mu się nie zdały. Śmiano się z niego, objadając go, opijając i pożyczając pieniędzy. Myślicie, iż kiedykolwiek poprawił się, opa-miętał. Nigdy. Do śmierci darł się na państwo; przyszło nawet do tego, że sobie antenatów pofabrykować kazał, zaparł się ojca i familii, jedną zgłoskę przemieniwszy w nazwisko. Ludzie, którzy pamiętali pana Michała, handlującego kozłętami, potężnie się śmieli z jego pychy.

Umarł pan Perzyna, zostawiając dzieciom wielki je-szcze majątek, dość zawikłane interesa i nie najlepszą po sobie pamięć.

Józef Ignacy Kraszewski. 1842.

B). POWIEŚCI I OBRAZKI.

1. List z Noskowa.

Nosków 1 Kwietnia 1837 roku

Kochany Władziu!

W ostatnim liście doniosłem ci, że J. W. prezesowa z Kozery, na imieninach u hrabiego w Dymnicach, publicz-ny z majorem Ostrołęskim uczyniła zakład, iż każdego człowieka, bez wyjątku, pozna z postaci i rysów twarzy, jakiego jest stanu, urodzenia i pochodzenia. Wielu z obec-nych i ja z niemi natychmiast winszowaliśmy wygranej majorowi, ale znaleźli się i stronnicy prezesowej. Ostat-nim przodkował filozof od ciemnej gwiazdy, sławny od-szczepieniec XIX stulecia, baron Barłoguski, ten sam, któ-ry pracuje nad dziełem: »O użyciu wywarów na karm' dla ludzi roboczych,« a nawet pan baron oświadczył, że do połowy zakładu należy. Po skończonej stypie, major i kil-ku młodzieży na noc do mnie pojechali. Długośmy radzili, kogoby obrać z plebejuszów, któryby, naszym przeciwni-kom nieznany, rolę patrycjusza trafnie odegrał,—aliści, szczęśliwie, przypomniał mi się niezaprzeczony plebejusz, niemniej przeto wytworny światowiec, Szczepan, syn trę-bacza od fary poznańskiej, a po kądzieli wnuk rybaka z Kruszwicy, Szczepanek, z którym do gimnazyjum i na uniwersytet chodziłem. Gdym go majorowi i szanownym sprzymierzonym wiernie opisał, wszyscy zgodzili się na to,

ażeby pana Szczepana cichaczem, jak najrychlej sprowadzić. Tęże samęj nocy odesłałem list na pocztę do Wielkopolski. Przrzekliśmy sobie milczenie i nazajutrz każdy do swojej wyruszył zagrody, zobowiązując się stanowczo, że na pierwsze wezwanie stawić się nie omieszką. Upłynęło dni 10; ani Szczepanka, ani odpowiedzi nie było. Już zacząłem wątpić o pomyślnym skutku méj prośby, gdy wieczorem zaturkotało na dziedzińcu i w tęże chwili wtoczył się do pokoju szopami okryty, zaśnieżony, atletycznej postawy, wąsaty i brodaty Szczepan, a za nim żydek z pocztowego miasteczka, z małym tłumoczkem. Uściśnienia szkolnych przyjaciół były szczere. W godzinę rozpisalem listy. Około południa sprzymierzeni przybyli. Nie czekając na obiad, rozpoczęliśmy posiedzenie. Szczepan przedewszystkiem oświadczył, że chętnie każdą odegra rolę, aby niecy przesąd upokorzyć. O szczegółach naszej wielkiej ostatecznej rady dowiesz się z czynów, które kręślę poniżej. Tutaj przytoczę część mojej dodatkowej z Szczepanem rozmowy, iżbyś się o jego zdolności nie obawiał.

— Pamiętaj tylko, Szczepanku, gdy przyjedziemy pomiędzy te wrony egipskie, że winienes, mówiąc po polsku, używać często składni francuzkiej i wyrazy polskie przepłatać, o ile można, cudzoziemskimi. Takie papuzie majaczenie różnemi językami za najwyborniejszą posłuży ci maskę; nie szczędź tą razą drogiej mowy naszej; kalęcz, morduj każdy okres, każde słowo, każde ust otwarcie.

— To się samo przez się rozumie. Czyli mnie masz za nowicyjusa w salonach?

— Nie, nie, ale widzisz, ja wiem, o ile ty lubisz moję rodzinną, o ile nią czarująco władasz.

— Jako syn ludu, zaprawdę nie wmięszam obcego do polskiej mowy wyrazu, ale gdy będę hrabią Ademarem, *oh! oh! je vous assure, que je ne saurai exprimer* moich

uczuc inaczej, jak po salonowemu. Alboż ty myślisz, że i u nas w Wielkopolsce tego rodzaju paplotanie, do dziś dnia, w tak nazwanej wyższej koteryi, najmodniejszym być przestało? Niestety! francuzczyzna, jak dawniej, tak i obecnie, jest u nich jedyną świątynią umysłowości, a dzieła i pisma czasowe w języku polskim, dla średniejszej szlachty, dla mieszczan, ale nie dla nich, drukują.

Z tych kilku ustępów przekonałeś się zapewne, że szczęśliwie wybrał Szczepanka, i istotnie serce jego dobrze uczuło i pojęło, o co nam idzie.

W kilka dni potém, chyża wieść, z wioski do wioski, z dworu do dworu, zasiajanym telegrafem biegła, że do mnie, wprost z Madrytu, przyjechał Ademar hrabia Firlej; że ojciec Ademara przed 20 laty zginął pod puginałami włoskich bandytów; że matka Ademara jest księżniczką hiszpańską de los Manos Espinada; że Ademar dlatego Madryt opuścił, ponieważ na związek jego z królową koretezy na teraz zezwolić nie chcieli i t. d.

Pani Paplecka, mając sobie przez Stasia te wszystkie szczegóły w wielkim sekrecie powierzone, lękając się, aby ktokolwiek z ust innych o tém się nie dowiedział, na objazd powiatowy wyjechała i podobno że najlepszą ochwaciła fornalkę, ale też za to przed ostatnim Wtorkiem stanęła u prezesowej, do której na wielki bal całe sąsiedztwo i ja z mym gościem, przez siostrzeńca pani prezesowej, zaproszony byłem.

O godzinie 4 z południa, w największej paradzie, zajęchaliśmy przed pałac w Kozarach. Wszystkie dolne szyby, a nawet niektóre z górnych, mozaikowane były różnorodnemi twarzyczkami damskimi, wpośród których tu i owdzie najeżone mężczyzn wąsy komiczną stanowiły sprzeczność. Pod kolumnadą przyjął nas rodzony brat prezesowej, brabia Szumiłło, niegdyś szambelan Stanisława Augusta, dzisiaj rezydent w Kozarach i niezmordowany

angielskiej gitary zwolennik, a francuzkich aryjetek zapalony miłośnik.

— Grzeczność łaskawego sąsiada miłą zawsze dla nas będzie powinnością, — wyrzekł do mnie szambelan, a memu towarzyszowi, mniemanemu Firlejowi, tak się bardzo nisko uklonił, że o mało równowagi niestracił.

Prezesowa, spostrzegając nas wchodzących, jak z procy wyleciała z fotelu i przyspieszonym kołysaniem starała się, piérwój od nas, do środka salonu dobieżec. Jakoż w samym środku miałem zaszczyt wygłosić:

— *Madame! j'ai l'honneur de vous présenter M. le comte Firlej.*

Wyrazy *le comte Firlej* wymówiłem tak dobitnie, że całe towarzystwo, nie wyjmując, o! zgrozo! i dam, hurmem powstało. Pani prezesowa, usunawszy się pół kroczka wstecz, zrobiła wielce wspaniały dyg; towarzyszył mu uśmiech szczęścia. Pan hrabia Firlej, nie ruszając się z miejsca, pchnął swoją postać naprzód, przybrał wyraz twarzy nader poważny, uprzejmém uszanowaniem okolił usta i piękném narzeczem salonów paryzkich, wyrzekł w języku francuzkim, głosem umiarkowanym i słodkim:

— Pani! zaszczyt być przedstawioném pani prezesowej zwiększa się dla mnie familijném uczuciem, albowiem nazwisko rodziców pani ozdabia genealogiczne drzewo przodków moich.

Prezesowa, słysząc te wyrazy wymówione w obec całego sąsiedztwa, ogłaszające, że z Firlejem jest spokrewniona, łzami radości maleńkie zwilżyła oczy, a przymrużając je rozkosznie, drżące zaimprovizowała westchnienie.

— Ach! ileż to razy moi rodzice wspominali.... Co do mnie, ubogą jestem w wyrazy, aby swoją radość wysłować, że tak godnego mam kuzynka.

— Pani! zaprawdę, ten dzień szczęścia mojego do najtkliwszych pamiątek policzę.

— Jak się miéwa mama hrabiego, o której wysokich przymiotach tak wiele słyszałam, którą mieć szczęście poznania dawno jest mojem najgorętszém życzeniem.

— *Merci, mon maman* jest zdrową; zostawiłem ją w *Madrid*.

Odtąd Ademar mówił językiem plecionym, do którego czasem i włoskie i angielskie mieszał wyrazy.

— Pan hrabia dawno wyjechał z Madrytu?

— *Quelques jours après* rok nowy.

Całém towarzystwem otoczeni, w maleńkiej procesyi, zbliżyliśmy się do kanapy. Ademara usadzono na wielkim fotelu; panie cisnęły się o zajęcie najbliższego miejsca przy panu hrabi Firleju. Niewdzięczna prezesowa zapomniała do mnie wyrzec i słowa! natomiast Paplecka, z Milczaczej-Wólki, chwytając mię grzecznie za rękę, odwiodła na stronę i spytała skwapliwie:

— Jak długo hrabia w Polsce zabawi?

— Zależec to będzie od listów z Madrytu.

— Czy matka hrabiego istotnie księżniczka?

— Związkami pokrewieństwa z Burbonami złączona.

— I pan znasz hrabiego?

— Od lat 26, maleńkiém jeszcze dzieckiem.

— I pan hrabia znajomi się z panem?

— Zaszczycą mię swoją przyjaźnią; podróżowałem z nim przez lat kilkanaście.

— W których krajach?

— We wszystkich częściach świata, od Chin do Lizbony, zwiędzaliśmy wszystkie miasta i miasteczka, niemal każdy zakątek, na którym historyja świata swą czarującą położyła pieczęć.

— Ja nie wiedziałam, że pan tyle podróżowałeś; bardzo przepraszam.

— Zawsze panią uwielbiam.

Gdym się do Ademara obrócił, spostrzegłem, że wszyscy, jak w cudowną tęczę, weń oczy wlepione mieli. Nawiasowo, a najgrzeczniej, właśnie go egzaminowała prezesowa co do jego stosunków majątkowych. Hrabia odpowiedział, że podróż do Polski ten tylko ma cel, aby rozpocząć proces o spadek ojczysty; co zaś do macierzystego majątku, dodał niedbale, że należy do *les plus brillantes en Espagne*.

Półgłos 1-szy. *Il est* czarujący! 2-gi. Jakie ułożenie! 3-ci. Co za edukacja! 4-ty. Żałuję, że nie przyjechał Ostrołęski; przekonalibyśmy go, jak wyraźnie piętnuje się wysokie urodzenie. 5-ty. *Vous avez raison, ma petite*. Nieco głośniej dodała prezesowa: Mój ojciec jest bardzo blisko spokrewniony z Firlejami. 6-ty. Ale on przez matkę daleko wyżej stanął. 7-my. Papplecka. Tak, krew Burbonów w nim płynie: czy on się też ożeni?.... 8-my. O! z pewnością! ale z kim? 2-gi. Rozumiem, że nie w Polsce. *Naturellement! si riche!* może sobie i za granicą poszukać księżniczki. 5-ty. Kto wie? może jego matka nie bez przyczyny bawi w Madrycie. 6-ty. O! jakby to było chlubnie dla naszego narodu, gdyby Firlej zasiadł na tronie Hiszpanii! 7-my. Papplecka. Żeby mu to napomknąć, co też on na to powie?.... Półgłos 1-szy. *Mon ange!* nie wypada; należy szanować tajemnice polityczne.

Nie będę cię nudził opisywaniem całego mnóstwa szczegółów, tych wszystkich hołdów, jakiemi, z ubliżeniem własnej godności, wszyscy obsypywali mniemanego Firleja. Barłoguski odzywał się do naszego Szczepana z taką uniozonością, że zdawało się, jak gdyby pan baron u hrabiego o posadę podleśnego się starał. Prezesowa o mało że całego słownika dla wyrazów *»mon cher kuzynku«* nie zapomniała, a syn trębacza, widząc, ile ją swém kuzynostwem uszczęśliwia, co chwila także *»ma respectable cousine!«*

głośno powtarzał. Wystaw sobie, do jakiego stopnia pomieszało się w głowie Barłoguskiemu, że, ile razy Firlej do niego przemówił, on zawsze z krzesła się zrywał, i mimo grzecznych prośb siedzącego, dopóty usiąść nie chciał, dopóki Firlej wszczętęj z nim rozmowy nie ukończył. Podczas wieczery przyjechał Ostrołęski. Prezesowa, przy przyjęciu pocałowania swęj rączki, szepnęła mu zcicha: *»Majorze, connaissez vous le comte Firlej? Otóżto z pierwszego wejrzenia poznasz wysokie urodzenie. Savez vous, on jest moim kuzynem; matką jego jest hiszpańska księżniczka de Los Manos Espinada.«* Major odpowiedział głośno: *»Pomówimy o tém potém.«* Prezesowa się zmieszała i, ze zwykłą kobiecie przenikliwością, z tych kilku wyrazów majora domyślając się reszty, pełnym rozpaczyny wzrokiem na mnie rzuciła. Mimo wszelkiej usilności, śmiechu wstrzymać nie mogłem. Prezesowa zbladła, zsiniała i nagle, z zadziwieniem całego towarzystwa, udając wielką słabość, do przyległego oddaliła się pokoju. Roznoszono pasztet z dzikich gołębi z truflami, gdy się ten drugi akt rozpoczął. Papplecka, bezzwłocznie wracając od prezesowej, prosiła mię, abym za nią pośpieszył. Wyznaję ci, mój Władziu, że mię trochę zimno przeszło; wypilem więc dla lepszej odwagi szklanekę czerwonego wina, obtarłem serwetą usta i udałem się do prezesowej. Prezesowa, siedząc na kozetce, mając przed sobą trzy wielkie flakony z trzeźwiącemi kordyjałami, głosem drżącym i słabym prosiła, abym się do niej przybliżył, i pocichu na ucho spytała: *»Panie Auguste, powiedz mi, pod słowem honoru, co to jest za Firlej? czyli mię tylko za bardzo nie skompromitowałeś?«* *»To jest,«* również cicho do ucha odpowiedziałem, *»Szczepan, syn trębacza od fary poznańskiej.«* Prezesowa wrzasła i na doprawdy zemdlała. Ile tylko było białogłów, wszystkie wbiegły na krzyk Pappleckiej; mężczyźni powstali od obiadu; zrobiło się wielkie zamieszanie.

Korzystając ze szczęśliwej chwili, już się z Firlejem na dziedziniec wymykam, aliści mnie w sieni Paplecka za poły schwyciła, prosząc błagalnie: »Panie Auguście! przez litość, powiedz mi, co ty szepnął prezesowój?«

— Zmiłuj się pani, puszczaj mnie; nie mogę, zdradziłbym tajemnicę stanu.

Ciekawość Papleckiej nie znała granic. Klęka i woła: W imię Boga wyjaw mi ten sekret, bo w twoich rękach zemdleję!«

Lękając się nowego wypadku, nachyliłam się do ucha Papleckiej: »Pani możesz mnie zgubić! Gdyby moja matka z grobu powstała, słowa nikomu nie powiem. Mnie-many Firlej, którego pani poznałaś, jest Lucyjan Bonaparte.« Paplecka skamieniała; ja z Firlejem skoczyliśmy do pojazdu.

Wczoraj słyszałem, że Barłoguski i szambelan, za mniemaną obrazę prezesowój, pojedyńkiem się odgrają. Co się dalej stanie, doniosę; obecnie pisanie moje kończę, bo wyjeżdżamy na proszony kawalerski obiadek do majora, od którego bliższych szczegółów o zakończeniu drugiego aktu dokładnie się dowiemy. Całunki i bratnie uściski; szczerze cię kochający.

August Wilkoński.

2. Dziecięce lata Mikołaja Doświadczyńskiego.

Urodziłem się w domu uczciwym, szlacheckim; którego roku, nie wyrażam, bo to się na nic nikomu nie zda; do mojej historyi chronologija mniej potrzebna, a mnie też nie bardzo miło przypominać sobie, że stary. Gdybym się chciał zasadzać na świadectwach konkluzyj i panegiryków, przypisanych przodkom moim, które, zbutwiały, dotąd u mnie w kaplicy wiszą, znalazłbym się może w pokrewieństwie ze wszystkimi familijami w Europie,

ale ja od téj próżności daleki. Niesiecki nas w swoim herbarzu, na złość Paprockiemu i Okolskiemu, pomieścił, i mnie samemu dostało się czytać w jednym starym manuskrypcie, iż, podczas owego sławnego Gliniańskiego rokoszu, Doświadczyński niósł buńczuk przed Rafałem Granowskim, marszałkiem naówczas i hetmanem Wielkim Koronnym.

Nim zacznę mówić o mojem wychowaniu, nie od rzeczy, zda mi się, nadmienić cokolwiek o tych, od których życie wziąłem, to jest, poprostu, o moim ojcu i o mojej matce. Ojciec mój, po stopniach, skarbnik, wojski, miecznik, łowczy, cześnik, podstoli, sześćdziesięcioletniemi ziemi swojej i województwu usługi, a ustawiczne na sejmiki elekcyjne i gospodarskie peregrynacje, przy kresie życia szczęśliwie nagrodzonymi i ukoronowanymi zobaczył: został stolnikiem. Do tego nawet stopnia konsyderacyi już był przyszedł, że go podano ostatnim kandydatem do podsędkostwa, ale przeciwna cnocie fortuna nie pozwoliła dojść tego stopnia; prędko się jednak uspokoił zwyczajną nieszczęśliwym refleksyją nad marnościami świata tego. Dopomogła do takowej rezolucyi nader szczęśliwa natura, był albowiem z tego rodzaju ludzi, którychto pospolicie nazywają: »Dobra dusza«! Nic on o tém nie wiedział, co robili Grecy i Rzymianie, i jeżeli co zasłyszał o Czechu i Lechu, to chyba w parafii na kazaniu. Co mu powiedział niegdyś jego ojciec, a jak starzy twierdzili, jeszcze lepsza dusza, niż on, to toż samo on nam ustawicznie powiadał, tak dalece, iż u nas nie tylko wieś, ale i sposoby mówienia i myślenia były dziedziczne. Wreszcie był to człowiek rzetelny, szczéry, przyjacielski, i choć nie umiał cnót definiować, umiał je pełnić. Z téj jednak nieumiejętności definiowania pochodziło, iż się był względem ludzkości nieco pomylił, rozumiał albowiem, iż dobrze w dom gościa przyjąć jest toż samo, co się z nim upić.

Ztąd poszło, że się i inwentarz zmniejszył, i zdrowie nadwreżyło; znosił jednak podagrę sercem heroiczném, i kiedy mu czasem pofolgowała, często natenczas powtarzał, iż miło cierpieć dla kochanej ojczyzny.

Matka moja, z dzieciństwa wychowana na wsi, dla odpustu chyba nawiedzała poblizsze miasta; ztąd każdy łatwo wniesć sobie może, że jęj na wielu talentach terazniejszych brakło.

Pierwsze lata niemowlęstwa mojego przepędzone były w orszaku niewiast; nie dobrze jeszcze artykułowane słowa tłumaczyły piastunki i niańki za dziwnie roztropne odpowiedzi; te, z niesłychaną skwapliwością, zaraz opowiadano matce mojęj, która zwyczajnie od tego punktu zaczynała dyskursa w każdym posiedzeniu; potakiwali, ziewając, sąsiedzi, a nie jeden byłby może nakoniec i zasnął, gdyby ich był ojciec nie budził częstemi kielichy. Orzeźwieni naówczas, wynurzali kolejją obfite życzenia i prorocstwa, a mój ojciec płakał.

W dalszym czasów przeciagu, nieraz mi na myśl przychodziły zdroczności pierwiastkowej edukacyi i zastanawiałem się nad tém, jak jest rzecz zła i szkodliwa, w niemowlęcym nawet wieku poruczać dzieci osobom, nie mającym żadnego oświecenia. Tkwią mi do tego czasu w głowie bajki i straszne powieści, którychem się aż nadto nasłuchał, i częstokroć, mimo rozumną konwikcyją, muszę się z sobą pasować, żebym gusłom i zabobonom nie wierzył, lub wykorzenił bojaźń jakowąś i wstręt, gdy zostaje bez światła, albo na osobności.

Nadto wkrađał się nieznacznie gust obmowy; słysząc albowiem, jak każdego z dworskich obyczaje niewiasty krytykowały, te zaś powieści mile przyjmowane przed starszemi bywały, wziąłem to sobie za punkt pozyskania łaski matki, lub ochmistrzyni, cokolwiek téż przed niemi na drugich mówić, a gdy brakło okazji, udawać się mu-

siałem do kłamstwa. Uważałem i to, że jak wieczorne rozmowy były zwyczajnie o upiorach, czarownicach i strachach, tak ranne—o snach; jedna drugięj z kobięt opowiadała, co się jęj śniło, a z ich tłumaczeń i wrózek nauczyłem się, iż gdy się komu ogień marzy, gościa się w domu spodziéwać trzeba, a gdy zęb wypadnie, zapewne natenczas ktoś z krewnych umrze.

Gdy tak do lat siedmiu przebyłem w domu, trafiło się, iż przyjechał do nas brat matki mojęj, człowiek, urzędem, nauką i wiadomością świata, znamienity. Przypatrywałem się pilnie wujowi memu, tym bardzięj, iż widziałem, że go rodzice moi bardzo szanowali; dziwowałem się, iż dwa dni u nas siedząc, jeszcze się był nie upił; księdu lektorowi, mówiącemu o upiorach, wierzyć nie chciał. To mi wstręt do niego zaczęło czynić, iż się ze mną nie tak, jak drudzy, bawił, a co gorsza, zapędzoną w pochwały moję matkę nie pomału, mnie zaś niezmiernie zmieszał, gdy się zapytał, czy ja umiem czytać, pisać i inne wiekowi przyzwoite mam wiadomości. Pierwszy raz obily się o moje uszy natenczas takowe słowa. Matka z początku chciała o czém inszém dyskurs zacząć, ale, gdy coraz bardzięj nalegał, rzekła natenczas, i ledwo nie słowo w słowo jęj dyskurs pamiętam: »Podobno się źdzwisz, braciszku, gdy ci powiem szczerze, że nasz Mikołajek dotąd ani pisać, ani czytać nie umie, ale nie będziesz nas z mężem moim winował, gdy ci opowiem przyczyny, dla których nie chcieliśmy się śpieszyć z jego nauką. Naprzód dziecię jest delikatne, słabe; mogłaby mu szkodzić zbytnia sedentaryja, którą i nad elementarzem mieć trzeba. Potém, jak sam WMPan widzisz, niezmiernie jest bojaźliwe; gdybyśmy mu dyrektora dali, straciłoby fantazyją, ta zaś, raz stracona, powetować się nie może. Trudno téż znaleźć doskonałego takiego człowieka, jakiegobyśmy chcieli mieć do jego edukacyi, a nakoniec jużto ostatnia rzecz, jak mówią, młode źrębię łamać«.

»Dobrze mówisz, moja panno«, odezwał się jegomość; »świętej pamięci nieboszczyk mój ojciec (Panie, świeć nad duszą jego), toż samo o mnie mówił; ale jednak, kiedy jegomość tak mówi, podobno lepiej dać Mikołajka do szkół. Upatrzy z łaski swojej miejsce i człowieka, a tymczasem wypijmy za zdrowie jegomości, mego miłościwego pana i kochanego mego dobrodzieja«.

Z jaką radością moją, a może i matki, odjechał na-
zajutrz ten spólny nasz nieprzyjaciel, wyrazić trudno, jednak jego dyskurs zostawił w umyśle ojcowskim fatalną impresyją. Coraz mowę zaczynał o szkołach; nawet kupiono elementarz i tablicę do pisania. Bolało to niezmiernie matkę, jednak, jako była bogobojna, gdy ję w tém uczyniono skrupuł, że mię na zgubę moję pieści, uczyniła zapewne najheroicniejszą w życiu swoim ofiarę, gdy zezwoliła na to, abym był wysłany do szkół publicznych; ojciec albowiem upornie i z wielką natarczywością ganił domową edukację, dla téj przyczyny, że tego przedtém w Polsce nie bywało. Co na to odpowiadała matka, nie pamiętam; to wiem i dobrze pamiętać będę, że po długich utarczkach, troskach, pożegnaniach, błogosławieństwach, nakoniec w rzewliwym płaczu do szkół wyprawiony zostałem.

Ignacy Krasiński.

3. Sejmik w Proszowicach.

Dzwony wszystkich kościołów ogłosiły nakoniec godzinę sejmiku. Każdy z partyją swoją dążył do kościoła; Imię ksiądz infułat Kobylański intonował wotywę *de spiritu Sancto* i wraz po skończonem nabożeństwie wyniósł *Sanctissimum* do zakrystyi¹⁾. Postawiono stół, suknem

¹⁾ Tak sejmy, jak i sejmiki, odbywały się zwykle w kościołach, po wyniesieniu Najświętszego Sakramentu.

zieloném okryty, z krzesłami wokoło dla senatorów i urzędników. Wszedł poseł od króla, przeczytał uniwersał¹⁾, propozycyje od tronu, i wszystkich zachęcał do zgody. Gdy skończył, powstał szmer w natłoczoném mnóstwie. Był to ocean głów, podług gwałtowności poruszeń, mniej, lub więcej burzliwie chwiejący się w rozmaite strony; na jednych, wygolonych, lśniły się szumne seledzce²⁾; drugie były zapuszczone, niektóre utrefione z flamandzka. Podobnaż i w ubiorze różnica: niektórzy — w czamarach; inni na żupanach mieli drugą szatę, z uciętemi po łokieć rękawami; przedniejsi — w ferezjach, spiętych na lewém ramieniu na mniej, lub więcej kosztowne klamry; u wszystkich — kordy, lub karabele u boku, w ręku czekany. Twarze, ozdobione pokrętnym wąsem, tchnęły wyrazami powagi i męstwa.

Podano ze strony królewskiej pana Pelkę na marszałka sejmiku. »Nie pozwalamy!« odezwali się przyjaciele Tęczyńskiego; »pan Niemira będzie marszałkiem«. »Ten tylko będzie«, przerwał młody Jan Zamojski, »kogo większość obierze; pójdźmy na kréski«. »Na co tu kréski«, zawołał pan Dębiński; »dosyć spojrzeć, by widzieć, gdzie większość; czapkami was wszystkich zarzucim«. »Nie byłby to«, rzekł Zamojski, »sposób obradowania, godny wolnych ludzi«. »Prosimy«, odezwało się kilka głosów, »z większém uszanowaniem mówić o nas; nie ludzie, ale szlachta jesteśmy; niech nam tu bakalarze z Padwy³⁾ nie przepisują praw«. »Ani téż«, przerwano ze strony królewskiej, »te dony hiszpańskie i portugalskie⁴⁾, co się nad sam majestat wynoszą«. »Nikt się tu nie wynosi nad równość, nad udzielone każdemu prawo,«

¹⁾ List przedsejmowy od króla do senatorów i szlachty. ²⁾ Kosy na głowie, zaplecione w warkocz. ³⁾ Jan Zamojski pobiierał nauki w Padwie.

⁴⁾ Stronnicy Tęczyńskiego, który podróżował po tych krajach.

rzekł młody Tęczyński; »mniejsza o marszałka, byleby posłowie byli tacy, którzyby, gardząc prywatą, dobru publicznemu zaradzić umieli!« »Tak jest, dobru publicznemu«, zawołał jeden ze strony Tęczyńskiego, »ale nie dobru królewskiemu!« Biada krajowi«, odezwał się młody Tęczyński, »gdzie się dobro króla od dobra kraju oddziela«. »Są przypadki«, rzekł Samuel Zebrzydowski, »gdzie te dobra sprzeczne są sobie. Król Jmć znajduje swe dobro w téj Litewce¹⁾, którą, bez względu na stan swój królewski, mniema, że pojął, a my nieprzyzwoitość w tém tylko widzimy; niech król Jmć pojmie godną majestatu polskiego małżonkę«.

Jeszcze nie skończył, a już tłum drobnój szlachty, ze skrzydeł kościoła, zpod chóru, do ogłuszenia wrzeszcząc zaczął: »Precz z tą Litwinką, odesłać ją do Litwy!« »Z większém uszanowaniem«, odezwał się z zapalem Jan Zamojski, »mówmy o małżonce królewskiej; gdyby nią nawet nie była, zacnego rodu jest kobietą; to dosyć; każdy mąż prawy krzywdzić jęj nie da«. Tu stary wojewoda Tęczyński zaczął się zżymać gniewem i niecierpliwością, co postrzegłszy przedniejsi rębacze jego, porwali się do szabel i już posuwali do Zamojskiego, gdy młody Tęczyński, dobywszy także oręża, zasłonił go piersiami swemi. Rębacze, nie chcąc obrazić syna pryncypała swego, w tył się cofnęli.

Na takich sporach i krzykach zeszło kilka godzin. Raz zapalczywość między stronami do tego posunęła się stopnia, że już przychodziło do krwi rozlania; już nawet ucho jedno było przecięte, gdy Stańczyk, śmieшек zeszłego króla, szlachcie i obywatel proszowicki, wskoczył na poboczny ołtarz. »*Quis furor, o! cives!*«²⁾, zawołał, »jakież was szal ogarnął! nie jak rozsądna szlachta, lecz jak

¹⁾ W Barbarze Radziwiłównie. ²⁾ Co za szal, obywatelu!

ślepe zwierzęta rzucacie się na siebie. Jeszcze się nie zaczęły obrady, jeszcze nie obrany marszałek, a wy już gryziecie się i zabijacie! i cóż to komu z was szkodzi, że król, podług upodobania swego, wziął sobie żonę? Nie widzieliście jęj zapewne; pewien jestem, że każdy, co ją ujrzy, powie sobie: »Ach! gdyby moja jęjmość była tak piękna!« Nie lepiejże mieć panią z własnego gniazda, przywykłą do nas, znającą nas i obyczaje nasze, która i ciebie zrozumie, i ty ją zrozumieć możesz; która zabranych w Polsce skarbów nie wywiezie za granicę, ale je rozda między zasłużonych i potrzebnych swych ziomków?« Tu, czyniąc alluzyją do królowej Bony i spoziérając na ks. Gamrata, »niech daruje Przewielebność wasza«, rzecze, »że tak się tłomaczę«.... Rozśmieli się wszyscy..... Stańczyk tak dalej mówił: Pomieszaliście porządek we wszystkiém; jeszcze nie obrany marszałek, nie obrani posłowie, a wy już o punkta instrukcyi spiéracie się; ładujecie wóz, a nie wiecie, kto go pociągnie. A potem, alboż to na owych tam ślubach królewskich spoczywa całe bezpieczeństwo i pomyślność rzeczypospolitéj? Czy król Polkę, czy Niemkę weźmie, jeśli wy nie złożycie poborów na wojsko; jeśli go nie wyślecie na Podole i Ukrainę: dziki Tatarzyn splondruje, spali domy wasze, będzie się żenił z żonami, z córkami waszemi; co mówię, będzie się żenił? zaprzeda je Turkom w brzydką niewolę. Tych to wy raczej unikajcie ślubów, zabezpieczcie granice państwa waszego, a nie traćcie czasu na karbowaniu się szablami i drażnieniu niepotrzebnie młodego pana. Gdyby on gwałcił wolności nasze, więził nas bez zezwolenia stanów, tłoczył nas podatkami, podniósłbym i ja głos mój przeciw niemu; gdy widzę, iż więcej jest w was swywoli, niż w królu nadużycia, władzę króla mego bronić będę.«

Tu hałas i krzyk niezmierny nie dozwolił Stańczykowi mówić dalej. »Niech nas tu trefnisie nie uczą rozumu«,

odezwało się kilku.... »Tym gorzej dla was«, odparł Stańczyk, »gdy go tak mało w głowach waszych, że go wam aż trefniś przypominać musi«. Ściągnijmy go z ołtarza«, wołali zewsząd; »roznieśmy go na szablach!«,.... »Szanujcie w nim głos szlachcica polskiego«, odezwali się drudzy, a gdy się tłum ów zrywał, młody Tęczyński, Zamojski i innych wielu obstało ołtarz i zasłonili Stańczyka. Nadaremnie Kmita, wojewoda krakowski, dzwonił i stukał, chcąc spokojność przywrócić; jak w czasie gwałtownego pożaru, lub w mieście, szturmem wziętym, przytłumione zapalczego gniewu głosy słyszeć się dawały. Trwał zgiełk ten jeszcze przez dwie godziny i więcej, gdy znów Stańczyk przeraźliwym głosem zawołał: »*Silentium!*«¹⁾ Czyli zmordowanie, czy ciekawość, co Stańczyk powie, sprawiły, że wszyscy umilkli. »*Mali ominis infaustaque hæc dies*²⁾, odezwał się śmieшек; »czy widzicie Jaśnie Wielmożni, Wielmożni, Senatorowie, Prałaci, Urzędnicy i wy zgłodniałe tłumy! siedem godzin mija, jak tu siedzicie i wrzeszczycie, jednak do niczego przyjść nie możecie; I cóż wam dalsze rokuje siedzenie?

I chyba zemdlenie!«

Czy widzicie, jak słońce, waszemi odurzone i zmordowane krzykami, już się do spoczynku zabiéra! I cóż się dzieje z wami samemi? Zziajani, zadyszani, głodni, poziławacie z czczości żołądków. Już dymy obracających się na roznach pieczeni zalatują was aż do téj świątyni; szum wrzących miodów, piwa i wina, przyjemnie się o uszy wasze obija. O! mili! o! najukochańsi bracia moi! gdy dzień dzisiejszy *infaustus est, cras dabit meliora Deus*³⁾; usłuchajcie rady mojej:

..... *nunc vino pellite curas,*

¹⁾ Milczenie. ²⁾ Złowróżbny i niepomyślny ten dzień. ³⁾ Niepomyślny jest, jutro da Bóg, będzie lepiej.

*Cras ingens iterabimus æquor*¹⁾.

»Idźcie więc jeść i pić, a ja solwuję sesyją²⁾ na jutro, na godzinę dziewiątą.«

Jak łatwo nieuważne mnóstwo z jednej zbyteczności przechodzi do drugiej! Też same tłumy, co przed chwilą, wrzące od gniewu, na szablach roznieść odgrzały się Stańczyka, rozweselone żartami jego, zanosić się od śmiechu zaczęły. Naprzód odezwały się głosy: »Nie źle radzi pan Stańczyk; już późno; lepiej sesyją odłożyć na jutro.« Po tych słowach, zrazu kilku, potem kilkunastu, nakoniec tłumami z kościoła wysypywać się zaczęli, tak dalece, iż gdy wojewodowie i pierwsze matadory obejrzel się wokoło, kościół już prawie próżny znaleźli; musieli więc i sami odejść prezydować na przyjemniejszych obradach, bo na sutych i wesołych bankietach.

Julijan Ursyn Niemcewicz. 1825.

4. Baltazar i Teofil Pęczakowscy³⁾.

I.

Pomiędzy paruset wioskami, składającymi niegdyś okrąg wolnego miasta Krakowa, leży jedna tuż przy granicy południowej królestwa.

II.

Na samym krańcu téj wsi wznosi się obszerne domostwo, należące do zamożnej niegdyś rodziny Pęczakowskich.

Radzibyśmy z duszy podać czytelnikom bliższą o nich wiadomość, lecz ani w trzech luminarzach naszej heraldyki,

¹⁾ Teraz winem odpędzicie troski, jutro znów wypłyniemy na ogromne morze. ²⁾ Rozwiązuję posiedzenie. ³⁾ Wyjątek z humoreski p. t. „Wyprawa po złote runo.“

ani nawet w Wielądku, Dyjamentowskim, Kuropatnickim, ani w Jabłonowskim, Małachowskim, Kossakowskim i jego komentatorze nie znaleźliśmy nic o tej rodzinie. Są tam Pękalscy, Pękoszewscy, Pękosławscy, ale o Pęczakowskich najmniejszej wzmianki. Znać musiała ta rodzina zawsze prowadzić ciche i nieambitne życie, a wielkich nie posiadała imion, bo inaczej Lipski, fabrykant Niesieckiego, byłby jej nie pominął milczeniem.

Pierwszy dopiero zabłysnął na obszerniejszej widowni świata Baltazar Pęczakowski, urodzony dnia 6 Stycznia, a ochrzczony 11 tegoż miesiąca 1773 roku.

Od urodzenia wrócono mu, że będzie sławnym, lecz te przepowiednie aż do dwudziestego drugiego roku życia w fakt się nie zamieniły. W tym dopiero roku ojciec Baltazara wysłał go z kilkunastoma korcami owsa do Zatora za Wisłę, gdzie podówczas konsystował szwadron dragonów Kolowrata. Tu przybywszy, owies dragonom drogo sprzedał, a przytem zapoznał się z bardzo rozumnym i nadzwyczajnie godnym kapralem austriackim, który go przy litkupie ¹⁾ tak hojnie uraczył, iż Baltazarek obudził się nazajutrz z ostrzyżoną głową, w przepyszny mundur dragoniński wystrojony.

Wszelkie wymówki i repliki na nic się nie przydały. Prawo werbunkowe stosowano wówczas i do cudzoziemców, a ponieważ Baltazar nie mógł dowieść, że nie przystał z własnej ochoty, więc go zamianowano szeregowcem.

Pomimo tego nieszczęścia, Baltazarek, przy wrodzonych zdolnościach, tak łatwo pojmował egzercyrkę t. j. musztrę, iż kij kaprałski, główny w owym czasie instruktor w regulaminie wojskowym, ani razu dzielnego *frajkura* ²⁾ nie dotknął, a godność szlachecka dopomogła mu wkrótce wynieść się na stopień *gifrajtera* ³⁾.

¹⁾ Litkup — zadatek na kupno. ²⁾ Wolnozacięznego. ³⁾ Giefrajter (z niem. Gefreiter) — żołnierz, zaprowadzający wartę.

Życie nowe niezmiernie przypadło mu do gustu. Ojciec często z domu wiktuały dowoził, a Baltazarek, oprócz musztry i kiedyniekiedy warty, znakomicie próżnował i to próżniactwo, przy obfitości *knedli* ¹⁾ i *komisbrotu* ²⁾, tak mu zbawiennie służyło, iż wkrótce oblicze jego nie miało przyczyny zazdrościć pulchniej twarzy pana feldwebela.

Lecz fortuna — to zacna, ale bardzo kapryśna pani; ze zwykłą więc niestałością wkrótce lubego porzuciła rycerza.

Daruj, przezacny czytelniku, że cię na chwilę porwę z okolic Zatora, a przeniosę w dziedzinę srogięj Bellony ³⁾.

Wiadomo, że w końcu zeszłego wieku Austryja prowadziła nieprzeblaganą wojnę z Francją. Owóz w wojnie tej, młody generał francuzki Bonaparte pobił naprzód pijemonckiego generała Kolli, potem Beaulieu'emu szkaradną zadał klęskę, a nareszcie śpieszącego z Tyrolu Wurmsa do Mantui zapędził. Najwyższa rada wojenna w Wiedniu położyła ostatnią nadzieję w dzielnym Alwincim, który powinien był ukarać wybryki Buonapartego.

Nowy wódz, ściągając rezerwy ze wszystkich stron kraju, i Kolowratowym dragonom nie przepuścił. Jechał więc z niemi i Baltazarek do Italii, ale wcale nie było mu wesoło. W braku mięsa i knedli, trzeba było gryźć twarde suchar i popijać wodę, a że *aqua et panis — vita canis* ⁴⁾, więc też i oblicze mu schudło i sił ubyło.

Najfatalniejsze skutki wynikły z owego marszu. Baltazar, zamiast samym widokiem swoim, jak Cyd Kampeador, przerazić nieprzyjaciela, w bitwie pod Arkole wcale nie miał udziału, a pod Rywoli, należąc do oddziału generała Luzynijana, zamiast, jak to nakazała nadworna

¹⁾ Knedle — gatunek klusków. ²⁾ Chleba razowego. ³⁾ Bogini wojny. ⁴⁾ Woda i chleb — psie pożywienie.

rada, wziąć do niewoli Buonapartego, sam z dywizją i generałem zabrany został.

Po powrocie z niewoli wziął udział w kampanii Ulmskiej, gdzie po raz drugi musiał się poddać. Nareszcie pod Wagram utracił dwa palce u lewej ręki, które mu jakiś niezgrabny Francuz ustrzelił. Okoliczność ta wyjednała mu *abszyt*, t. j. uwolnienie, i po 13-u latach wojaczki Baltazar Pęczakowski, zamianowany kapralem, wyszedł ze służby wojskowej.

III.

(Baltazar wraca do rodzinnej wsi, żeni się i ma syna, imieniem Teofila).

IV.

Teofilek rósł jak na drożdżach, a dary boże zmiatał tak chciwie, iż rodzicom aż serca rosły i wnioskowali ztąd, że z niego będzie znakomity gospodarz. Kiedy chwiejne nóżki zamieniły się w trwalsze podpory, Teofilek, sinemi guzami zdobiąc swą czaszkę, okazywał jawnie, że zczasem potrafi stawić czoło najtwardszym pociskom losu.

W dziesiątym roku życia ujarzmił wszystkich rówieśników w zaścianku i przywiódł ich do tego, że, zaprzysięgłszy mu wierność, szérzyli postrach pomiędzy chłopcami wsi sąsiednich.

Pani Baltazarowa z rozkoszą patrzyła na wzrastającą sławę syna, z rozrzewnieniem oglądała łupy, po odległych sadach zdobyte, a nie chcąc w samym zawiązku stłumić rozwijającego się genjuszu, przepuszczała bezkarnie wszystkie psoty syna. Ojciec inném na to spoglądał okiem: czuł on, że brak nauki stawiał jemu samemu wiele zawad w życiu, umyślił więc Teofilka inną poprowadzić drogą i oddać go do szkół w Krakowie, ażeby się na człowieka uczonego wykształcił.

Na początku więc Października 1823 roku, wsadziwszy chłopca na wóz, leguminami wyladowany, odwiózł go na Kleparz do szkoły św. Floryjana, zostającej wtedy pod rektorstwem uczonego Karpielewskiego. Dwa lata spędził tak Teofilek, a wyczerpawszy do dna cierpliwość nauczycieli, przy olbrzymiej pracy, nauczył się wybornie sylabizować i niegorzej pisać kréski.

Troskliwy o kształcenie syna ojciec, widząc, że ten u Karpielewskiego więcej nie skorzysta, umieścił go u Paciewicza, który znowu posiadał niezwykłą zdolność nauczania czterech działań arytmetycznych. Po upływie roku, gdy i tu niezbyt nagle posuwał się w naukach, Baltazar oddał go do szkółki parafijalnej, której przewodniczył pan Pobudkiewicz.

Ten dopiero nauczyciel potrafił właściwą sobie metodą rozbudzić drżące dotąd zdolności małego Pęczakowskiego. Metody téj nie znamy, lecz musiała być arcy-skuteczną, bo Teofilek, lubo często miał oczy zaczerwienione od płaczu, jednak tak wielkie uczynił postępy, iż na początku roku szkolnego 182⁸/₉ zdał egzamin do pierwszej klasy liceum św. Barbary.

I okazał się cud na chłopczynie, bo w dwóch latach, po sobie następujących, dwie klasy ukończył, a na początku trzeciego dostał się do trzeciej i byłby dziś może świetną gwiazdą w Apollinowym zodyjaku¹⁾, gdyby mu nienawistna Bellona dalszego nie przerwała pochodu.

Teofil, z urodzenia pochopny, a z młodości zaprawiony do walki, nie dał się długo koleżkom namawiać i, pomimo młodocianego wieku, ochoczo pochwycił za oręż. Lecz snadź zapisaném było w odwiecznych księgach przeznaczenia, że Pęczakowscy rodzą się na jeńców; w pierwszej bowiem wycieczce, kiedy go na zwiady w towarzystwie trzech

¹⁾ W rządzie autorów.

innych wysłano, został schwytanym przez lekką kawaleriją przeciwnych wojsk, która się z nim nienajgrzeczniej obeszła.

Po dwóch miesiącach niewoli, udało się młodzieńcowi ujść i powrócić do domu, ale, dostawszy się tam szczęśliwie, poprzysiągł nazawsze miecz na kolku zawiesić. Do szkoły nie było po co wracać, bo i cóżby w niej robił młodzieniec, wojennemi laurami okryty?

Położenie Teofilka było nadzwyczaj drażliwe. Za pługiem chodzić nie chciał, bo uczył się za wiele; urzędnikiem być nie mógł, bo uczył się za mało. Siedział więc przy rodzicu, jeździł w sąsiedztwo, polował i bawił się aż do chwili, kiedy ojciec, umierając, cały kłopot gospodarstwa na kark mu zwałił. Kilka lat gospodarki stanowi najprozaicniejszą epokę życia młodego Pęczakowskiego; pozwólcie więc, łaskawi czytelnicy, że je w wieczystej niepamięci pogrzebię.

Władysław Ludwik Anczyc. 1867.

5. Zdarzenie z pobytu we Florencyi.

Wyszedszy z klasztoru św. Marka, udaliśmy się do restauracyi na Borgo Ognì Santi ¹⁾. Klemrod domagał się, aby, nakarmiwszy ducha, i ciału dać należyty posiłek.

W restauracyi znajdował się za stołem jeden konsument. Był to mężczyzna lat średnich, twarzy nie pięknej, ale oczu pełnych żywości i ognia. Strój, ruchy, zdradzały cudzoziemca; jadł biędny i zięwał. Gdyśmy weszli, powiódł za nami oczyma ciekawie, a żeśmy w osobnej izdebce obrali sobie miejsce, przeszedł się parę razy pod jej drzwiami, jakby nas chciał śledzić. Klemrod, dość nieufny z natury, znalazł w tém coś podejrzanego i posta-

¹⁾ Przedmieście Wszystkich Świętych.

nowił mieć się na ostrożności. Nieufność jego jeszcze bardziej wzrosła, gdy, ze *Speranzą* ¹⁾ w rękę, nasz nieznajomy, za zupą, wszedł do naszego pokoju.

— Z języka wnoszę, — rzekł po francuzku, kłaniając się dość grzecznie, — że panowie, jak ja, jesteście cudzoziemcy i podróżni.

— Tak jest w istocie, — odpowiedziałem.

— To mię pociesza, — zawołał, siadając nieopodal; — przynajmniej nie ja jeden zrobiłem to głupstwo, zem przyjechał do Florencyi, zwabiony jęj sławą i to jeszcze w miesiącu Czerwcu, pod kanikulę....

— Gorąco bardzo — odezwał się Julmo.

— To jeszcze nic, — rzekł nieznajomy, w którym mogliśmy poznać Francuza, — ale nudno.

— Sztuka i arcydzieła.... — rzekłem powoli.

— A! ja nie lubię sztuki.... — odparł Francuz; — wszystko to głupstwo, nie bawi mię. Chciałem gdzieś wygodnie i cicho spędzić jakiś czas; zamarzyły mi się Włochy, ale.... reputacyja ich jest wielce przesadzona. Życ tu nie można.

Zamilkliśmy. Cudzoziemiec mówił dalej.

— W ambasadzie śmieją się filuci. Dénoix powiada, że się przyzwyczaję; pan de Virieux zakochany jest w swęj Florencyi. Każą mi żyć Michałem Aniołem i Brunelleschi'm. Sapristi! Ale to są dodatki, a pierwsze warunki życia — niezdnośne, niemożliwe.

— Przyznam się panu, — odpowiedziałem, — że co do nas, byliśmy i jesteśmy tak zajęci sztuką i arcydziełami jęj, że na resztę nie zwróciliśmy uwagi.

— Ale to miejsce, w którém chyba starają się o to, aby cudzoziemców nie było, — dodał Francuz. — Wystawcie sobie, przybywam do Liworno statkiem parowym;

¹⁾ Tytuł gazety; znaczy: *Nadzieja*.

nudzą nas pod pozorem jakichś chorób, które z nami przybyć mogły, potem z paszportami; dwie godziny nie wypuszczają na ląd. Paszport mój nie był wizowany przez konsula tokańskiego; za pozwolenie wysiadzenia żądają ode mnie 8 pawłów! I jeszcze muszę, wysiadłszy, iść po wizę, dla podróży do Florencyi, na Piazza San Rocco¹⁾. Zdawało mi się, że już przecie jestem bezpieczny. Przybywam, stoję w hotelu *royal* nad Arno; dają mi pokój, w którym by można upiec wołu, ale zarazem oznajmują, że, jeśli chcę jakiś czas pozostać, muszę się starać o kartę pobytu, kosztującą 12 pawłów i służącą tylko na dwa miesiące. Ponieważ mam z sobą służącego, na nie-szczęście, osobno za niego każą mi zapłacić 5 pawłów. Z tą kartą mam prawo, jak mówią, podróżować po całej Toskanii, ale, jeśli bym gdzie choć zachorował i zabawił dłużej nad dni dziesięć, dopłacam za wizę 8 pawłów. Obrachowaliśmy z p. Dénoix, że familija, chcąc bawić we Florencyi, a mająca tylko parę sług obcych, musi za same paszporta i wizy zapłacić 10 franczeskonów rocznie.

— A macie już, panowie, — przerwał, — wyobrażenie ich monet? Wiście, co jest lira? sold? denar, quat-trino²⁾, crazia³⁾ i paweł? co zecchino⁴⁾, ruspone, francescone⁵⁾, scudo⁶⁾, fiorino i zwanzig⁷⁾? Niech ich lichopowie z monetami i paszportami! Umyślnie mnożą trudności, aby w mętnej wodzie ryby łowić.

Śmieliśmy się, a Francuz mówił dalej z wzrastającym zapalem.

— Mając ochotę pozostać dłużej we Florencyi, postanowiłem poszukać sobie mieszkania. Szczęściem w porę zaszedłem do panów Du-fresne, do których miałem kredytywę. Ostrzeżono mię, abym we wszelkich układach

¹⁾ Wymawia się: Piacca San Rokko. ^{2—7} Wymawia się: kuaryno kracyja, cekkino, franczeskone, skudo, ewaneyg.

z miejscowemi miał się na jak największej baczności i o najmniejszą rzecz robił na piśmie kontrakta przy świadkach. A! ba! jesteśmy więc w lesie! A no tak! Nająłem mieszkanie wcale znośne *via Calzaoli*. Ledwiem się osiedział, urzędnik policyjny przychodzi mię spytać, jakie jest moje zatrudnienie? Z początku, wyznaję, nie zrozumiałem; wziąłem to za impertynencyją, ale.... szło o podatek. Wszyscy cudzoziemcy opłacają procent od zarobku. Ja, jako *rentier*¹⁾, miałem płacić za to, że nic nie robię. *Va bene*²⁾! Służący, z którym przyjechałem, zakosztowawszy słodyczy florenckich, odprawia się ode mnie. Nie wielem się tém zmartwił; miałem już przyjąć nowego, gdy Du-fresne mię ostrzegł, że to wcale nie jest tak łatwa, ani tak mała sprawa, jak mi się zdawało.... Ale ja panów nudzę....

— O! bynajmniej, — zawołałem; — to są ciekawe szczegóły i choć z nich nie skorzystamy, bo we Florencyi bawić tak długo nie myślimy....

— Ani ja! ani ja! — przerwał Francuz. — Mam tego wszystkiego dosyć, ale, pozwólcie, bym dokończył. Du-fresne mi powiada: jeżeli pan masz nająć mieszkanie, pamiętaj, że potrzeba je wypowiedzieć pół roku naprzód; inaczéj za cały rok następny zmuszą cię zapłacić. *Sapristi!* trzeba miesięcznie się godzić, co piętnaście dni wypowiadać i kontrakta robić na piśmie, z tém, żeby jeszcze były przy świadkach. Ojczyzna Macchiavella³⁾! ojczyzna Macchiavella! Z moim służącym umówiłem się, odprawiłem go, opłaciłem, pokwitowałem.... lichonadało, że go Włosi złapali. Cóż myślicie? Zrobił mi proces, musiałem mu za cały rok zapłacić. Ale to jeszcze nic! Du-fresne mię tylko nastraszył, a sir George⁴⁾ Lindał przeraził

¹⁾ Żyjący z procentu od kapitałów. ²⁾ Wybornie. ³⁾ Wymawia się: Makijawella. ⁴⁾ Wymawia się ser Dżordż.

mie. Oto jest jego przygoda. Sir Lindal, mając przeszłą zimę przepędzić we Florencyi, najał miesięcznie kucharza. Nie mógł się nim nacieszyć: naprzód, gotował wybornie; człowiek był cichy, miły, grzeczny, spokojny; najmniejszej nigdy sprzeczki, żadnego sporu; ile mu dano na wydatki, starczyło zawsze. Pani Lindal, pan Lindal, dzieci, słudzy nie mogli pocziwego florentczyka odchwalić; karmił ich jak najlepiej, bawił, służył, uśmiechał się, kłaniał. Zrobiono z nim umowę, że miał dom we wszystko zaopatrywać; kuchnia była wyborna, nie do zarzucenia. Na wiosnę sir George wyjechać myślał do Neapolu. Na kilka dni przedtém kucharz znika; jakiś nieznajomy przynosi paczkę papierów stemplowych państwu Lindal; nie mogą zrozumieć, o co chodzi. Były to rachunki wszystkich kupców, którzy przez całą zimę zaopatrywali na kredyt kuchnię sir George'a. Rachunki wynosiły kilka tysięcy pawłów. Ależ kucharz dostawał co tydzień gotówką na wszystkie kupna w mieście! Nieszczęściem kwitów od niego brać zaniechano, świadków nie było, a że prawo tokańskie nie przyjmuje świadectwa rodziny pana, ani sług jego, po długich korowodach musiał sir Lindal zapłacić wszystko i uciekł, przeklinając Florencję.

Francuz, to rzekłszy, począł się przechadzać żywo.

— Nie! nie! — zawołał; — mieszkać tu może tylko adwokat! Ze sługami trzeba umowy na piśmie i to w obecności obcego świadka; kupić nic nie podobna, żeby na tobie nie skorzystał ten, co ci kupno nastręczył, co cię do sklepu zaprowadził, co patrzył, gdyś kupował, lub odniósł towar do domu.... musisz się pilnować dniem i nocą. Wolałbym mieć do czynienia z rozbójnikami. *Firenze la bella* ¹⁾ — dodał poruszony, — śliczna w istocie; ale to jaskinia łotrów!

¹⁾ Florencja piękna.

— Arcydzieła sztuki....! — przerwałem mu.

— A! panowie jesteście miłośnikami cacek, — rzekł, śmiejąc się. — Ja, na honor, nawet w tym rodzaju nic tu tak pięknego nie widzę. Paryż! rozumiem, ale tu! starzyzna! Domy i pałace wyglądają na więzienia! Słowo państwu daję, wziąłem Pitti ¹⁾ za koszary monumentalne.

— Ależ katedra....

— Szkatulka, wysadzana marmurem, sztukateryją, mozaiką, a w środku goło.

— Ale cudowna dzwonnica.....

— Sztućczyk na igły, misternie wykładany; kościoły — z odartymi facyjatami; posągi przed *Palazzo Vecchio* ²⁾ — karykaturalne, gorąco — wściekle, a zamiast innych przyjemności, po rogach ogromne afisze lekarskie.

Francuz coraz się bardziej zapalał; nie śmieliśmy mu się sprzeciwić, aby go nie rozjątrzać więcej.

— Znacie państwo przesławną czytelnię p. J. P. Viesseux?

— Jeszcze nie.

— Dwadzieścia tysięcy tomów, między którymi nigdy nie znajdziecie tego, którego wam potrzeba. Sam Viesseux — bardzo zacny człowiek, ale, ponieważ jest podejrzany o liberalizm, możecie być pewni, że, poszedłszy do niego, będziecie zanotowani w policyi. Panowie, jeśli chcecie usłuchać dobrej rady, pakujcie się i wyjeżdżajcie.

— Zrobimy to bardzo rychło, — odpowiedziałem, — ale nie przedź, aż obejrzymy dzieła sztuki.

Francuz pokiwał głową i uśmiechnął się, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że mamy we łbie ówieka.

— Dzieła sztuki! — mruknął po chwili, rzucając dziennik na stół, — nie przeczę, że są po świecie znakomite

¹⁾ Pałac z wspaniałą galeriją dzieł sztuki; tu mieszkał były wielki książę tokański. ²⁾ Znaczy: pałac stary.

działa różnego rodzaju, ale, moi panowie, *la main sur la conscience*¹⁾ czy nie prawda, że większą część ich tworzy głupota ludzka? Znam takie dzieła sztuki, za które nie dałbym susa, choć kosztują miliony. Dziesięciu z kolei powiedziało, że są piękne; jedenasty wstydził się słabięj je chwalić; dwudziesty, chcąc być większym nad nich znawcą, przesadził uwielbieniem; dalej już ludzie rozpatrywali je, szukając tylko samych piękności. Natomiast tysiące jest arcydzieł, którym zabrakło szczęścia; minął je pierwszy, zganił drugi i poszły w zapomnienie. Weźcie panowie rzecz przyzwoicie mierną, niezupełnie złą, niekoniecznie doskonałą, postawcie przed nią dziesięciu mądrych estetyków; niech się tylko uweznią zrobić z niej arcydzieło, a robią; ręce że robią. W ogromnym lesie dzieł sztuki, połowa winna sławę szczęściu i ludzkiej głupocie. Nie przeczę, że są arcydzieła, ale....

Klemrod śmiał się serdecznie; Francuz widocznie szczęśliwy był swym paradoksem; ja przypomniałem sobie po cichu historią Wieczerzy Rafaela,

— Jécie, panowie, z apetytem, jak widzę, — począł, przechodząc do innego przedmiotu. — Dawno tak?

— Od kilku dni.

— I nic? — spytał Francuz. — Nie doznaliście, panowie, jeszcze skutków kuchni włoskiej? Wyborna kuchnia! Czujecie przecie, spodziewam się, gdy wnoszą bifsztyk, jakby piętnaście łożowych świec zgaszono? *strutto!* wszystko ze struttem! wszystko na łożu! Jem i ja, bo nigdzie podobno nie jest lepiej, ani w *Luna*, ani w restauracyi *delle antique Carozze*, ani w *Patria*, ani w *Stella*, ale codzień mocniej się przekonuję, że nie jestem lichtarzem i dłużej łożu bezkarnie znieść nie potrafię.

Jużeśmy bliższą z tym gadułą mieli zabrać znajomość, gdy, spojrzawszy na zegarek, namarszczył się, porwał za

¹⁾ Z ręką na sercu, t. j. wyznajmy sumiennie.

kapelusz i, pożegnawszy nas prędko, wyszedł, kilka słów szepnąwszy służącemu w pierwszej sali.

Śmieliśmy się z niego do końca obiadu, to jest dopóki nie przyniesiono nam rachunku. Summa zdawała mi się nieco za wysoka; postrzegłem, że czyjś obiad zamieszczony został w naszej karcie; nie mogliśmy tego pojąć. Przywołany służący wytłomaczył nam, że *przyjaciół nasz*, z którym przez cały obiad rozmawialiśmy, znudzony ów Francuz, rozkazał swoje *pranzo*¹⁾ połączyć z naszym w jedną całość.

Nie można było mieć mu tego za złe, po wyborniej nauce, jaką nam udzielił. Śmiejąc się, zapłaciliśmy za roztargnionego....

Klemrod był szczęśliwy ze swój przenikliwości: przeczuł w nim od razu awanturnika.

Józef Ignacy Kraszewski. 1866.

6. Przyjęcie oficjalisty.

— Przybyłem tutaj w celu starania się o służbę, — mówił dalej Widzki do wikarego. — Słyszałem, że w tych dobrach obszernych często miejsca wakuja; wielką byś mi, ojcze, łaskę wyświadczył, gdybyś mi swoim wpływem obowiązek jaki wyrobił.

— Prawda, że wakansu tutaj nigdy nie braknie, że nawet dzisiaj, mości dobrodziejstwo, ekonoma w jednym folwarku nie ma, ale to miejsce nie dla ciebie, mój łaskawco.

— Dla czegoż by nie dla mnie?

— Dlatego, że, mości dobrodziejstwo, pensyja strasznie licha, a służba okrutnie ciężka. Na jednego człowieka dziesięć obowiązków wkładają, z których jeden dru-

¹⁾ Obiad.

giemu szkodzi, a uczciwości nie wierzą, ludźmi pomiatają i plotki lubią niezmiernie. Pokróćce i niechętnie ci to powiadam, bo jeśli komu, to tym bardziej księdzu nie godzi się rozgłaszać takich rzeczy, które dobrej sławie bliźniego szkodzą; wcale bym nawet o tém zamilczał, jeśliby nie ta święta powinność, jaką mam względem ciebie; ale radzę najszczerzej, nie wdawaj się z Sadłowickimi; próbuj szczęścia gdzieindziej.

— Już ja próbowałem i w Gruszkach i w Kobylinie....

— To prawie wszystko jedno, co i w Stefanówce, mości dobrodziejstwo.

— Tam nie miałem żadnej rekomendacji, prócz świadectwa marszałka, a tu mię ksiądz dobrodziej zarekomenduje.

— Nie wiele u nich moja protekcja znaczy, lecz niechaj i tak będzie. Jutro po mszy wyjednam ci posłuchanie.

— Tylko, na miłość Boga,—przerwał mu Widzki,—proszę nie o dawniejszej mojej pozycji nie mówić, bo mi na zachowaniu tego w tajemnicy bardzo wiele zależy.

— Tajemnice umiem szanować, więc bądź, łaskawco, spokojny, a jak się z Sadłowickimi nie uda, czego się spodziewam i pragnę, to, przy pomocy bożej, znajdę ci coś lepszego.

Nazajutrz po mszy, ksiądz Anastazy, zapytawszy jeszcze Widzkiego, jak chce mieć swoją przeszłość przedstawioną u pana Sadłowickiego, oraz do jakich obowiązków uzdolnionym się mniema, ruszył w imię boże do pałacu.

— No, — rzekł, wróciwszy, — mości dobrodziejstwo, posłuchanie ci wyrobiłem. Potrzebny im ekonom do jednej wsi; daj tylko Boże, mój łaskawco, abyś do ładu z niemi trafił. Poleć się niebu i idźmy.

W przedpokoju pałacu lokaj oznajmił im, że jaśnie państwo są przy śniadaniu w werandzie od ogrodu.

Ksiądz Anastazy, świadomy już zwyczajów miejscowych, poprowadził tam przez ogród swego klienta.

Na ogromnym balkonie, wykładanym białym marmurem, a ocienionym kapryfoliją, gęsto oplatającą drewniane, od ziemi aż do dachu sięgające kraty, któremi z trzech stron był obstawiony i które tylko od przodu, naprzeciw drzwi parapetowych, wiodących 'w głąb' pałacu, miały otwartą arkadę, u owalnego stołu siedziało z dziesięć osób przy śniadaniu. W gronie tém najwidniejszą była sama pani Sadlowicka, która zajmowała wspaniały, kunsztownie rzeźbiony dębowy fotel, z herbem pod hrabiowską koroną na szczycie wysokiej poręczy. Reszta towarzystwa składała się z trzech córek, dwóch synów państwa Sadłowickich, oraz dwóch metrów i dwóch guwernantek. Najstarszym w rodzie był Bolo Sadłowicki, młodzian dwudziestoletni i całkiem już *skończony*, bo go naprzód bony, potem guwernantki, a potem Niemiec i Francuzcy guwernerowie aż do lat osiemnastu najtroskliwiej w domu kształcili—a w końcu rok pobytu w Paryżu, pół roku wojażu po Szwajcaryi, Włoszech, Niemczech i Anglii, ostateczny mu polor nadały. Polor ten był widoczny i z jego stroju, któremu i najsurowsze wymagania paryżkiej mody nic by do zarzucenia nie miały, i z jego miny, w której się malowała najlepsza opinia o sobie, i z jego manier, pełnych wielkiej swobody, i wkońcu ze słówek dowcipnych, które kiedyniekiedy ciskał ze znaczącymi uśmiechami i spojrzeniami. Za nim szła o parę lat młodszą, lecz także już *skończona* panienka Fisia, t. j. Felicyja, żywy obraz mamuni, ale podobna do niej takim podobieństwem, jakie jest między wiosną a początkiem jesieni, między zorzą poranną a wieczorem pogodnym. Ta szczebiotała i śmiała się wesoło, zwracając się to do matki, to do brata. Trzecim z gniazda był Dolo t. j. Adolf, szesnastoletni panicz, jeszcze nieskończony, bo na żadnej

wystawie nie był, w żadnych wyścigach nie uczestniczył, świeżo z rąk guwernantek oddany guwernerom, ale już bardzo wiele obiecujący, bo gałeczkami nader trafnie strzelał, co z ust matki wywoływało łagodną perswazyję, że gałkami rzucać u stołu nieprzyzwoicie. Jedno krzesło po prawej stronie pani Sadłowskićj było nie zajęte.

Służba w migdałowej z kanarkowem liberyi, o błyszczących herbowych guzach, w kamaszach i trzewikach, gęsto snuła się wokoło, podając śniadającym herbatę, kawę i różne zimne przekąski.

Widzki i ksiądz Anastazy zbliżyli się ku balkonowi, na który wejść nie mogąc dla braku wolnego miejsca, zatrzymali się przed arkadą i grzecznie zdjęli czapki z ukłonem, a wikary rzekł: »Prezentuję pani prezesowej, mości dobrodzieństwo, pana Widzkiego.« Na te słowa czarne brwi pani Sadłowskićj ściągnęły się i lica zarumieniły, lecz z miejsca się nie ruszyła; lekko tylko głową skinąwszy ku wikaremu, rzekła oschle:

— Proszę księdza tu do nas.

Ksiądz Anastazy wstąpił na balkon, kłaniając się całemu towarzystwu dokoła.

— Byłbyś dobrym na mistrza ceremonij, mój księżu, — odezwiała się po francuzku pani prezesowa z sarkastycznym uśmiechem; — wybornyś ze swoją rekomendacyją! Wszakże mi przyprowadzasz nie gościa, tylko oficjalistę, szukającego służby, o którym świeżuteńko wszystko już powiedziałeś, co mi wiedzieć było potrzeba.

Staruszek się zaczerwienił, zmarszczył czoło, otworzył usta, snadź chcąc się odciąć ostro; już nawet »mości dobrodzieństwo« zaczął z przyciskiem, ale wnet się zmiarkował i dokończył francuzczyzną koszlawą:

— Chciój mi pani wybaczyć, że na starość nie mogę się otrząsnąć ze swoich prostaczych nawyków.

Widzki, który teraz dopiero zrozumiał powód owej zmiany na licach pani prezesowej, ukluty do żywego tą nedorzeczną dumą, w obec której już samo zarekomendowanie ubogiego człowieka jaśnie wielmożnej pani uchodziło za ubliżenie, zakipiał oburzeniem i wzdardą, ale tak umiał zapanować nad sobą, że z twarzy jego, jak z papierowej bezmyślniej maski, wzrok, nawet najprzenikliwszy, nie zdołałby odgadnąć, co się tam w sercu działo; to też, choć wiele oczu nań patrzyło, nikt się nie domyślił, że mu język francuzki obcym nie był.

— Siadajże, księżu, z nami, — ciągnęła pani Sadłowska; — może trochę przekąsisz? krzesła dla księdza!

Lokaj przystawił krzesło do szarego końca. Staruszek obejrzał się na swego towarzysza, co stał o kilka kroków od balkonu, spuściwszy oczy, i odparł zimno:

— Najpokorniej dziękuję, mości dobrodzieństwo; jużemy po śniadaniu. Ale uważam, żeśmy tu nie w porę przybyli; jeżeli pani prezesowa pozwoli, to się tymczasem po ogrodzie przejdziemy.

— Owszem, — odrzekła pani Sadłowska, — teraz właśnie mam wolną chwilę; później będę zajęta.

Wtém z oficyny, nieopodal za klombami stojącej, wybiegł lokaj z półmiskiem, przykrytém srebrną pokrywą, a w ślad za nim jakiś jegomość, przyodziany wcale po pańsku, ale w białej szlafmycy i osłonięty białym, cienkim fartuchem. Średniego wzrostu, pulchny, krągłutki, trochę już szpakowaty, ale z twarzą delikatną i gładką, drobnym, a żwawym krokiem, z policzkami zaognionemi, z czołem uznojoném, dreptał w ślad za lokajem, wołając: »prędzój, prędzój!«. Widzki był pewny, że to — kucharz, troskliwy o podanie potrawy w należytem stopniu gorąca, ale jakże się ździwił, gdy ten, wpadłszy na balkon, zerwał z głowy szlafmycę, fartuch prędko odpasał, jedno i drugie rzucił w oczy lokajom, którzy w lot je

schwycili, i zawołał wesoło, zwracając się do pani prezesowej, gdy kamerdyner półmisek jój podawał:

— No! jeśli i teraz powiesz, żem się w Paryżu niczego nie nauczył, to niechaj mię powieszą!

Przyskoczył do półmiska, chyżo podniósł pokrywę, a gdy zeń wonna para zionęła, wykrzyknął rozpromieniony:

— Patrz, co za zapach! co za kolor! a co za smak! — i pięć palców razem złożywszy, ucałował je z wielkim zachwytem. Ale z pokrywy, umoczonej w sosie, kilka kropel prysnęło na haftowane batysty i koronki pani Sadłowskiej i, zamiast admiracyi, opryskliwy okrzyk niechęci z ust jój wyrwało.

Pan prezes, bo on to był właśnie, niezbity z tropu, schylił niby pokornie głowę i rzekł, nadstawiając rumiany swój policzek: *«goutez et frappez»*.

Wesoły śmiech całego grona, składającego hołd jednomyślny dowcipowi pana Sadłowskiego, który nie tylko z kuchni, lecz nawet i z komedyi francuzkiej genijalnie skorzystał, rozbroił zasnęła jego małżonkę; uśmiechnęła się i parę kotletów wzięła na talérsz.

— Sosu! sosu! — zawołał prezes, — bo to grunt. Sam go preperowałem! Łukasz ani się dotknął.

Nabrała sosu; on stał przy niej i wzrok badawczy w jój oblicze utkwivszy, z natężoną uwagą czekał, aż pierwszy kąsek w usta włożyła.

— A co? — wykrzyknął z dumnym tryjumfem, a oczy mu się zaiskrzyły radośnie. — A co? — i śmiał się i zacięrał ręce.

— Doskonale! — rzekła pani, przelknawszy.

— Obnoś-że! obnoś prędzój! póki gorące! — komenderował prezes, popychając kamerdynera, i sam, idąc w ślad za nim, nakładał na talérze i dzieciom i guwernantkom i guwernerom, wychwalając swoje kotlety i do jedzenia zachęcając wymownie.

— Jédzcie! — wołał na dzieci, — korzystajcie z czasu, bo nie wiecie dnia, ani godziny! po mojej śmierci nikt wam takich kotletów nie da! Jédzcie! — wołał na metrów, — bo *parole d'honneur*, że i sam Ludwik Filip palce by przy tém oblizał!

A gdy już wszystkich obdzielił i od wszystkich zebrał pochwały, wtedy dopiero spostrzegł księdza Anasztazego, stojącego na stronie.

— A! — zawołał uradowany, — i ksiądz dobrodziej tutaj! dobry węch miałeś! siadajże *reverendissime*, skosztuj i daj aplauz mojemu genijuszowi!

— Najpokorniej dziękuję, mości dobrodziejstwo! — odparł wikary z ukłonem.

— Jédz piérwój, a potém dziękuj.

I ująwszy księdza pod ramię, przemocą przyciągnął go do stołu i do jedzenia przymusił.

— A teraz, — rzekł uroczyście, — niechajże i ja skosztuję owocu swojej pracy!

Już miał nabięrać, gdy ujrzał Widzkiego.

— Kto to jest? — spytał półgłosem księdza Anasztazego.

— To pan Widzki, — odrzekł zcicha staruszek, — o którym panu prezesowi właśnie mówiłem.

— A! ten... ten... szlachcie podupadły? Aha! — Nabrał prędko na talérsz i wetknawszy w ręce lokajowi, — podaj tam! żwawo! — zakomenderował, wskazując nosem ku Widzkiemu.

— *Que faites-vous la?! —* wykrzyknęła pani Sadłowska głosem pełnym zgorszenia, ale już lokaj z talérzem stał przed Widzkim, do którego pan prezes, nie zważając na okrzyk żony, wołał:

— Jédz-no, jédz wacpan bez ceremonij.

Widzki dziękował, nie przyjmując talérza.

— Ależ bo jédz, powiadam, — zawołał natarczywie pan Sadłowski.

Widzki, zakłopotany, machinalnie wziął taléř w ręce i stał, sam nie wiedząc, co ma z nim począć. Pan prezes, zniecierpliwiony, zbiegł z balkonu, ujął go pod ramię i odprowadziwszy o kilka kroków do altanki, ustawionej z kwiatów oranżeryjnych, naprzeciw werandy, usadowił na żelaznej ławeczce przy marmurowym stoliku.

— Jédź-że, póki sos nie ostygnie, bo to grunt! — rzekł raz jeszcze z przyciskiem i wróciwszy do stołu, sam wreszcie do jedzenia się zabrał.

Pani prezesowa znów się nadąsała i gdy drogi małżonek przy niej się ulokował, zaczęła mu wyrzucać całą niewłaściwość i nieprzyzwoitość jego postępowania.

— Za daleko, — mówiła, — posuwasz pragnienie chwały i okłasków! jak można tak się pospolitować i pierwszego lepszego, wbrew wszelkim prawom etykiety, zaszczycać taką poufałością?

— Niech jé, — odparł prezes z przyciskiem. — Podniebienie takie świeże i, że tak powiem, dziewicze, najlepiej się na tych delicjach pozna. A co? — dodał uradowany, — już i zrepetował! prędko się zwinął i ma łaskę u mnie! Trzeba go przyjąć, bo kto żwawy w jedzeniu, ten żwawy i w robocie, rzecz to niezawodna. Mości panie! proszę no bliżej!

Widzki istotnie żywo z kotletami się zwinął, bo choć mu one kością w gardle stawały, zmiarkowawszy od razu, że w żaden sposób od jedzenia ich uwolnić się nie zdoła, uznał za najwłaściwsze skończyć z nimi co rychléj i wyjść z téj żenującej pozycyi, w jakiej się widział, siedząc w owéj altanie, jakby na cenzurowaném w obec całego grona, a szczególnie prezesa, który go z oka nie spuszczał. Zawołany nareszcie, znów do balkonu się zbliżył.

— A co kotlety? — zawołał Sadłowicki, — czy waćpan jadłes co podobnego w życiu?

— Nigdy! — odrzekł Widzki z ukłonem.

— A widzisz! — wykrzyknął prezes, śmiejąc się uszcęśliwiony; — to ja sam preparowałem. A sos?

— *Laissez donc!* — przerwała mu cierpko małżonka i żeby raz już koniec temu położyć, otwarła posłuchanie nareszcie.

— Nasz ksiądz wikary prosił nas o służbę dla waćpana i wiele pięknych rzeczy o waćpanu powiadał, a choć jego zdanie o ludziach nie zawsze bywa dość trafném, tym razem chcę mu wierzyć, a waćpan powinien się starać, żeby ta wiara zawiedziona nie była.

Pan Zygmunt uklonił się w milczeniu.

— Zpod Kijowa? — zapytał prezes.

— Tak, panie, — odrzekł Widzki.

— A znasz Marciszewską? tę, co to wydała szlacheczką kucharkę?

— Nie znam.

— I nie czytales jéj dzieła?

— Nie czytałem.

— Nie żałuj! Baba z motyką porwała się na słońce! Niechby mnie była zapytała wprzód, jak się piszą dzieła kucharskie.

— *Laissez donc!* — zawołała znowu pani Sadłowicka, a zwracając się do Widzkiego, dalej ciągnęła:

— Moglibyśmy dać waćpanu obowiązek ekonoma w jednym z naszych folwarków, jeśli sumiennie możesz mu odpowiedzieć.

— Całe życie pracowałem na roli i nie obca mi żadna z gałęzi gospodarstwa wiejskiego.

Pani prezesowa, której zacny małżonek, zajęty studjami szlachetnego kunsztu kulinarnego, nie miał czasu dość pilnie wglądać w rzędy dóbr swoich, sama je prowadziła i znała się po trosze, przynajmniej powierzchownie na rutynie ekonomicznej. To téż chcąc się znajomością swoją pochwalić, a raczej zdjąć egzamin z Widzkiego,

jęła go wypytować o różne szczegóły gospodarstwa. Odpowiedzi snadź były zadowalniające, bo wreszcie rzekła:

— Ekonomem waćpan być możesz, tylko masz wiedzieć, że to folwark ogromny: sześć tysięcy morgów ziemi i dwa tysiące lasu, a w nim cztery pasieki, nadto gorzelnia, trzy stawy, młyny i wapniarki, a wszystko to pod zarządem jednego ekonoma, który, prócz tego, powinien być gotów na każde zawołanie do wszelkiej innej posługi, jaka się trafić może.

— Chętnie się każdej podjęmę, byleby jedno zajęcie drugiemu nie przeszkadzało.

— A! to już rzecz nasza.

— A piszesz ładnie? — wtrącił nagle pan prezes.

— O ile sądzić mogę, zdaje mi się, że nieźle.

— Hej! podać mi moję tekę podróżną! — zawołał prezes na kamerdynera.

Teka w momencie się zjawiała. Pan Sadłowski wydobyl z niej papier, pióro, kałamarz i skinieniem zawzawszy Widzkiego do stołu, od którego już reszta śniadających powstała i odeszła, kazał mu usiąść i dać dół swój umiejętności.

— Podyktuję waćpanu, — rzekł, wyjąwszy z teki jakiś rękopism.

Widzki umoczył pióro, prezes odchrząknął i uroczyście wygłosił: »Myśli ogólne o wysokim znaczeniu kuchni w życiu człowieka, oraz przeważnym jej wpływie na fizyczny i moralny rozwój narodu, tudzież o jej stosunku do cywilizacji«.

— Dostyc już, — rzekła pani prezesowa, — i z tego możesz łatwo i kaligrafię i ortografię ocenić.

Prezes nieco się skrzywił, lecz był posłuszny swojej połowicy i, wzięwszy z rąk Widzkiego pisanie, pilnie się w nie wpatrywał.

— No! — rzekł po chwili z wyraźnem zadowoleniem, — piszesz waćpan wcale nieszpętnie; to też ja z mojej strony za warunek położę, abys mi w wolnych chwilach pomaluczku przepisywał moje utwory.

Widzki uklonił się z poddaniem, prezes z lubością zaczął przewracać kartki swego manuskryptu, a prezesowa znów głos zabrała:

— Możemy więc przyjąć waćpana. Pensyja w tym folwarku wynosi sto rubli przy odpowiedniej ordynaryi, z ogrodem warzywnym i prawem trzymania czwórki koni i sześciu sztuk bydła.

— Raczcie mi państwo wybaczyć, — rzekł na to Widzki, — że ja na takich warunkach obowiązku przyjąć nie mogę.

— Jakto? — zawołała prezesowa z nieudanym zdziwieniem.

— Szukam służby, — odparł Widzki, — dlatego, aby zabezpieczyć byt swój rodziny, pensyja zaś, jaką mi państwo proponujecie, pominąwszy już, że wcale nie odpowiada wymaganiej ode mnie pracy, nie tylko nie wystarczy na jakiegokolwiek wychowanie moich dzieci, lecz nawet i materyjalnych potrzeb nie opędzi.

— Chybaż waćpan myślisz żyć na tej wsi, jak gdybyś był jej panem, a nie ekonomem?

— Nie, pani; mam na myśli najskromniejsze, nieodbite potrzeby.

— Naprzykład?

— Jeśli pani pozwoli, to je wyliczę.

Pani Sadłowska wzięła z teki mężowskiej papier i ołówek; Widzki rachował:

Utrzymanie choćby tylko furmana i gospodyni co najmniej rubli 30.

— Zgoda, — rzekła prezesowa, notując.

— Kucie koni, naprawa uprzęży i bryczki choćby tylko rubli 15.

— Dobrze, cóż więcej?

— Sól, świece, mydło i bodaj parę razy na tydzień kawałek mięsa najmniej rubli 40.

Prezesowa, po chwilowym namyśle, i to zanotowała. Widzki ciągnął dalej:

— Dla stariej matki i chorzej żony, choćby na lekarstwo cukier, herbata, przynajmniej rubli 10.

— To zbytek, — rzekła prezesowa.

— Zbytek, — odparł Widzki, — co stał się dziś potrzeba, ledwie że nie powszednią, nawet u wyrobników miejskich.

— No, zgoda zresztą, cóż dalej?

— Garnki, miski, szklanki i tym podobne rzeczy nietrwale mniej więcej ze 3 ruble.

— Cóż jeszcze?

— Dla siedmiu osób bielizna, obuwie, odzież, choćby najuboższe, choćby tylko łatanie, przypuścimy rubli 35.

— Cóż więcej waćpan wymyślisz?

— Nic nie wymyślam, pani; pomijam mnóstwo drobnostek, zapominam o potrzebach nieprzewidzianych, a w tém, co liczę, ograniczam się jak najściślej; niech jednak pani raczy to przynajmniej zrachować.

Pani Sadłowska podsumowała zanotowane cyfry.

— Sto trzydzieści trzy ruble, — zawołała zdumiona.

— To rzecz szczególna! Przecież wydany Capiński stroił żonę w atlasy i woził ją krytą bryczką na resorach, a za syna 60 rubli w gimnazjum płacił. Nieprawdaż, księżo?

— Prawda, mości dobrodzieństwo, — odrzekł ksiądz Anastazy, który, usunawszy się z krzeselkiem w róg werandy, smutny, zgryziony, służył za niemego świadka tej pociesznej, lecz przykrzej sceny.

— Może miał jakie kapitały, — rzekł na to Widzki.

— Kapitały! — podchwyciła z ironicznym uśmiechem prezesowa; — przywłókł się jedną szkapką, wózkiem obdartym, świecąc dziurawymi łokciami!

— A czy wolno wiedzieć, — zapytał Widzki, — za co go państwo wydalili?

— Bo kradł bez miłosierdzia, — odrzekła pani Sadłowska.

— Infamis! — podchwycił prezes z oburzeniem głębokim, — nawet karpie z sadzu żydom skrycie sprzedawał. — I podniesioną pięścią zatrzęsł w powietrzu.

— Maż to być dla mnie wzór do naśladowania? — spytał Widzki z uśmiechem.

— Niech waćpana ręka boska zachowa! — wykrzyknął prezes, porywając się z krzesła. — Ze zbożem, a nawet z wapnem może ci się i uda, ale ryba w sadzu u mnie liczona.

— Ani ze zbożem, ani z plewą, ani z najlichszą słomą cudzą, próbować szczęścia nie myślę, — odparł Widzki, oblawszy się rumieńcem obrażonej godności, — i dlatego za tak małe wynagrodzenie służyć państwu nie mogę.

— Małe wynagrodzenie! — rzekła prezesowa, ściskając ramionami; — gdzieindziej płacą po kilkadziesiąt rubli, a przecież oficjaliści nie umierają z głodu i w łachmanach nie chodzą; owszem, nie jeden nawet, kilka lat posłużwszy, na dzierżawę się potem przenosi.... Muszą być jakieś sposoby....

— Ja tych sposobów nie znam i znać ich nie mam ochoty, — odrzekł Widzki z gniewem, nie mogąc dłużej już nad sobą panować; — chciejcie więc państwo wybaczyć, że tam gdzie z góry uczciwość moja podejrzana się zdaje, obowiązku nie przyjmę.

Ksiądz Anastazy ukradkiem skinął głową ku niemu, jak gdyby na znak aprobaty i zatarł ręce z ukontento-

waniem, a pani Sadłowska rzekła po francuzku do męża:

— Jaki hardy! Czyżby doprawdy miał być lepszym od innych? Nie jednemu wręcz się mówi, że złodziej, a on się tylko kłania z pokorą i dalej kradnie.

Zwróciła się znów do Widzkiego i dodała po polsku:

— Zresztą, możemy dodać te 20 rubli, których, według waćpana, braknie na konieczne potrzeby.

— Więc mam o to dbać tylko, abym, póki siły służą, nie zginął z głodu i chłodu z rodziną, a na starość wolno mi będzie żebrać, lub w szpitalu umierać? — odparł Widzki z goryczą. — A dzieci niech się pasą, jak bydło i, jak bydło, rosną w ciemnocie, aby nie zaginęła rassa tych nikczemników, z łaski których panowie całą klasę służebną piętnem hańby znaczą; aby folwarkom pańskim przez wieki wieczne nie zabrakło złodziejów i tych, co się takim złodziejom na godne małżonki kształcą!

Pani Sadłowska ze zdumieniem spojrzała na Widzkiego. Jego twarz, ożywiona podnieconém uczuciem, jego mowa, pełna śmiałości i zapału, i cały układ, tak daleki od prostaczęj pospolitości, zainteresowały ją bardzo i nadspodziewanie dość przychylnie dla niego usposobiły. Walcząc jednak z tém dziwném dla niej samém wrażeniem, rzekła po francuzku do męża:

— Widocznie, że to kotlety twoje tak go uzuchwały.

— Może! — odparł pan prezes, śmiejąc się i zaciągając ręce; — dobrze jadł i dobrze gada; lubię go za to.

— Ileż waćpan masz dzieci? — zagađnęła znów prezesowa.

— Dwóch synów i dwie córki.

— A w jakim wieku?

Widzki opowiedział. Pani prezesowa, po chwilowym namyśle, rzekła dobrotliwie:

— Starszy syn może służyć w kancelarii pana prezesa, młodszy niech się uczy w szkółce parafijalnej u księdza wikarego, a córki do garderoby wezmę.

— Dziękuję pani, — odrzekł Widzki z ukłonem i z ironicznym uśmiechem, którego powściągnąć nie mógł. — Wiem, że mi pani łaskę wyświadczyć myśli, ale ja dla swych dzieci czego innego pragnę. Starszy mój syn musi koniecznie przejść wyższe szkoły; młodszy już więcej umie, niżli w szkółce parafijalnej uczą, córki zaś tak mi drogie, że póki żyję, nie rzucę ich na zepsucie i ponięwierkę do garderoby.

— Więc jakież koniec? — spytała pani Sadłowska z wyraźném nieukontentowaniem.

— Taki, że dla mnie służby u państwa nie ma.

— Jakież byś waćpan podał warunki? — zagađnął wreszcie prezes.

— Dla uniknienia wszelkich podejrzeń i posądzeń, — odpowiedział Widzki, — i dla zapewnienia sobie mojej pracy gorliwej, chciój pan wyliczyć, ile rzeczony folwark, w średnim stosunku z lat kilkunastu, powinien by przynieść czystej intraty, a ja się zobowiążę tę intratę podnieść o tyle, żeby dziesiąty z niej procent, nie zmniejszając cyfry dawniejszej, był zapłatą za moje trudy.

— Cóż, moja pani? jak tę propozycyją uważasz? — zapytał prezes.

— A jeśli waćpan intraty nie podniesiesz? — rzekła prezesowa.

— To nic za swą służbę nie wezmę.

— A jeśli jeszcze ją znizysz?

— Jeśli to z mojej winy się stanie, to tak samo odpowiem, jakbym odpowiadał, gdybym nie na procencie,

tylko na pensyi służył: najpewniej utratą miejsca i dobrego imienia.

— Trzeba nad tém pomyśleć, — rzekła prezesowa i zaleciwszy Widzkiemu, aby nazajutrz o tej samej porze stawił się do zawarcia ostatecznej umowy, zamknęła posłuchanie.

Ksiądz Anastazy niezmiernie się ucieszył tak szczęśliwym obrotem rzeczy. — *Deo gratias! Deo gratias!* mości dobrodziejstwo! — wołał, powracając z Widzkiem na plebaniją. — Widzę, że będzie lepiej, niż sobie wyobrażałem. Może i trafisz z niemi do ładu. Innemi pomiatali i pomiatają, bo też, Bogiem a prawdą, niektórzy są warci tego, a niektórzy dla kęsa chleba pozwalają sobą pomiatać. Z tobą tego nie będzie: od razu poznali, kim jesteś i będą się trzymać na wodzy. Niechajże Pan Bóg będzie pochwalony, że mi tu zesłał ciebie, ażebyś rozradował ostatek mego życia i pocziwiał swą ręką zamknął moje powieki.

Nazajutrz, po całodziennych targach, wyliczaniach i deliberacyi, przyjęto wreszcie propozycyję, spisano kontrakt i Widzki opuścił Stefanówkę, udając się po swą rodzinę, z zaleceniem prezesa, aby nakazał żonie zebrać jakie tylko posiada sama i jakie od znajomych dostać będzie mogła przepisy i sekreta kuchenne, jako materyjał do monumentalnego dzieła, które wydać zamyśla pod tytułem: *Skarbiec gastronomiczny*.

Antoni Pietkiewicz. 1867.

POEZYJE.

I. POEZYJE LIRYCZNE.

1. O dobrodziejstwach Boga.

Czego chcesz od nas, Panie! za twe hojne dary?
Czego — za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie; wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznym Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś pan wszystkiego świata; Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował;
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi
I pokryłeś jej nagość zioly rozlicznemi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi;
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają;
Białe dzień i noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi,
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twój łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboże deszcz ożywi snadnie,
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swój żywności,
A Ty każdego żywisz z Twój szczodrośliwości.

CZĘŚĆ II, WYŻSZA.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć, nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na téj nizkiej ziemi,
Jeno niech zawsze będziem pod skrzydłami Twemi.

Jan Kochanowski.

2. Do Boga.

Wysłuchaj prośb.... Ty pomoc dasz,
Pył podźwigniesz uciśniony,
W swój dobroci nieskończony,
Boże wielki, Boże ojców, Ojcie nasz!

Jedno westchnienie, serc czystych głos święty,
Łzę jedną, którą szczéry żal uroni,
Jedno pokorne pochylenie skroni,
Milsze, niż ofiary, masz.

Ta łza pokorna, to jedno westchnienie,
Prędzę się w niebios przebiję sklepienie,
Niż złego dary, te świata ponęty;

Sam śmiertelnym niepojęty,
Przedwieczny, święty,

Boże wielki, Boże ojców, Ojcie nasz!

W niedoli wsparcia gdzież szukać trzeba,
Jeśli nie w niebie i łaskach Twych, Panie!

Z padołu płaczu usłysz me wołanie
I uzbrój duszę Twój wiary promieniem

I otocz serce miłością nieba

I w myśli moje wszczep nadziei kwiat;

Wszak i ja również ręki Twój stworzeniem,

Jak niem jest wielki, niepojęty świat.

Ty duszę, serce, myśli moje znasz,

Nieskończony, niepoczęty,

Cudowny, święty,

Boże wielki, Boże ojców, Ojcie nasz!

Gustaw Zieliński.

3. Do Boga.

Błysnął poranek, zniknęły cienie,
Ja wzrok z pokorą toczę po niebie;
Boże! najpierwsze moje westchnienie
I moję duszę wznoszę do Ciebie.

Czuje Twą wielkość; wieczność jój strażą;

U nóg Twych strumień czasu przecieka;

U nóg Twych losy świata się waży

I drżący piorun Twój woli czeka.

Lecz gdy się groźnej potęgi trwożę,

Boska mię litość tarczą okrywa;

Wołam do Ciebie, Ojcie i Boże,

Ty słuchasz głosu, który Cię wzywa.

Spraw, niech mi serce cnotą goreje,

Nieszczęściem zagródź występku drogę,

A jeśli zbłądę, daj mi nadzieję,

Że jeszcze Ciebie przebłagać mogę.

F. Potocki.

4. Do Dzieciątka Jezus.

Racz nas prowadzić, o! młodzianku Boży,
Pośród obłądnych żywota bezdroży.

Czyto cierń ostry, czy twarda opoka

Stopę zakrwawi nam w losów kolei,

Niech nigdy Ciebie nie spuszcza z oka

I nigdy w Tobie nie tracim nadziei.

Gdy rozum pojąć dróg Twoich nie zdoła,

Gdy boleść w duszy zwątpienie wywoła,

Niech wiara w sercu budzi przekonanie,

Że tak najlepiej, jak nas wieszysz, Panie.

Spraw, byśmy wierni, pokorni, weseli,

W Tobie, dla Ciebie, przez Ciebie cierpieli.

Wiedz nas łaskawie, o! dzieciątko boże,

Z Egiptu cierpień w ziemię obiecaną;

Uśmiechem łaski umilaj bezdroże,
 Dodaj nam męztwa, gdy siły ustaną.
 Czoła, strudzone trosk ziemskich brzemieniem,
 Ochłódź, o! Panie! Twój miłości technieniem;
 Pokrzep mdłe serca, łzy osusz na oku
 I wzmocnij stopy w chwiejącym się kroku.
 W mgłach i ciemnościach prowadź nas bezpiecznie,
 Po trosk i trudów i cierni płaszczyźnie;
 Karz i doświadczej, byśmy potem wiecznie
 W niebieskiej z Tobą spoczęli ojczyźnie.

Ignacy Hołowiński.

5. Pod krzyżem.

O! krzyżu Pański, pamiątko przedroga
 Po Bogu, straszne godło męki Boga!
 Tulę cię, krzyżu święty, w sercu mojem,
 Rozkołysaném srodze niepokojem.
 Krzyżu, puścizno po Bogu-człowieku,
 Po Zbawicielu, tajemnico wieku
 I wieków wszystkich i całej wieczności,
 Aż me serce godnie cię ugości?
 Serce! lepianko moja nędzna z gliny,
 Rozszerz się, rozbrzmij pieśń dobrej nowiny,
 Oczyszc na gody i myśli i chęci,
 Co wicherzą; bowiem Bóg się w tobie święci.
 Ukrzyżowany Pan mój, ze mną, we mnie,
 Światłością ramion swych, na łona ciemnie,
 Na legowisko różnych zmor—miłośnie
 Roztoczył tęczę, ku nowej snadź wiośnie.
 Odnówże, Panie! wraz i mego ducha!
 Każ nawałnicy zmiłknąć, a usłucha;
 I cisza wielka w duszy wnet nastanie,
 I naokoło zamkną się otchłania.
 Bowiem myśl moja i uczucie moje
 I długoletnie znoje, bóle, boje

I zachwycenie wieszczce, co mną miota,
 To gra méj fali na wodach żywota.
 I człowieczego odnów, Panie! ducha...
 W duszach szaleje tam wciąż zawierucha.
 Na oceanie, który nas okola,
 Co nada wielki rozum, wielka wola?
 Wszędzie bo rozstrzeń, bezbrzeże, bezdroże.
 Ty jesteś, który jesteś.... Ty sam, Boże!
 Słońce wszech jestestw, w krążeniu sfer chyżem,
 Przyciągasz serca naznaczone krzyżem.
 Niechże, o! Panie! prawowierną słudze
 Krzyż Twój stępuje odtąd na żegludze;
 W objęciu krzyża nie lękam się fali,
 Ani nawałnic wszelkich.... Krzyż ocali.

Józef Bohdan Zaleski. 1862.

6. Modlitwa o dobrą wolę.

Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
 Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże!
 Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,
 Co za nas Twego doprasza się słuchu,
 My, zawieszeni pomiędzy otchłania
 A Twém królestwem, Ojczy, Synu, Duchu!
 Błagamy Ciebie z wrytém w ziemię czołem,
 Czasów pryśniętych otoczeni kołem,
 Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste,
 Odnów w nas zmysły, z dusz wypłen kąkole
 Złud świętokradzkich—i daj wiekuiste
 Śród dóbr Twych dobro, daj nam dobrą wolę.
 Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
 Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
 Daj nam, o! Panie! świętymi czynami,
 Śród sądu tego, wskrzesić samych siebie.

Zygmunt Krasiński.

7. Do poezyi.

(w urywku).

Kochanko ducha, dziewico słońca,
 Z mieczem i w zbroi hartownej;
 Nikt się nie oprze, gdyś jest walczącą;
 Nikt się nie oprze, dziewico słońca,
 Twojej piękności czarownej.

* * *

Na czarodziejskie twoje skinienie
 Stanie się niebo na ziemi;
 Dzikiej niezgody zgasną płomienie;
 Na twój czarownej palmy skinienie
 Ludzie się staną świętymi!

Na kogo twoje wejrzenie padnie,
 Ten ziemi świeci na wieki;
 W imieniu twojem serca owładnie,
 Ludziom ich przyszłe losy odgadnie,
 A czas je spełni daleki.

Ty będziesz wiązać dłonie szermierzy
 W czas ślubnych świata obchodów;
 W ołtarzach stawisz duchy rycerzy;
 Przez ciebie ludzkość w siebie uwierzy,
 Poezyjo! prawdo narodów.

Teofil Lenartowicz.

8. Do poezyi.

Białe aniele, co rajskimi kwiaty
 Barwisz pogodę jasnego oblicza;
 Dziewico, której gwiazd złotych użyzła
 Niebo, byś niemi stroiła swe szaty;
 Tęczo promienna, co siedmią barwami
 Błyszczysz w pogodzie i w burzy i w ciszy;

Harfo, dźwięk której człek i anioł słyszy,
 Zstąp z górnych krain i zamieszkaj z nami.

Czy jesteś pieśnią prostaczą, co płynie
 Pod sielską strzechę i kościół wioskowy;
 Czyli rzewnemi w serce trafiasz słowy,
 Lub koisz boleść w pokuty godzinie;
 Czyliś miłości dźwiękiem, lub w żałobie
 Hymnem błagalnym, prośbą, przebaczeniem,
 Czy słowem żalu i tęsknoty pieniem,
 Jasna dziewico uroków, cześć tobie.

Tyś, jako olbrzym! W blasku lotnej myśli
 Czołem dotykasz niebios, stopą — ziemi,
 A szata twoja, z gwiazdami jasnymi,
 Kręgi dróg nowych wśród przestrzeni kręśli.
 Ty, jako promień ożywczego słońca,
 W ciemne otchłanie złote siejesz blaski,
 O! ty zwiastunką jesteś niebios łaski,
 Tyś Panu hymnem dziękczynnym bez końca.

Lży w perły mieniąc, a w pieśni jęk głuchy,
 Śmiech w hymny cudnym zmieniając urokiem,
 Z promienną twarzą, z gorejącem okiem,
 Z skrzydłem u ramion, jako rajskie duchy,
 Ty, wzięwszy lutnię z Dawida strunami
 I pieśń, poczętą u stóp Bożych tronów,
 Poezyjo! sztuko myśli, słów i tonów,
 Zstąp z górnych krain i zamieszkaj z nami.

Stanisław Rzętkowski. 1866.

9. Śpiew poety.

Gdy na górach świta dzionek,	Piękność, miłość, czucie, wiarę,
A w dolinie srebryz rosa,	Na ogniwo spajam złote.
I ja śpiewam, jak skowronek,	Świat odbija moja dusza,
I ja lecę pod niebiosą.	Jak zielony brzeg — krynica;
Lecę, gonie wspomnień marę;	Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
Z kwiatów życia wieniec plotę;	Wszystko tkliwie ją zachwycą.

Łza na krótko oko ciemi,
 Częściej płyną w niem rozkosze,
 Bo, co ziemskie, rzucam ziemi,
 Co niebieskie, w niebo wznoszę.
 Z niewcielonych gdzieś tam światów
 Garnę myśli, uczuć skarby;
 Z nowych dolin, z nowych kwiatów,
 Do obrazów zbieram farby.
 Brzmia śpiewacy polni, leśni;
 Pierś podnosi rzewność błoga;
 Przyrodzenie wielbię w pieśni,
 W przyrodzeniu — wielkość Boga!
 Brzmia śpiewacy, i naprzemian
 To na dole, to na górze,
 To dla niebian, to dla ziemian,
 Wtórzą dla mnie, dla nich wtórzą.
 Tak przebiegam różne tony;
 Pierwój z sercem dźwięk pogodzę
 I czystiejszy, upiękniony,
 Po samotnej puszczałem drodze.
 Myśl mój pieśni nie przekwita;
 Jako niebo, serce, wiosna,
 Wiecznie świeża, rozmaita,
 I dziewicza i miłosna.

Coraz w gaju śpiew ucicha,
 Wolnie buja kilka chwilek;
 I z wonnego róż kielicha
 Piję balsam, jak motylek.
 Znowu lecę między ziółka,
 Między gaje, łąki, wody;
 Biorę miody, a jak pszczołka,
 Nie dla siebie biorę miody.
 Gdy w polocie mym znieenacka
 Coś mię draśnie, lub ukole,
 Widzę wkoło piękne cacka
 I jak dziecię, koję bole.
 Nie wyrzekam nigdy zbytnie;
 Błogo w lubym żyję błędzie;
 Wiosna kwitła, więc odkwitnie,
 Lub gdzieindziej kwitnąć będzie.
 Czara życia nie wciąż miodna:
 Gdy cykutę spełnić trzeba,
 Chrześcijanin, spełnię do dna
 I wesoło spojrzę w nieba.
 Duch nie zgaśnie przez skonanie —
 A dla ziemi, u mogiły,
 Kilka piórek pozostanie,
 Co ku niebu mię wznosiły.
 Józef Bohdan Zaleski.

10. Do poety.

Twe czoło młode
 Potomność w jasną otoczy tęczę,
 Ale za życia, czy wiesz młodzieńcze,
 Jaką świat sądził tobie nagrodę?
 Twe czoło w wieniec cierni ustroją
 I zelżą ciebie hańbą sromotną
 I w twoje piersi kamieniem grzmotną;
 Lecz wara kwilić, bo te męczarnie
 To gwiazda cześci na twoje łono;

Wszak świat zabija proroki marnie,
 Wszak i Chrystusa tu umęczono.
 Chyba nikczemny zwolennik świata,
 Zbyt polubiwszy cielesny oków,
 Nie chciałby umrzeć śmiercią Sokrata,
 Umrzec za prawdę, śmiercią proroków.

O! tam duch święty pewno nie świeci,
 Gdzie, gdy się dotknie cierpienia różga,
 Męczennik płacze, przekleństwo bluzga,
 Jak dzisiejszego wieku poeci.
 Gdy boli serce, więc jęki swemi
 Zioną przekleństwo niebu i ziemi;
 Kiedy pioruny palą im głowę,
 Chcieliby wstąpić w ciemno grobowe,
 I hańbią siebie przez płacz niewieści,
 Że się fortuna z niemi nie pieści.
 Więc choć do liry wyścigiem śpieszą,
 Głos słabych piersi przepada w tłumie,
 Mętną ich pieśni nikt nie rozumie...
 O! tacy wieszczowie świata nie wskrzeszą.

Nie ten cel pieśni, i mistrzom świętym
 Nie taka pieśń z duszy się darła;
 Cudem jej dźwięku kamień był tkniętym
 I wrzała w żyłach krew obumarła.
 Ten, lejąc tony bystrym potokiem,
 Śpiewał o przodkach wielkimi słowy;
 Ten opowiadał wolę Jehowy
 I przyszłość orlęm przebiegał okiem.
 I biegły ludy, gdzie wieszcz im kazał...
 Były to wielkie wieki na świecie,
 I wielcy wieszczowie i wielcy ludzie:
 Nikt się nikczemną skargą nie zmazał,
 Że go już ciężar do ziemi gniecie;
 Że pora spocząć po znojnym trudzie.

Wieszczu! daremnie inny się żali,
 Że żadna pieśń ludzi nie wzruszy;
 Ty nam zakolacz, przemów do duszy,
 Śpiewaj, jak dawni mistrze śpiewali,
 A od twój pieśni, jakby od cudu,

Wstąpi duch nowy do serca ludu.
 Jak Izaiasz, zabrzmi ludowi,
 Co przez twe usta Jehowa mówi,
 Lub, po Homerów stąpając śladach,
 Zanuć nam wielką pieśń o pradziadach.
 Niech na cześć przodków głos się natęży;
 Śpiewaj nam powieść ich cnót i męstwa,
 Gwar ich obrady, szcęk ich oręży,
 Głos ich modlitwy, błogosławieństwa;
 Albo, jak Orfej, rozpierzchnie rody
 Idź bratać cudem piosenki twojej!
 Wieszczu miłości, śpiewaku zgody,
 Cóż się przed siłą twoją ostoi?
 Niech jeno niechęć, zemsta, niezgoda,
 Nie da się słyszeć w cierpkim rozgwarze,
 Pan namaszczenia twój lirze doda
 I strunom twoim dzielnie grać każe.

Ludwik Kondratowicz.

11. Prostak wiejski.

Nie wiem, gdzie tam lepiej komu;	Żyć dla dzieci i dla żony;
Każdyć panem własnej woli;	Niech Bóg będzie pochwalony
Mnie najlepiej w ojców domu,	Ktoś tam ludzi durzy, mami,
Więc rad siedzę na swój roli.	I gdy jakiś zysk w tém zoczy,
Nie ciekawym, co tam poda	Górnościami, czułościami,
Zagranicznym miastom moda;	Jako może, mydli oczy.
Sieję sobie swe zagony;	U mnie, (znam się na oszustach),
Niech Bóg będzie pochwalony!	Prawda w sercu, prawda w ustach,
Ktoś tam szuka obyczaju,	Do prostotym wzwyczajony;
Pędzi w świat... otwarte wrota!	Niech Bóg będzie pochwalony!
Dzięki Bogu, wiem i w kraju	Niech tam sobie łakną drudzy
Co jest rozum, grzeczność, cnota.	Chwały, sławy i tak dalej;
Ktoś przez mądre tam mozoły,	Mnie gdy w domu lubią słudzy,
Myśli, że świat przeinaczy;	Gdy mię w wiosce kmieć pochwali,
Toć i jam odbywał szkoły,	A ksiądz zwłaszcza u spowiedzi,
Wiem, co ta ich mądrość znaczy.	Tom już całkiem ucieszony;
Hurtem na hurt, wolę stare	Niech Bóg będzie pochwalony!
Ojców serce, ojców wiarę,	

Stefan Witwicki.

12. Do Wisły.

Nasza się Wisła ukochana toczy
 Przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy;
 Z źródeł Karpackich coraz szersza bieży,
 Unosząc obraz rozkosznych wybrzeży.
 A nad nią owdzie wioska się uśmiecha,
 Chatka się bieli, pochyla się strzecha,
 I ryczy bydło, pomrukują trzody,
 Gdy je dziewczęta prowadzą do wody.
 A nasza Wisła tak spokojna, cicha,
 Że jej nie słyszać, tak lekko oddycha,
 I jakąś ciszą spokojną okola
 Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.
 Stare się wierzyby nad nią zadumały
 O swą starość, o spróchniałej korze,
 Ściętych konarach i minionej porze;
 Bo one młodość z Wisłą przeigrały,
 I do niej jeszcze krzywe, karłowate,
 Stroją swe czoła w zieloności szatę.

Rzadko już buki i piękne dąbrowy
 Pławiają w jej nurtach przewrócone głowy,
 Lecz częściej nad nią sosna wznosi kolce,
 Lub płacze brzoza przy młodej topolce,
 A nadwiślańska topola wspaniała
 Nad nurtem wielkie konary rozwiała.
 To nie włoch smukły, co liść swój podkasa,
 Ale brat szlachcic, do korda, do pasa;
 Pień swój szeroki podnosi zuchwale,
 Macha rękami—z kiściastego wasa
 I z swojej czapki powiewnej wytrząsa
 Garście zieleni, na wiślane fale.

Ty płyniesz, Wisło! a jak kapłan stary,
 Zamek krakowski chrzci cię swym obrazem;
 Kapłan to siwy, ale młodej wiary,
 Pełen zniszczenia i wielkości razem!
 On cię, nim w morskie popłyniesz przepaści,
 Świętym kryzmatem pamiątek namaści.

Ty pod Warszawą rozprzestrzeniasz łona,
 Płyniesz spokojnie, płyniesz niespłoszona,
 I coraz szersza, coraz więcej pańska,
 Śpieszysz do niegdyś lennego ci Gdańska.
 A pod Krakowem, na długim galarze,
 Gwarzą i kurzą fajczyska węglarze.
 Po bokach węgiel w ośmiu kupkach leży,
 We środku budka, u rudla flis czuwa:
 Włos mu się długi z pod czapki kędzierzy,
 On ją z fantazyją na bakier nasuwa,
 Zwija koszuli rękawy bufiaste
 I szarawary poprawia pasiaste;
 Ma kaftan długi z czerwonym podbiciem,
 A twarz z wąsikiem, rumieńcem i życiem.
 W Wiśle się kocha, z Wisłą się nie swarzy,
 Na niej, jak w własnej chacie gospodarzy,
 I wiezie śmiało dzielny flis krakowski,
 Węgiel brzęczkowski, albo laryszowski.

Wiśło! ty niesiesz na swoim przestworze
 Nasze ziarniste, pożłociste zboże,
 I cynk srebrzysty, i sól, i gips biały,
 Wapno, i jaja, i świeże nabiały.
 Niesiesz, gdy zechcesz; a gdy nie masz woli,
 Próżno berlinka żaglami swawoli,
 Lub galar wiosłem twoje fale liźnie;
 Ty nie chcesz, muszą stanąć na mieliźnie.
 Ty zechcesz, płyną, a widnokrąg cały
 Zda się ucieka, i chowa, i znika,
 I tylko czasem plusną twoje wały
 Pletwą szczupaka, wód twych rozbójnika,
 Lub wir je zmaci. A na dnach łóżyska
 Igrają chmury i słońce rozbłyska;
 Ptaszki świegocą w nadbrzeżnej wiklinie,
 U góry bocian wyciągnięty płynie,
 A lekki wietrzyk marszczy twoje wody.

A gdy cię, Wiśło! ścisną zimne lody,
 Tyś, jak zwierciadło, jak srebrna tablica,
 Na której słońce maluje swe lica,
 Aż lód przepali; wtedy z strasznym grzmotem

Łamiesz kry, toczysz rozłożyste fale,
 Pienisz się, płyniesz szeroko, wspaniale,
 I pierś swą wzdymasz za wiosny powrotem.

A kiedy w górach potopnieją śniegi,
 Ty nagle groźna wychodzisz nad brzegi,
 Zalewasz pola i unosisz z sobą
 Wieśniacze chaty, z całą ich chudobą;
 Powalasz domy—i na twojej fali
 Nieraz niemowlę w kołysce się żali;
 A potem znowu wracasz w swe ukrycie
 I cicho płyniesz w odwiecznym korycie.

W starém korycie, o! rodzinna rzeko,
 Niechaj spokojnie twoje nurty cieka,
 Niech na twych błoniach, tak pełnych tęsknoty,
 Bóg litościwy da urodzaj złoty;
 Wtedy twe fale pokrajają na pręgi,
 Niosące zboże, ładowne komiegi,
 A flis krakowski, twój przyjaciel stary,
 Kupi ci suknię za gdańskie talary.

Antoni Czajkowski.

13. O moim starym domku.

Ej! za górą, za wysoką,	Tu ostrokół, tuż przy ganku,
Stare dęby z lewej strony;	Do ogródka mego wniście,
Za dębami bawi oko	A w ogródku, gdyby w wianku,
Nadniemeński brzeg zielony.	Bzy niewielkie, gęstoliście.
Z prawej strony bagno szlakiem;	Pod oknami mych rozwalin
Na bagnisku wierzba wzrasta,	Pstrzeją ziółka i kwiatuszki,
A na piasku, nad chróśtniakiem,	A od kwiatów idą dróżki,
Szumi sośnina kolczasta.	Do agrestu i do malin.
W parkanową wjedź ulicę.	Przez ostrokół widzisz pole,
Stary domek w ziemię gnie się;	Lub jak zdala Niemen płynie,
Krzywe ściany, a na strzesie	A przy gęstym ostrokołe
Mchem zakwitły już dranice—	Ul pochyły na darninie!
Widać niebo z drugiej strony	To mój ogród, wszystko moje;
Szczerbinami między dranic...	Choć ubogo w nim i dziko,
To mój domek pochylony,	Sam w nim chodzę, piszę, roję,
Lecz nie oddałbym go za nic.	Kopię rydlem i motyką.

Domek, ogród—wszystko u mnie;
 Jakże rzewnie, jak wesoło,
 Jak uroczu i jak dumnie
 Ztąd poglądam naokoło!
 Czy to patrzę po płaszczyźnie,
 Czy na łąki, na ostrowy,
 Czy się chciwe oko wśliznie
 Między ciemny bór sosnowy,
 Czy to puścić wzrok po Niemnie,
 Na rybaka z jego łódką,
 Jak ztąd pięknie, jak przyjemnie,
 Bujać okiem wokółoko!
 Mój horyzont to jak sala,
 A te lasy, to ustronie,
 Te rybackie chaty zdala,
 To jak sprzęty w mym salonie.
 A tam w górze, po lazurze,
 Pływa sobie chmur ułomek;
 O! gdy zbierze się na burzę,
 Nie wytrzyma stary domek!
 Już gdy burza, zawierucha,
 Mało służy dach ochronczy;
 Już przez pułap dęszcz mi plucha,
 A przez ściany wiatr się sączy.

* * *
 Stuka, puka topór w lesie,
 Echo wstrząsa ciszą gajową
 I żalostną wieść mi niesie,
 Że mieć będę chatę nową;
 Dach nad dawną moją chatą
 Ręka cieśli w próchno zwali,
 I że wkrótce, w przyszłe lato,
 Będę mieszkać okazałej.
 Ach! gdy runą z tą starzyzną
 Każda izba, każdy kątek,
 Gdzież podzięją się, wyslizną,
 Tyle wspomnień i pamiątek?
 Czy, bywało, serce bije
 Uniesieniem, smutkiem, strachem,
 Mnie najchętniej, gdy się skryję
 Pod zakwitłym moim dachem;
 Czy, bywało, radość wchodzi,
 Ściany echem się odezwą;
 Czy to boleść, znieść ją słodziej;
 Tu i płakać było rzeźwo.
 Oto przyzba, oto ganek;
 Ztąd słuchamy, gdy z poblizka
 Nadniemeński wychowanek,
 Słowik, świętą piosnkę tryska.
 Czasem rzewność tak głęboka,
 Ani ujrzyć, gdy ci z oka
 Łzy poleją się, jak woda.
 Raz... pamiętam... zachwycenie
 Z rzewnym smutkiem serce burzy;
 O! jak błogie i wspomnienie,
 Gdy je druga pierś powtórzy!
 Ot mój pokój, mój różowy,
 Malowany w kolor cegły:
 Och! wokoło biédnej głowy
 Jakież myśli tu przebiegły!
 Ot na ścianie wieniec żyta,
 Pamięć żniwa i dożynek.
 Oto sofa, pyłem kryta,
 Mój po pracy odpoczynek.
 Ot mój stolik, tron potęgi;
 Tam szpargałów leżą roje;
 A ta szafa, a w niej księgi,
 Zguba moja, szczęście moje!
 A nad stołem, tam, wysoko,
 Buja nitka pajęczyny,
 W nią wlepiam moje oko,
 W lube dumań mych godziny;
 W nią patrzałem, gdyby w tęczę,
 Gdy na czole ciężar czułem,
 Lub gdy myśli pasmo snułem,
 Wątpliwe, słabe, jak pajęczyna.
 Oto komin, druch wesoły;

Tu wchodziły cygar dymy,
 Tu'm z fajeczki trząśł popioły,
 Tu paliłem moje rymy.

A ot druga izba w parze;
 Lubo nie ma w niej przestworu,
 Tu, bywało, co wieczoru,
 Chodzę sobie i coś gwarzę.

Tu bywało, gdym znużony,
 Słodkie wczasu mam godziny,
 W uściśnieniu lubej żony,
 Lub w pieściznach mój dziecińcy.
 Tu kobierce w kraśne kwiaty,
 Po kanapie rozpostarte;
 Tutaj stolik do herbaty,
 A na ścianie — Bonaparte.
 O! lubiłem w tej izdebce,
 W gronie gości tchnąć weselem,
 A najbardziej, gdy się szepce
 Z ukochanym przyjaciелеm.

Oto pokój mój do wczasu:
 Łoże twardsze, niżli cegły;

Ztąd daleko od balasu;
 Tędy moje sny przebiegły,
 Czasem w lubyh mar osnowie,
 Czasem mara myśl przeleżała;
 Ot wezglowie, w to wezglowie
 Ej! niejedna łza zasiękała.

* * *
 Chatko! ściany twoje stoją,
 Lecz cię wkrótce proch zagrzebie;
 Już przyrośłem tak do ciebie,
 Ty tak wrośłaś w duszę moją!
 Wkrótce wnijdę w nowy kątek,
 Obcy sercu i pamięci,
 Nic z mych wrażeń, nic z pamiątek,
 Nowej strzechy nie uświęci.
 Tam przeniosę me cygaro,
 I mój stolik, i wezglowie;
 Łacno wznowić chatkę starą,
 Lecz już duszy nie odnowię.

Ludwik Kondratowicz.

II. POEZYJE EPICZNE.

A). OBRAZY I OPISANIA.

1. Starzec i dziewczica.

Śród pól obszernych podnosi się wzgórze,
 Sypane ręką natury, czy ludzi;
 Czas zdmuchnął ślady, a gminnej powieści,
 Raz tylko zgasłój, już nikt nie obudzi.
 Na wzgórkach sterczy krzyż dawny, a róże,
 W cieni zaplecione, jak uśmiech w boleści,
 Wieńczą pagórek i krzyża podnóże.

Pod krzyżem starzec, w żałobnej odzieży,
Na kiju wspierał głowę posiwiąłą.
Widać, że przeżył, przecierpiał niemało;
Bo, na zmarszczkami sfałdowane lica,
Gorzka, niejedna łza z oczu wybieżyła...
Przy nim, jak anioł, klęcząca dziewica
Z zapalem wiary domawia pacierzy.

Dwie te postacie pod krzyżem zbawienia,
Jedna klęcząca, druga nachylona,
Jak dwa posągi wykute z kamienia,
Jakby im życie zgasło w głębi łona,
Ciałem są tylko przybite do świata,
Bo dusza, skrzydłem modlitwy niesiona,
Cała cierpiąca, do niebios ulata.

Starzec, z odbiegłą już złudzeń krainą,
Z sercem, wystygłym na powaby życia,
Z myślą, noszącą już ślady rozbicia,
Starzec dla ziemi był tylko ruiną,
Do której pamięć przyszłości ubiegłej
Jeszcze się czepia, jak liście bluszczowe,
Kiedy się wydrą zpod zwalonej cegły,
Aby owinąć kolumny bezgłowe.
Starzec chciał świętej modlitwy promieniem
Wzniesić się wysoko, do wiary swój szczytu,
Ale, niestety!... jak skałą granitu.
Tak był do ziemi przybity.... cierpieniem.

Dziewczyna młoda... i cóż ją zasmuca?
Po co łąą cierpień błyszczą jej źrenice?
Czy jest aniołem, który ziemię rzuca,
By przedzój wrócił w niebios okolicę?
Czyli już ziemia dla niej ponęt nie ma,
Że tęskną myślą, tęsknemi oczyma,
Pogląda w niebo, jak gdyby na niebie
Prawdziwe szczęście znalazła dla siebie?
Młoda i piękna... i gdzież są przyczyny
Łez i cierpienia?... czyż w duszy dziewczyny,
Gdy jej się młodość w każdym kwiatku śmieje,
Gdy ją świat wabi, gdy ją rozkosz nęci,

Czy smutek może wytrącić z pamięci,
Że na nią czeka... przyszłość i nadzieje.
Przyszłość! nadzieja!... ach! te dwa wyrazy,
Gdy wokół młodej myśli się obwiją,
Jakże czarowne nawodzą obrazy,
Jak noszą duszę za światów granicą!
Niech staną we śnie, sen urozmaicą;
Niech zabrzmia, w pieśni ożyją.
I młodość wierzy w tym pierwszym zachwycie,
Że najpiękniejszym darem niebios — życie.
I czemuż wtenczas smutek? chmurka błada,
Która na chwilę blask słońca zaciemi;
Powieje wietrzyk, a ona przeleci,
Lub w mgłę się zmieni i we mgłę opada;
I znów pogoda i znów słońce — ziemi,
Młodości — szczęście zaświeci.

Gustaw Zieliński.

2. Obrazy z poematu Mickiewicza p. t. „Pan Tadeusz.“

1. Pan podczaszyc.

Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecko,
Kiedy do ojca mego, w Oszmiańskim powiecie,
Przyjechał pan podczaszyc na francuzkim wózku,
Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francuzku.
Biegali wszyscy za nim, jakby za rarogiem ¹⁾;
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Stała podczaszyc dwukolna dryndulka,
Która się po francuzku zwała karyjulka.
Zamiast lokajów, w kielni siedziały dwa pieski,
A na kozłach — chłopisko chude, nakształt deski:
Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach; ze srebrnymi klamrami trzewiki;
Peruka, z harbajtelem, zawiązanym w miechu.

¹⁾ Raróg, gatunek jastrzębia, za którym drobne ptastwo, szczególnie jaskółki, ubiegają się.

Starzy na ten ekwipaż parskali ze śmiechu,
A chłopci się zegnali, mówiąc, że po świecie
Jeździ wenecki dyjabeł w niemieckiej karecie.

Sam podczaszyc jaki był, opisywać długo,
Dosyć, że się nam zdawał małą lub papugą
W wielkiej peruce, którą do złotego runa
On lubił przyrównywać, a my — do kołtuna.
Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie
Piękniejsze jest, niż obcój mody małpowanie,
Milczał, boby krzyczała młodzież, że przeszkadza
Kulturze, że tamuje progresy, że zdradza.
Taka była przesądów owoczesnych władza!

Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować,
Cywilizować będzie i konstituować;
Ogłosił nam, że jacyś Francuzi mówni
Zrobili wynalazek, iż ludzie są równi,
Choć o tém dawno w Pańskim pisano zakonie
I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.
Nauka dawną była; szło o jój pełnienie,
Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,
Że nie wierzone rzeczom najdawniejszym w świecie,
Jeśli ich nie czytano w francuzkiej gazecie.

Podczaszyc, mimo równość, wziął tytuł markiza;
Wiadomo, że tytuły przychodzą z Paryża,
A natenczas tam w modzie był tytuł markiza;
Jakoż, kiedy się moda odmieniła z laty,
Tenże sam markiz przybrał tytuł demokracji;
Wreszcie z odmienną modą, pod Napoleonem,
Demokrata przyjechał z Paryża baronem;
Gdyby żył dłużej, może, nową alternatą,
Z barona przechrzciliby się kiedyś demokratą.
Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

2. Obłoki.

... Niebo włoskie ...
Błękitne, czyste, wszakto jak zamarzła woda;
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?

U nas dość głowę podnieść, ileż to widoków!
Ileż scen i obrazów z samój gry obłoków!
Bo każda chmura — inna; naprzykład jesienna
Pełźnie, jak żółw, leniwo, ulewą brzemienią,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,
Jak rozwite warkocze; to są dęszczy strugi.
Chmura z gradem, jak balon, szybko z wiatrem leci,
Kragła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci;
Szum wielki słychać wkoło. Nawet te codzienne,
Patrzcie państwo, te białe chmurki, jak odmienne!
Zrazu, jak stado dzikich gęsi, lub łabędzi,
A z tyłu wiatr, jak sokół, do kupy je pędzi;
Ściskają się, grubieją, rosną; nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy i po niebios sklepie
Przelatują, jak tabun rumaków po stepie;
Wszystkie białe, jak srebro... zmieszały się; nagle
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle;
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie,
Cicho, zwolna, po niebios błękitnej równinie.

3. Puszcza.

Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice.
Wieść tylko, albo bajka wie, co się w nich dzieje:
Bo, gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pni, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeni, kłębami węzowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem mężstwem,
Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem.
Dalej, co krok, czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziora, trawą zarosłe na polu,

Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą;
 (Wielkie jest podobieństwo, że tam dyjabły siedzą).
 Woda tych studni lśkni się, plamista rdzą krwawą,
 A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
 Od której drzewa wkoło tracą liść i korę,
 Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore—
 Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,
 I pnie garbiąc, brzydkimi grzybami brodate,
 Siedzą wokoło wody, jak czarownice kupa,
 Grzejąca się nad kotłem, w którym warzy trupa.

Za temi jeziorzami, już nietylko krokiem,
 Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,
 Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
 Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi;
 A za tą mgłą nakoniec, jak wieść gminna głosi,
 Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
 Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
 W samym środku, jak słyhać, mają swoje dwory:
 Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszczy imperatory;
 Około nich, na drzewach, gnieźdzą się: ryś bystry
 I żarłoczny rosomak, jak czujne ministery;
 Dalej zaś, jak podwładni szlachetni wasale,
 Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale;
 Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,
 Żyjący z pańskich stołów, dworscy zauszniczy.

Te pary zwierząt główne i patryjarchalne,
 Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
 Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
 A sami we stolicy używają wczasu;
 Nie giną nigdy bronią sieczną, ani palną,
 Lecz, starzy, umierają śmiercią naturalną.
 Mają też i swój cmentarz, kędy blizkie śmierci,
 Ptaki składają pióra, czworonogi — szcerci.
 Niedźwiedź, gdy, zjadłszy zęby, strawy nie przeżuwa,
 Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,
 Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
 Kruk, gdy już posiwieje, sokół, gdy osłepnie,
 Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,

Że zamknięty na wieki, już gardła nie żywi...
 Idą na cmentarz. Nawet mniejszy zwierz raniony,
 Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony;
 Ztądto w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
 Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Słyhać, że tam w stolicy, między zwierzętami,
 Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami:
 Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,
 Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci;
 Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki;
 Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
 Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie;
 Nigdy jeden drugiego nie kasa, ni bodzie.
 Nawet gdyby tam człowiek wpadł, chociaż niezbrojny,
 Toby środkiem tych bestyj przechodził spokojny;
 Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
 Jakim, w owym ostatnim szóstym dniu stworzenia,
 Ojce ich pierwsze, co się w ogródcu gnieździły,
 Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
 Szczęściem, człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
 Bo trud i śmierć i trwoga bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekle ogary,
 Wpadłszy nieznacznie między bagna, mchy i jary,
 Wewnętrznej ich okropności rażone widokiem,
 Uciekają skowycząc, z obłąkanym wzrokiem,
 I długo potem ręką pana już głaskane,
 Drżą jeszcze u nóg jego, strachem opętane.
 Te puszczy stołeczne, ludziom nieznane tajniki,
 W języku swoim strzelcy zowią mateczniki.

4. Granie na rogu.

Wojski chwycił, na taśmie przypięty,
 Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty,
 Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,
 Wzdął policzki, jak banie, w oczach krwią zabłysnął,
 Zasnął wpół powieki, wciągnął w głąb' pól brzucha
 I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha

I zagrał. Róg, jak wicher, niewstrzymanym dechem,
Niesie w puszcę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelce, stali szczerwacze zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną harmoniją pieni.
Starzec cały kunszt, którym niegdys w lasach słynał,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nie puścił i rozpoczął łowy;
Bo w graniu była łowów historyja krótka:
Zrazu odziew dźwięczący, rzeźki—to pobudka;
Potem jęki po jękach skomla—to psów granie;
A gdzieniegdzie ton twardszy, jak grzmot—to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał: wszystkim się zdawało,
Że wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Zadał znowu; myśliłbyś, że róg kształty zmieniał
I że w ustach wojskiego to grubiał, to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz, w wilczą szyję
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje;
Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gąrło,
Ryknął; potem beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Wysłuchawszy rogowej arcydzieła sztuki,
Powtarzały je dębom dęby, bukom buki.

Dmie znowu; jakby w rogu były setne rogi,
Słysząc zmieszane wrzaski szczerwania, gniewu, trwogi,
Strzelców, psiarni i zwierząt... aż wojski do góry
Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru;

Jedne drugim pieśń niosą, jak z choru do choru:

I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,

Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,

Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu.

5. Ucieczka.

Jako wilk, obskoczony znienacka przy ścierwie,
Rzuca się oślep w zgraję, co mu ucztę przerwie;
Już goni, ma je szarpać, wtém śród psiego wrzasku
Trzasło ciche półkórce; wilk zna je po trzasku,
Śledzi okiem, postrzega, że z tyłu, za charty,
Myśliwiec wpół schylony, na kolanie wsparty,
Rurą ku niemu wije i już cyngla tyka;
Wilk uszy spuszcza, ogon potuliwszy, zmyka;
Psiarnia z tryumfującym rzuca się hałasem
I skubie go po kudłach; zwierz zwraca się czasem,
Spojrzy, klapnie paszczką, i białych kłów zgrzytem
Ledwie pogrozi, psiarnia pierzcha ze skowyttem....
Tak i Gerwazy z grozną cofał się postawą,
Wstrzymując napastników oczyma i ławą.

6. Dzień pochmurny.

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku
Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku.
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy.
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką; w stronie wschodu
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,
Że słońce wstało; tędy ma wstąpić na ziemię,
Lecz idzie nie wesoło i po drodze drzemie.

Za przykładem niebieskim, wszystko się spóźniło
Na ziemi. Bydło późno na paszę ruszyło
I zdybało zające przy późném śniadaniu;
One zwykły do gajów wracać o świtanu,
Dziś, okryte tumanem, te, mokrzyć chrupią,
Te, jamki w roli kopiąc, parami się kupią
I na wolném powietrzu myślą użyć wczasu,
Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.

I w lasach cisza. Ptasek zbudzony nie śpiewa,
Otrząsał piérze z rosy, tuli się do drzewa,
Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży

I czeka słońca. Kędyś, u brzegów kałuży,
Klekce bocian. Na kopach siedzą wrony zmokłe;
Rozdziawiwszy się, ciągną gawędy rozwlokłe,
Obrzydłe gospodarzom, jako wróżby słoty.
Gospodarze już dawno wyszli do roboty.

Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,
Jak dzień słotny, ponurą, tęskną, jednostajną,
Tym smutniejszą, że dźwięk jej w mgłę bez echa wsiąka;
Chrzęstnęły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,
Rzęd kosiarzy, otawę siekących, wciąż brząka,
Pogwizdując piosenkę; z końcem każdej zwrotki
Stają, ostrzą żeleźca i w takt kują w młotki;
Ludzi we mgle nie widać, tylko sierpy, kosy
I pieśni brzmią, jak muzyk niewidzialnych głosy.

7. Dom Maćka Dobrzyńskiego.

Dom Maćka nad siołem
Panował, stojąc między karczmą i kościołem.
Widać rzadko zwiędzany; mieszka w nim hołota,
Bo brama stérczy bez wrót, ogrody bez płota,
Nie zasiane; na grzędach już porosły brzoszki.
Przecież ten folwark zdał się być stolicą wioski,
Iż kształtniejszy od innych chat, bardziej rozległy,
I prawą stronę, gdzie jest świetlica, miał z cegły.
Obok lamus, śpichrz, gumno, obora i stajnie,
Wszystko w kupie, jak bywa u szlachty zwyczajnie,
Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe. Domu dachy
Świeciły się, jak gdyby od zielonéj blachy,
Od mehu i trawy, która buja, jak na łące.
Po strzechach gumien, niby ogrody wiszące
Różnych roślin: pokrzywa i krokos czerwony,
Żółta dziewanna, szczyru barwiste ogony.
Gniazda ptastwa różnego, w strychach gołębniki,
W oknach gniazda jaskółcze, u progu króliki
Białe skaczą i ryją w niedeptanej darni.
Słowem dwór nakształt klatki, albo królikarni.

A dawniej był obronny! pełno wszędzie śladów,
Ze wielkich i ze częstych doznawał napadów.

Pod bramą dotąd, w trawie, jak dziecięca głowa,
Wielka leżała kula, żelazna, działowa,
Od czasów szwedzkich; niegdyś skrzydło wrót, otwarte,
Bywało o tę kulę, jak o głąz, oparte.
Na dziedzińcu, zpomiedzy piołunu i chwastu,
Wznoszą się stare szczęty krzyżów killkunastu,
Na ziemi nieświęconej; znak, że tu chowano
Poległych śmiercią nagłą i niespodziewaną.
Ktoby uważał zbliżka lamus, śpichrz i chatę,
Ujrzy ściany od ziemi do szczytu pstrokate,
Niby rojem owadów czarnych; w każdej plamie
Siedzi we środku kula, jak trzmiel w ziemnej jamie.

U drzwi domostwa wszystkie klamki, ćwieki, haki,
Albo ucięte, albo noszą szabel znaki;
Pewnie tu próbowano hartu zygmunówek,
Któremi można śmiało ćwieki obciąć z główek,
Lub hak przerznąć, w brzeszczocie nie zrobiwszy szczyrby.
Nade drzwiami Dobrzyńskich widne były herby,
Lecz armaturę sérów zasłoniły półki
I zasklepiły gęsto gniazdami jaskółki.

Wewnątrz samego domu, w stajni i wozowni,
Pełno znajdziesz rynsztunków, jak w starej zbrojowni.
Pod dachem wiszą cztery ogromne szyszaki,
Ozdoby czół Marsowych; dziś Wenery ptaki,
Gołębie, w nich gruchając, karmią swe pisklęta.
W stajni koleczuga wielka, nad żłobem rozpięta,
I pierścieniasty pancierz—służą za drabinę,
W którą chłopiec zarzuca źrębcom dzięcielinę.
W kuchni kilka rapierów kucharka bezbożna
Odhartowała, kładąc je w piec, zamiast rożna;
Buńczukiem, łupem z Wiednia, otrzepywa żarna;
Słowem, wygnała Marsa Ceres gospodarną
I panuje z Pomoną, Florem i Wertumnem,
Nad Dobrzyńskiego domem, stodołą i gumnem.

8. Wicher jesienny.

Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione,
Jak czarne ptaki lecąc w wyższą nieba stronę,

Coraz się zgromadzały; ledwie słońce zbiegło
Z południa, już ich stado pół niebios obległo
Ogromną chmurą; wiatr ją pędził coraz chyżej;
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej,
Aż jedną stroną na wpół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wszérz rozpostarta,
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy, i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało.
I łany zbóż, co wprzód, kładąc się na ziemi
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotymi,
Wrzały, jak fale, teraz stoją nieruchome
I poglądają w niebo, najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co piérwój, jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długimi kręciły ramiony,
Rozpuszczając na wiatry warkocz posrébrzony,
Teraz, jak martwe, z niemój wyrazem żałoby,
Stoją naksztalt posągów sybilskiej Nijoby.
Jedna osina drżąca, wstrząsa liście siwe.

Bydło, zwykle do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka
I opuszczając strawę, do domu ucieka.
Buchaj racicą ziemię kopie, orze rogiem,
I całą trzodę straszy ryczeniem złowrogiem.
Krowa coraz ku ziemi wznosi wielkie oko,
Usta z dziwu otwiera i wzdycha głęboko;
A wieprz marudzi w tyle, dąsa się i zgrzyta,
I snopy zboża kradnie i na zapas chwytą.

Ptastwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb' trawy;
Tylko wrony, stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język z suchój, szerokiej gardzieli
I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli;
Lecz i te, przewidując nazbyt mocną burzę,
Już w las ciągną, podobne wznosząc się chmurze.
Ostatnia z ptaków, lotem nieścigłym zuchwała,

Jaskółka czarny obłok przeszywa, jak strzała,
Wreszcie spada, jak kula.

Na zachód, jeszcze ziemia słońcem ozłocona,
Świeciła się ponuro, żółtawo-czerwona.
Już chmura, roztaczając cienie naksztalt sieci,
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,
Jeden za drugim lecą, miecąc krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry się zwarły, porwały się w poły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krażą po stawach, macą do dna wody w stawach,
Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach;
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrwane włosy,
Zmieszane z kędziorami snopów; wiatry wyją,
Upadają na rolę, tarzają się, ryją—
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wydarł się z roli, jak słup czarnoziemiu,
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,
Kłbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy—
Co krok wszérz się wydyma, roztwiera ku górze,
I ogromną swą trąbą otrębuje burze;
Aż z całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartój murawy,
Wichry w las uderzyły i po głębiach puszczy
Ryknęły, jak niedźwiedzie.

A już dęszcz wciąż pluszczy,
Jak z sita, w gęstych kroplach; wtém rykły pioruny;
Krople zlały się razem; to, jak proste struny,
Długim warkoczem wiążą niebiosą do ziemi,
To, jak z wiader, buchają warstwami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosą i ziemią;
Noc je z burzą, od nocy ciemniejszą, zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca
I anioł burzy, naksztalt niezmiernego słońca,
Rozświeci twarz i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.

Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu dęszcz ciszej szumi; grom na chwilę uśnie,
Znowu zbudzi się, ryknie i znów wodą chluśnie,
Aż się uspokoiło wszystko; tylko drzewa
Szumią około domu i szemrze ulewa.

9. Zwanie.

Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny
Kwietniój; pogoda była prześliczna, czas ranny,
Niebo czyste wokoło ziemi obciągnięte,
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perła ze dna
Przez fale: z boku chmurka biała, sama jedna,
Podlatuje i skrzydła w błękitie zanurza,
Podobne do niknących piór anioła-stróża,
Który, nocną modlitwą ludzi przytrzymany,
Spóźnił się, śpieszy wracać między spółniebiany.

Już ostatnie gwiazd perły zamierzchły i na dnie
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie;
Prawą skronią złożone na wezglowiu cieni,
Jeszcze smagławą, lewą, coraz się rumieni;
A dalej okrąg, jakby powieka szeroka,
Rozsuwa się, i w środku widać białek oka;
Widać tęczę, żrenicę; już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przeblysnął,
I w białej chmurce, jako biały grot, zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogni wylata,
Tysiąc rac się krzyżuje po okręgu świata.
I oko słońca weszło; jeszcze nieco senne
Przymruża się, drząc wstrząsa swe rzęsy promienne,
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem,
Aż rozłśniło się, jako kryształ, przezroczyste,
Potém, jak brylant, światło, наконец ogniste,
Jak księżyc, wielkie—jako gwiazda, migające.
Tak po niezmierném niebie szło samotne słońce.

3. Rzeki, wpadające do Wisły ¹⁾.

Nazajutrz w świtu różowej godzinie,
Wisława w srebrny uderzyła dzwonek,
Ażeby zwołać pod szklany przysionek
Swoje lennicze bogi i boginie.

Wielki szum powstał w górach i dolinie;
Dążą lennicze bogi i boginie.

Najpierwszy z bożków radośnej młodzieży,
Pusty swawolnik, w swój białej czamarce,
Z tysiącem pstrągów, dzwoniących u pasa,
Prądnik, jak rzeźki Krakowiaczek, hasa.

Młodziuchna *Nida*, podobna kwaciarce,
Biegnie przez łąki i do swych wybrzeży,
Jak do koszyka, zsypuje wiązanki
Ze złotej ruty, bzu i macierzanki.

Biegną *Dunajce*, dwaj bracia górale,
Z okiem myśliwskim i zwinnością gończą;
Jeden z nich w *Białe* okręca się fale,
Drugi się *Czarną* owinał opończą.

Za nimi lekko idzie modro-oka,
Brzeg płaszcza Wisły niosąca, *Wisłoka*.

A teraz, patrzcie! idzie mąż wspaniały,
San, groźny rycerz, który srebrną dzida
Druzgoce lasy i przebija skały.
Po jego falach echa Karpat idą.

*Tanew*¹⁾, ukryta pod cień borów kruczy,
W głębi puszczy szumnych, jak wyrocznia, huczy.

Daléj w dolinie wijąca się kręto,
Od tataraku swoich jezior wonna,
W więzach z kamieni, zali się *Kamionna*:

¹⁾ Wszystkie rzeki i sama Wisła są tu uosobione w postaci bogów i bogiń.

Zda się, że słyszysz królowę zakłęta.

Miedzy zdumiałym, rozstąpionym tłumem,
Tancerka ledwie tykająca ziemi,
Bystrzyca płasza stopami bystreimi.

Za nią, poważna, szafirowo-lica,
Idzie, jak cicha kapłanka, *Pilica*.

A teraz, z drogi! Oto z wielkim szumem,
Nadchodzi *Narew*, cała upowita—
Narew' tak dumna, że gdy Wisłę wita,
Zarzuca ciemny fałd opony swojej.
Na modrą suknię, co spływa z królówój.
Jakiż to kmiotek goni dumną księżnę?
A wszakto brat jój, wesoły ów żeniec,
Bug kłosośny; codziennie on w wieniec
Statków ładownych pszenicą się stroi;
Wiecznie na wodach wyprawia okrężne!

Tam *Bzura* dźwiga szaty obciążone
Kiściami pereł; nosi krucze włosy
Perłami spięte i z pereł koronę.

Tam wre i szumi wartko-lotna *Drowęca*,
Która w winnice i róże i kłosy
Kwitnące czoła swych brzegów okręca.

Brda, jak wąż srebrny, uśpiony na niwie,
Pod siecią gajów cicho się pierścieni.

Ossa pod słońcem zapala błyskliwie
Fale, podobne do białych płomieni.

Zajrzyjmy dalej: kto stopy przysunie,
Nad mórz północnych wybrzeża żółtawe,
Ujrzy na straży posepną *Motławę*,
I radującą się wiecznie *Radunię*.
Co, jak odzwierne, w progu Wisły, strzegą
Bram bursztynowych morza Bałtyckiego.
I one dzisiaj tu idą i niosą
Kłucze, błyszczącą wysadzane rosą.

Te wodne bóstwa, jasne i złowieszcze,
Ku Wiśle dążą, z niemi inne jeszcze,
I jeszcze inne; lecz któż je wyliczy?
Księgę by spisał, kto wiernemi farby
Chciałby malować cały dwór lenniczy,
Niosący Wiśle swoje wierne skarby.

Jadwiga Łuszczewska.

4. Babia góra.

Tam na wschód, w mgły tumanach, Babia góra stoi,
Błyszczący namiot śniegów ramiona jój stroi.
Przy niej góry ukłękły, a ona nad niemi
Wyniosła, jak bohater nad synami ziemi.
Chociaż piorun w jój łonie wyżłobił przepaście,
Dumna z tych ran, burz nowych odpięra napaście.
Ta stara córka ziemi, na przestwór daleki,
Z wyziębłych ust wyrzuca strumienie i rzeki,
A dwóch stref na swe łono zgromadziwszy zioła,
Młodniejąc pośród kwiatów, na badacza woła.
Jój warkoczem — las ciemny, w czarne pukle zwity,
Rumieńcem — blask piorunu o śniegi odbity;
A na jój skroniach tęcza w grubych mgłach się pali,
A u stóp las szumiący na burzę się żali;
Rzucona od kibici czarna cienia wstęga
Daleko po jój siostrzyc białych czołach sięga.

Tak myśl wielka, gdy w głowie mędrca się urodzi,
Długo umysłem w drodze badania przywodzi
I, rozsypując światło z własnego ogniska,
Ćmi każdą, która iskry z sprzecznych ogni ciska.

Edmund Wasilewski.

5. Tatry.

Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup, zuchwale!

Biodra Tatrów las osłania,
Ponad niemi stoi chmura,
A po halach, wiatr przegania
Uronione orle pióra.

Świat to chłodny, a Łomnica
Świeci polskiej ziemi do dnia,
Nad Tatrami, jak pochodnia,
A na pełni, jak gromnica.

Każda skała z tobą gada;
Wiatr, co w równiach ledwo wieje,
Z nóg tam garnie; deszcz, co pada,
To już w turniach śniegiem sieje.
A powyżej, wyżej jeszcze,
Pływa sobie orle wieszczce.
Gdy wyleci i zawiśnie
Na błękitach bez obłoku
I dokoła okiem błysnie,
Widne ztamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy,
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy,
I węgierskich gór winnice.
Czeladź górską też nie podła:
Lud wysmukły, niby jodła,
Niby górski potok szybki,
Jak ptak lekki, jak pręt gibki,
Wiecznie niby młody młodzian;
Strój ma krótko ukasany,
Topór jasno nabijany,
A sam wszystek wełną odzian.
Czysty, ludzki, szczeromowny,
Strojny, dbały i budowny,

Zna się dobrze i na ziołach,
I na gwiazdach, na pogodzie,
Śmiały w skałach i na wodzie,
A radniejszy, niż lud w dołach.
Ziemia jego mało rodzi,
Więc też luźno człek nie chodzi;
Gdy opędzi zimę snopkiem,
Idzie w równie za zarobkiem.

Do topora lud to sprawny,
A do kosy jaki sławny!
Jaki wesół i ochoczy,
Gdy na kość w równie rusza!
Jak przyśpięwa i wyskoczy,
Jaka to tam w tańcu dusza!

Na świętego na Wojciecha
U nas w polu już pociecha,
Ale w górach ledwo taje
I zaledwo jar nastaje.
A na świętki na Zielone
Szumią majem świeże lasy;
Owce w góry wypędzone;
W halach schodzą się juhasy:
Stary baca rej im wodzi;
Pies liptowski strzeże owiec;
A przez lato juhas zbrodzi
Każdy potok i manowiec.

Wincenty Pol.

6. Natarcie na Tatarów.

Dzielne było natarcie. Tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskimi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płec śniada, wąsy zwisłe, a czarne, jak kruki,
Ich nasepione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie, w dzikość okazały,
Pożar, stepy wokoło, świszczące już strzały,

Żadnego, albo raczej, jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.

Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło zbliżka
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,
Gdy w pół-obręcz wpadali wślawnym prawidłem,
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem;
»Alla hu!« wrzały hordy, i tysięczne roty,
Na opasanych, strute wypuściły groty.
»Hura!« krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą zbitym w rzędy tłumem,
Lasem dzid najeżonych, z hukiem, z trzaskiem, z szumem—
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych bisurmanów wali się złamana.
Tratują ludzi konie; koncyrze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych, jak źmije;
Zapał głowy ogarnął; stal błyska; krew broczy;
Śmierć trudzi się, zdmuchując wywrócone oczy.

Wszystko to chwilę trwało, bo z boków i w tyle
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile.
Czas ginąć hufcom polskim; młody wódz je zbiera,
Zachęca je, szykuje, obraca, naciera.
Dopiero mieszanina: każdy obkoczony
Wirem męztwa na wszystkie wywija się strony,
Rąbie, sili, morduje, z nieprzebraną zgrają;
Jeden dziesięciu zwalczył; krocie nań wpadają;
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski.

Antoni Malczewski.

7. Pożar zamku.

Jak gdyby oko zagniewane Boże
Całkiem w płynący ogień się stopiło,
Z taką wściekłością, z tak rosnącą siłą,
Wrzało nad zamkiem płomieniste morze.
Pożar, w podziemne zakradłszy się lochy,
Buchął jak z paszczy kłębami brudnemi;

W skrytych podkopach zapalone prochy,
 Jak grom więzienny, darły wnętrza ziemi;
 Leżały wieże, czarne ziejąc dymy,
 Jak obalone piekielne olbrzymy;
 Jak przekłętego Lucyfera skronie,
 Pałały dachy w ognistój koronie...
 A echo piekieł, umarłych jęczenia,
 A głazy, siłą ciskane płomienia,
 Tańcem i pieśnią téj ucztę zniszczenia.

I wewnątrz zamku zawyło przestraczem,
 Prysnęły główne, płomienie buchnęły;
 Wstrzęsło ścianami, zaskrzypiało dachem,
 I dach przetlały runął między ściany.
 Jeszcze okrzyki konania wrzasnęły;
 Prysnęły główne, dymy wybuchnęły;
 Wirem się wzniosły ogniste bałwany;
 Chwila... i wszystko milczy pod pożogą.
 Przetłona głównia cicho dogorywa,
 Cicho dym wstaje, płomień się dobywa,
 Jakby tam nigdy nie było nikogo!

Seweryn Goszczyński.

8. Stepy w zimie.

Czyś widział stepy, gdy w dzień zimowy
 Z północy chmura zaciągnie śnieżna,
 I nigdzie schrony dla twojej głowy,
 Bo wkrąg pustynia biała, bezbrzeżna,
 A przy rosnącym co chwila wietrze,
 Straszliwa zamieć zaćmi powietrze?
 Biędny wędrowcze! w złą się godzinę
 Wybrałeś w podróż; patrz! jak szalony
 Wichur, jak wielki; całą równinę
 Naraz silnemi ujawszy szpony,
 Łono jój białe rozrywa, porze,
 Rwie aż pod niebo i w kłębach pędzi.
 To nie kwiat wiśni, nie puch łabędzi,
 By ci rozkoszne podesłać łoże;

To rój gwiazd śnieżnych; wirowym ruchem
 W takie cię gęste siatki okręca,
 Tak nieprzebytym ściska łańcuchem,
 Że, zmęczonego, wzięwszy jak jeńca,
 Przy tobie, żywym, jak przy swój osi,
 Białą, grobową kurhan podnosi.
 Niebo i ziemia nikną ci; kołem
 Óma tylko luźnych atomów krąży,
 Owija chwilę i dalej dąży.
 Chwyta cię obłęd; sądzisz, że społem
 Lecisz z tym wirem, co cię oplata;
 Sądzisz, żeś jądrem nowego świata,
 Który, bujając ponad otchłanią,
 Nie zawisł w sferach, bo mu duch boży
 Jeszcze nie wskazał celu podróży.
 Nagle cię senność porywa, za nią
 Jakieś błękitne ciągną marzenia,
 Które zasuwają gęsta pomroka.
 Byś się przynajmniej, w dniu przebudzenia,
 Ocknął w dziedzinie rajskiej proroka!

Gustaw Zieliński.

9. Czertomelik.

Piękny to widok Czertomeliku!
 Sto wysp przerznięły Dniepru strumienie;
 Brzoza się kapie w każdym strumyku;
 Słychać szum trzciny, słowika pienie.
 A kiedy wiosną wezbrane wody
 Zaleją wszystkie wyspy dokoła,
 Jeszcze nad wodą widać drzew czoła,
 Jakby rusałek cudne ogrody;
 Gałązką mącą wonne błękity.
 I jeszcze słowik w gałązkach śpiewa,
 I szumią brzozy, lecz nad ich szczyty
 Wznosi się fala i nikną drzewa.
 Dziko Dniepr szumi, gdy w jego łonie
 Sto wysp zielonych wiosną zatonie.

Piękny to widok stu wysep pana:
 Woda mu ziemię zpod stóp wykradła;
 Zamek się patrzy w fali zwierciadła,
 Co mu przy stopach szumi wezbrana.
 A gdy nań patrzysz, dziwnym pozorem,
 Rzekłbyś, że zamek wstecz rzeki płynie.
 Cegła koralu świeci kolorem,
 Lekkie filary — podobne trzcinie;
 Kilka ogromnych paszcz samostrzału
 Patrzy strzelnicą na Czarne morze,
 A górą zamku, okna z kryształu
 Świecą się, palą, jak ranne zorze;
 I tysiąc barw jest w każdym promyku,
 Co się z tych okien nazad odkradnie.
 W zamku pan mieszka Czertomeliku,
 Dumny ataman, co siczą władnie.
 Lecz czy sam mieszka, któż to odgadnie?
 Nikt nie był w zamku; mówią, że czary
 Mieszkają w gmachu, że dłoń zaklęta
 Nadludzką siłą wzniosła filary.
 Lecz, kiedy wzniosła, nikt nie pamięta

Julijusz Słowacki.

B). OPOWIADANIA.

1. Starosta Wilczek.

Doliną bystra Strypa bieży,
 A tu na górze zamek stoi;
 Więwa chorągwią z górnej wieży
 I przekopami boki zbroi;
 Ma most zwodzony z silną broną...
 A w zamku mieszka Wilczek z żoną.

Wilczek to szlachcic z prapradziada,
 Przeto barankiem jest w kościele,
 A jak wilk, płoszy obce stada,
 Gdy do rąk chwyci karabelę;

Na zjazdach zdrowém zdaniem świeci,
 I kocha Boga, kraj i dzieci.

A pani zacna białogłowa,
 Śpiewa godzinki, kądziel przedzie,
 Działwę w bojaźni bożej chowa,
 Rządna gosposia, zajrzy wszędzie,
 To do nabiálu, do czeladzi,
 Biędnych opatrzy, chorym radzi.

A co tam dworzan na tym dworze!
 Jest komu stanąć, bić się komu!
 A co tam gości! miłyż Boże!
 Toć gość do domu, Bóg do domu;
 Bóg błogosławił gościnności,
 Było i na dwór i na gości.

I szło wesoło, jakby z płatką,
 Ptasiego chyba brakło mléka;
 Bóg z swą czeladką, a czeladka
 Na swego Boga nie narzéka;
 I tak przejrzyście płynie życie,
 Jak bystra Strypa w swém korycie.

Aż nagle błysły straszne łony,
 I coraz bliżej, jaśniej płoną;
 Toć to tatarskie mkną zagony;
 Toć to wsie nasze popalono;
 Toć to lud biędny trapią nędzą,
 A dzielnych brańców w jassyr pędzą.

Mógł Wilczek w zamku spać bezpiecznie —
 Ale kraj w ciężkiej był potrzebie,
 A on kraj kochał tak serdecznie,
 Iżby zań chętnie oddał siebie;
 Więc żegna żonę, ściska dzieci
 I na Tatarów z hufcem leci.

Patrzała żona długo, długo,
 Na dziarskie konie, dzielne mężę,
 Wiejące skrzydła nad kolczugą,
 Na buzdygany i orężę;
 Patrzała długo, rozboląła,
 I nic prócz żalu nie widziała.

Oni zniknęli; ona czeka;
 Coraz to luny — mniej żarzące —
 Niebo się pali już zdaleka,
 A tuman jakiś mknie po łące;
 Powraca garstka porąbana,
 Wkońcu zwycięzka, lecz bez pana.

A pan od ostrój poległ strzały;
 Gdzieś mu tam kruki pogrzeb sprawią,
 Wiatry żegnanie będą grały,
 Dészce się tylko nad nim złzawia;
 Wdzięczna go ziemia nie przywali,
 A imię jego przejdzie dalej.

W zamku żałoba, pusto wkoło;
 Wdowia powieka, suche oczy,
 Wybladłe lica, smętne czoło,
 Aż się nakoniec łza potoczy;
 A z nią i rozpacz w żal się zmieni,
 Jak chmura niknie wśród strumieni.

Ze łzą westchnienie w niebo leci;
 Dalej modlitwa cicha, szczerza,
 Posępne cienie w pół oświeci
 I błogą przyszłość w pół roztwiera;
 Cichym pokojem duszę wieńczy,
 Jak słońce, chmurę, blaskiem tęczy.

A czas na wszystko jest lekarzem,
 I sześć lat w życiu, to nie chwila...
 Już téż i pani przed ołtarzem
 Z nowym małżonkiem głowę schyla;
 Zmarłemu zawsze jednak święci,
 Z tkliwém westchnieniem, łzę pamięci.
 I zaów ubiegły cztery lata;
 Gdy raz wieczorem pątnik wchodzi:
 Włos posrębbrzony; długa szata;
 Dokoła rzewnym wzrokiem wodzi;
 A kiedy wstąpił w gród wspaniały,
 To się zatrzymał, gdyż drżał cały.

A państwo właśnie przy wieczerzy;
 Wkoło nich chłopcy siedzą wieńcem;

Wszedł pątnik, panią okiem mierzy,
 Twarz mu się dzikim łśni rumieńcem;
 Czoło się chyli; krok nieśmiały;
 Słowa na ustach mu konały.

Wtém pan go wita w boże imię
 I stawia przed nim puchar miodu;
 »Spocznijże z nami, cny pielgrzymie!
 Z jakiego teraz wracasz grodu?«
 A pątnik: »Idę do ojczyzny,
 Wracam z jassyr, z Tatarszczyzny.

»Jeszcze daleko, a czas ciecze,
 Niech za gościnność Bóg odplaci.«
 Wstał; aż syn pani tak doń rzecze:
 »Maszże, pielgrzymie, krewnych, braci,
 Którym twój powrót boleść skróci?
 O! czemuż ojciec nasz nie wróci.«

A pielgrzym zadrżał, wzrok odwraca,
 Potém się chłopcu na pierś rzucił;
 »O! synu! ojciec twój powraca!
 Synu! twój ojciec już powrócił!«
 I w uniesieniu pątnik siwy
 Nagle na ziemię padł nieżywy.

Antoni Czajkowski.

2. Walka Żmii z baszą.

Basza wziął turban, stałą podszyty,
 I miecz Damaszku, z dwóch mieczów zbity,
 I ciężki czekan z kolczatą kulą;
 Piersi drucianą kryje koszulą.
 Tak uzbrojony, lekki i rzeźki,
 Za pasem sztylet zawiesił fezki,
 Wziął tarcz z sitowia, jakiej do wojny
 Używa w stepach Tatar budziacki,
 I już był gotów.

Hetman kozacki

Bezpieczniej wprawdzie, lecz ciężko zbrojny,
 Zakuł pierś mężną w pancierz ze stali,

Nióśł hełm z przyłbicą, ściśle zakrytą;
A z piór i włosów na hełmie kitą
Rośnie we dwoje, do sklepień sali;
Kopiją wstrząsa do rzutu celną;
Przy boku błyszczy miecz obosieczny.
Tak z baszą sercem i zbroją sprzeczny,
Wychodził staczać walkę śmiertelną.

Już się na biały dzień zabięrało,
Gdy wyszli z zamku. Jakby zbudzone,
Chmury, nadrannym wiatrem kręczone,
Już się z mgłą dolin mięszały białą.
I słychać oddech poranku świeży,
Co lekko wzrusza nadwodne trzciny;
Świegocą wróble na zamku wieży,
Napół uśpione między kaliny.
I księżyc — blady, i gwiazdy bladły;
Szarzeją światłem nieba błękity,
A kawki, krążąc, stadem obsiadły
I ołowiane wież czernią szczyty.

Wsiedli do czajki obaj rycerze,
Płynęli z wodą. Hetman, ponury.
Patrzył na wichrem kręczone chmury,
Na mgły tumany, na zamku wieże;
A jego serce, choć stałą zbrojne,
Tak mocno bije, tak niespokojne,
Jakby w przeczuciach. Zadrżał i nagle
Chwycił za wiosło, rozpuścił żagle
I pędził czajkę; ta, w szybkim biegu,
W chwilę na drugim stanęła brzegu.

Tam z serca trwogę odpędził płonną.
»Jak los osądził«, rzekł »niech się stanie.
Baszo! czy walczysz pieszo, czy konno?«
— »Gdy Arabczyka dasz mi, hetmanie,
Ujrzysz, jak lekko na siodło wskoczę.
Jak z konia biję i koniem toczę.«
Hetmana trąbki słyhać odgłosy;
Wnet nauczone na trąbkę pana,

Dwa szybkie konie lecą przez wrzose.
»Białe — twój, baszo, czarny — hetmana«.

Obaj rycerze siedli na konie,
Obaj pędzili szybko przez błonie,
Póki kaganiec z wież Oczakowa
Nie błysnął gwiazdą, ze mgły wywity.
Za wodzą Żmii stanął koń wryty,
I hetman rzecze: »Na próżne słowa
Nie traćmy czasu; poleć się Bogu.
Tam twój Oczaków, kędy się palą
Mnogie kagańce w masztowym lesie;
Tam twoje wieże; do wież tych progu,
Gdy mię zwyciężysz, koń cię zanieśie;
Gdy padniesz, trup twój popłynie z falą«.

Rzekł; ściślej zamknął, w przyłbicę czoło
I czarnej tarczy okrył się skrzydłem.
Basza, jak jastrząb, krążył wokoło,
Na różne strony zwiżał wędzidłem
I rzucał czekan i koniem toczył.
Tarcza hetmana wydała dźwięki,
Trzykroć od tarczy czekan odskoczył
I na rzemieniu wrócił do ręki;
Trzykroć odskoczył, za czwartą razą
Zgruchotał twarde hełmu żelazo,
Lecz ugrzązł w hełmie. Żmija zań chwyta;
Nie zdążył basza odciąć rzemienia;
Tak związanego, gdy zbył strzemiesienia,
Hetman pod końskie ciągnął kopyta.
Skrwawiony ostem i oczeretem
Czołga się basza, jako gadzina;
Żmija miecz wznosi... Basza sztyletem
I lewą ręką rzemień przecina;
Wstając pod koniem, ów sztylet srogi
Aż po rękojeść wraził pod strzemiesię.
Rumak hetmana runął o ziemię,
Lecz hetman szybko powstał na nogi,
Odrzucił dzidę, miecza dobywa
I znów grzmi walka, walka straszliwa.

Daleko słyhać szczęki pałaszy
I tarcza daje odgłos, jak dzwony.
Już krew' turecka, krew' świeża baszy
Lśni po burzanach, jak kwiat czerwony.
Ten widok siły hetmana dwoi,
Więc w obie dłonie miecz chwyta silny,
Podniósł i spuścił; lecz raz był mylny:
Sam padł, zwalony ciężarem zbroi.
Nim powstał z ziemi, już wróg straszliwy
Tłoczył mu piersi, wznosił sztylet mściwy
I nad bezbronnym mszcząc się rycerzem,
Gdy mu się sztylet po zbroi zwinął,
Podniósł pancerza i pod pancerzem
Wbił po rękojęcie, aż krwią zapłynął.

Basza siadł na koń, spiał go ostrogą,
Leciał, jak z wiatrem chmura stepowa,
Lecz nie do Turków, do Oczakowa;
Na północ wsteczną poleciał drogą.
Już zniknął. Błado wschód się czerwieni,
Już się oddala tentent po wrzosie;
Tu koralową barwą jesieni
Błyszczą burzany w srebrzystej rosie,
I szpaków stada po nieba sklepach
We mgle się kąpią i lgną na łozy.
Gdzie dwie samotne płakały brzozy,
Hetman kozacki konał na stepach.

Juliusz Słowacki.

3. Pijaństwo.

»Zkąd idziesz?« — »Ledwo chodzę.« — »Słabyś?« — »I jak jeszcze;
Wszak wiesz, że ja się nigdy zbyt nie pieczę,
Ale mi zbyt dokucza ból głowy okrutny.«
— »Pewnieś wczoraj był wesół, dlategoś dziś smutny;
Przejdzie ból; powiedzże mi, proszę, jak to było?
Po smacznym, mówią, kasku, i wodę pić miło!«
— »Oj! nie miło, mój bracie; bogdaj z tém przysłowiem
Przepadł, co je wymyślił; jak było, opowiem:

Upilem się onegdaj dla imienin żony;
Nie żal mi tego było. Dzień ten obchodzony
Musiał być uroczysty. Dobrego sąsiada
Nie źle czasem podpoić. Jójmość była rada;
Wina mieliśmy dosyć, a że dobre było,
Cieszyliśmy się pięknie, i nieźle się piło.
Cięży głowa, jak olów'; krztuszę się i nudzę;
Jójmość radzi herbatę, lecz to trunek mdławy.
Jakoś koło apteczki przeszedłem niechcący;
Anyżek mi zaleciał; trochę nie zawadzi;
Napilem się więc trochę, może mi poradzi.
Nudno przecie; ja znowu; już mi rażniej było.
Wtém dwóch z uczyt wczorajszej kompanów przybyło.
Jakże nie poczęstować, gdy kto w dom przychodzi?
Jak częstować, a nie pić? i to się nie godzi;
Więc ja znowu do wódki; wypilem niechcący;
Omne trinum perfectum ¹⁾, bo trunek gorący
Dobry jest na żołądek. Jakoż w punkcie zdrowy;
Ustały i nudności, ustał i ból głowy.
Zdrów i wesół wychodzę z mojemu kompani;
Wtém obiad zastaliśmy już przygotowany;
Siadamy. Chwali trzeźwość pan Jędrzej, my za nim:
Bogdajto wstrzemięźliwość! pijatykę ganim.
A tymczasem butelka nietykana stoi.
Pan Wojciech, co się bardzo niestrawności boi,
Po szynce, cośmy zjedli, trochę wina radzi;
Kieliszek jeden, drugi, zdrowiu nie zawadzi,
A zwłaszcza, kiedy wino wytrawione, czyste.
Przystajem na takowe prawdy oczywiste.
Idą zatem dyskursa tonem statystycznym,
O miłości ojczyzny, o dobru publicznym,
O wspaniałych projektach, mężnym animuszu:
Kopiem góry dla srebra i złota w Olkuszu;
Odbieramy Infanty i państwa młotańskie;
Liczymy owe summy neapolitańskie;
Reformujemy państwo, wojny nowe zwodzimy,
Tych bijem wstępny bojem, z tamtymi się godzimy;

¹⁾ Każde trzy jest doskonałe.

A butelka nieznacznie jakoś się wysusza.
 Przyszła druga, a gdy nas żarliwość porusza,
 Pełni pociech, że wszyscy przeciwnicy legli,
 Trzeci, czwarty i piąty, aniśmy postrzegli.
 Poszła szósta i siódma; za nimi dziesiąta.
 Naówczas, gdy nas miłość ojczyzny zaprzęta,
 Pan Jędrzej, przypomniawszy Żurawińskie kłeski,
 Nuż w płacz nad królem Janem. — »Król Jan był zwycięzki,
 Krzyczy Wojciech. »Nie prawda!« A pan Jędrzej płacze.
 Ja, gdy ich chcę pogodzić i rzeczy tłumaczę,
 Pan Wojciech mi przymówił: »Słyszysz waść«, mi rzecze.
 — »Jako waść! nauczę cię rozumu człowiecze.«
 On do mnie, ja do niego: rwiemy się zajadli;
 Trzyma Jędrzej; na wrzaski służący przypadli.
 Nie wiem, jak tam skończyli zwadę naszą wielką,
 Ale to wiem i czuję, że wziął w łeb butelką.
 Bogdaj w piekło przepadło obrzydłe pijaństwo!
 Cóż w nim? tylko niezdrowie, zwady, grubiaństwo...
 Oto profit: nudności, i guzy, i plastry.«
 — »Dobrze mówisz, podłój to zabawa hałustry;
 Brzydzi się nim człek prawy, jako rzeczą sprośną:
 Z niego zwady, obmowy nieprzystojne rosną;
 Pamięć się przez nie traci, rozumu użycie,
 Zdrowie się nadwiera i ukraca życie.
 Patrz na człeka, którego ujęła moc trunku:
 Człowiekiem jest z pozoru, lecz w zwierząt gatunku
 Godzien się mieścić, kiedy rozsądek zaleje,
 I w kontr naturze postać bydlęcą przywdzieje.
 Jeżeli niebios zdarzenie wino ludziom dało
 Na to, aby użyciem swoim orzeźwiało,
 Użycie darów bożych powinno być w mierze.
 Zawstydzają pijanicę nierozumne zwierzę;
 Potępiają bydlęta niewstrzymałość naszą:
 Trunkiem według potrzeby gdy pragnienie gaszą,
 Nie biorą nad potrzebę. Człek, co niemi gardzi,
 Gorzej od nich gdy działa, podlejszy tym bardziej.
 Mniejsza guzy i plastry; to zapłata zbrodni.
 Większej kary, obelgi, takowi są godni,
 Co w dzikim zaślepieniu występni i zdróżni,

Rozum, który człowieka od bydlęcia różni,
 Śmiaż za łada przyczyną potępiać, lub tracić;
 Jakiż zysk taką szkodę potrafi zapłacić?
 Jaka korzyść tak wielką utratę nagrodzi?
 Zła to radość, mój bracie! po której żal chodzi.
 Ci, co się na takowe nie udają zbytki,
 Patrz, jakie swój trzeźwości odnoszą pożytki:
 Zdrowie czerstwe, myśl u nich wesola i wolna;
 Moc i rażność niezwykła i do pracy zdolna;
 Majętność w dobrym stanie; gospodarstwo rządne;
 Dostatek na wydatki potrzebne, rozsądne.
 Te są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki,
 Te są. Bądź zdrow. Gdzie idziesz?« — »Napiję się wódki«.

Ignacy Krasicki.

4. Maciej, albo miłość pieniędzy.

Maciej, człowiek prosty wiary,
 Bez żony nawet, bez dzieci.
 Przy pieniądzach skniera stary,
 Gdy już szósty krzyżyk leci
 I gdy w chacie sam się nudzi,
 Chcąc wejść jakoś między ludzi,
 Krewnych do siebie zwoływa.
 Zwoławszy, tak się odzywa:
 »Co dał Bóg zebrać, zbierając
 I z pracy i z nieużycia,
 To ja dla was przeznaczając,
 Chcę oddać jeszcze za życia;
 Lecz kiedy już podział zrobię,
 To tylko wymawiam sobie,
 Abym potem, bez pieniędzy,
 Sam dla was nie doznał nędzy.
 Za pierwszy kładę warunek
 Do śmierci mnie utrzymanie;
 Pewny wzgląd, pewny szacunek,
 To do was samych zostanie;

Słowem, wzajemną wypłatą,
Do śmierci mię żywić za to
I opatrywać będziecie.
No! jakże? czy przystajecie?»

Aż wszyscy się wraz poruszają,
Otaczają go dokoła,
Ściskają, mało nie zduszą;
— »Zgoda, zgoda!« każdy woła.
— »Niech umnie Maciej osiedzie!«
— »U mnie mu najlepiej będzie!«
— »Ja pierwszy prośbę zanoszę!«
— »Proszę do mnie« — »Do mnie proszę!«

Prosili, aż omamili.
Z duszy się staruch weseli,
Że znalazł w tak krótkiej chwili
Tylu dobrych przyjacieli.

Wywleka ze skrzyni wory;
Kładzie jeden worek spory,
Drugi, trzeci, czwarty składa,
Piąty, szósty! rzecz nie lada!

Daj go Bogu! co talarów!
Wysypał wszystkie na ławie,
Mierzy i z równych wymiarów
Każdy dostał równo prawie.

Wszystkich radość była szczera.
On dom jednego obiera;
Gospodarz go wzywa, prosi;
Maciej do niego się wnosi.

Na wnosiny—goście, trunek,
Skrzypki, tany, organista;
Pewny wzgląd, pewny szacunek,
To rzecz nadto oczywista.

Aż tu miesiąc, drugi, trzeci,
Czwarty, piąty, szósty leci.
Cóż to? jakoś nie swój stary!
O! talary!, o! talary!

Z razu w procent kapitału
Strawę, odzież, wszystko dostał,
Aż tu pomału, pomału....
Maciej sługą domu został:

»Macieju! przynieście wody,
Macieju! pójďte do trzody,
Macieju! zróbcie ognisko.«
Męczyło się Macieisko!

Całkiem już wsiedli na niego:
»Maciej taki, to owaki,
Maciej gawron, do niczego!«
Takie miał wdzięczności znaki.

Wreszcie oburzony stary,
Aby za własne talary
Jeszcze taką biędę znosić,
Poszedł gdzieindziej się wprosić.

Do drugiego więc krewniaka
Wybrał się w najpierwsze święto,
Lecz, niestety! tam biédaka
Wcale nawet nie przyjęto.

»Nie naprzykrzaj się nikomu,
Pilnuj się pierwszego domu.«
Rozdawszy wprzód grosz po groszu,
Osiadł dziś Maciej na koszu.

Ani sposób wytrwać dalej;
Już tego dłużej nie znosi,
Przed organistą się żali
I o jaką radę prosi.

Dobréj rady nie odrzucić:
»Oto naprzód wszystkich rzucić,
Zrobić wór, napchać guzików
I tak podejść niewdzięczników.«

Chętnie się posłuchał stary:
Wypchał worek należycie
I jakby bite talary,
Na cmentarzu wkopał skrycie.

I poszedł tegoż wieczora
Do owego sukcesora,

Do którego wprzód się wnosił,
I przyszedłszy, rydla prosił.

Dają mu rydla coprędzój,
Lecz każdy chciałby być świadkiem,
Czy téż dziad jeszcze piéniedzy
Nie miał gdzie jakim przypadkiem.

Idą... patrzą... kopie stary...
Trudno oczom nie dać wiary,
Worek ogromny dobywa.
Dobyszy, tak się odzywa:

»Myśleliście, niewdzięcznicy,
Że już byłem bez piéniedzy,
Bogaci z mojej skarbnicy
Zapomnieli o mnie w nędzy.

Ale jeszcze, dzięki Bogu,
Nie pójdę żebrać u progu—
Bez cudzej łaski, téj ćwierci
Dość by mi było do śmierci;

Mam worek, ale się nie dam
Tak łatwo teraz oszukać,
Już sam się wam nie zaprzędam,
Abym znów biędzy miał szukać.

Który mię przyjmie do siebie,
Ten tylko po mym pogrzebie,
Aż po pogrzebie, nie prędzój,
Będzie panem tych piéniedzy«.

Aż się wszyscy wraz poruszają:
— »Ach! drogi panie Macieju,
Zawsze cię ciałem i duszą
Kochaliśmy, dobrodzieju«.

— »Niech u mnie Maciej osiedzie!«

— U mnie mu najlepšíj będzie!«

— »Ja piérwszy próśby zanoszę

— »Proszę do mnie«. — »Do mnie proszę«.

— Ręcę, że się wam odpłacę,
I by każdy wiedział jeszcze,
Że tych piéniedzy nie stracę,
W depozycie je umieszczę.

Organistę wszyscy znamy,
Jemu ten worek oddamy;
Obwarujcie więc go sami
Własnymi wprzód pieczęciami«.

Lak, pieczęcie, duchem znoszą,
Herby wszędzie wyciskają,
Sami organistę proszą,
Sami worek mu oddają.

Każdy rad na dobrodzieja
Złapać sobie w dom Macieja;
Każda prośba była szczera.
Maciej jednego wybiera.

Na wnosiny goście, trunek,
Skrzypki, tany, organista,
Pewny wzgląd, pewny szacunek,
To więcj, niż oczywista.

Aż tu miesiąc, drugi, trzeci,
Czwarty, piąty, szósty leci.
Cóżto? zawsze kontent stary?
O! talary! o! talary!

Strawę, odzież, wszystko dostał,
Żył nieuległy nikomu,
Jakby przyjacielem został,
Jakby ojcem w dzieci domu.

Uprasza go o radę;
W żadną nigdy nie szli zwadę;
Lubiony, czczony był stary.
O! talary! o! talary!

Na wygodach, w pomyślności,
Rąco mu zbiegały lata;
Po krótkiej wreszcie słabości
Zszedł stary Maciej ze świata.

Na ostatnie już zaszczyty
Pogrzeb zyskał przyzwoity,
Który, z niemałym nakładem,
Sutym się skończył obiadem.

Po pogrzebie, po obiedzie,
Wniosek już sam z siebie czysty,
Pyszny dziedzic wszystkich wiedzie
Wprost do pana organisty.

Biorą worek; wszystkie święcie
Dochowane są pieczęcie;
Otwierają... straszne krzyki...
Czerepy, szkiełka, guziki!

Stefan Witwicki. 1824.

5. Alpuchara.

Już w gruzach leżą Maurów posady;
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuchary
Almanzor z garstką rycerzy;
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturm uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły śpiże;
Rwą się okopy, mur wali;
Już z minaretów błysnęły krzyże;
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe rotę
Zbite w uporną obronę,
Przerznął się między szablą i groty,
Uciekł i zmylił pogonę.

Hiszpan, na świeżej zamku ruinie,
Pomiędzy gruzy i trupy,
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.

Wtém straż odźwierna wodzom donosi,
Że rycerz, z obcej krainy,
O posłuchanie co rychlej prosi,
Ważne przynosząc nowiny.

Był to Almanzor, król Muzułmanów;
Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie

»Hiszpanie!« woła, »na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wassalem obcej korony.«

Hiszpanie meztwo cenić umięją;
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uściskał, inni koleją,
Jak towarzysza, witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczuliej uściskał,
Objął za szyję, za ręce chwycił,
Na ustach jego zawisnął.

A wtém osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił:
Zbladłe, zsiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwia mu nabiegły żrenice.

»Patrzcie, o! giaury, jam siny, blade;
Zgadnijcie, czym ja posłem?
Jam was oszukał, wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem.

Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
Jad, co was będzie pożerać;

Pójdźcie i patrzcie na me katusze,
Wy tak musicie umierać».

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona;
Chciałby uściśnieniem wiecznym
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;
Śmieje się śmiechem serdecznym.

Śmiał się... już skonał... jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwarły,
I śmiech piekielny został na wieki,
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie, trwożni, z miasta uciekli,
Dżuma za niemi w ślad biegła—
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

Adam Mickiewicz

6. Giermek.

Złoci wieczór łan Podola;
Ciagną wojska, tabor, wozy;
Tętnią całe lasy, pola;
Stoją groźne dwa obozy.

Z jednej strony sztandar wiary,
Siwy hetman, młodzież dziarska;
Z drugiej—wściekłość, krew, pożary
I straszliwa czern tatarska.

Jutro, jutro z rannym brzaskiem
Dzień gonitwy, dzień rozprawy,
Słońce krwawym zaszło blaskiem;
Bój to będzie straszny, krwawy!

Ledwie pierwszy mrok zapada,
Polski hetman kord przypasze,
Z młodym giermkim na koń siada
I objeżdża czaty nasze.

Jedzie, patrzy w obóz dziczy,
Słucha gwaru, rżenia koni,
Pyta, zważa, ognie liczy,
I już w myśli łamie, goni.

O! nie ciesz się wodzu stary;
Zmienne wojny są koleje,
Nie tak łatwo to z Tatarzy;
Słuchaj! patrzaj! co się dzieje.

Hura! hura! pędzi horda,
Nocny napad w obóz leci,
Giermek za broń, wódz do korda,
»Na koń!« woła, »na koń! dzieci!«

Śpieszą, biegną do swych szyków,
Wśród nocnych pędzą cieni,
Gdy wtém, z grzmotem nowych
krzyków,

Zewsząd czernią otoczeni.

Tną i walczą na przebiecie;
Rąbie hetman, giermek łamie,
Całą młodość, ogień, życie
W wojujące przelał ramie.

I już słyszą, słyszą w dali,
Jak nadbiega swoja wiara,
Ale już ich nie ocali,
Już nie wyrwie z rąk Tatar.

Wzięty giermek, hetman wzięty;
Krzyczy, huczy motłoch dziki;
Bucha gniewem han zacięty,
Patrzac na swe niewolniki,

Wre i zemstą ryczy sroga,
Każe jednemu skuć żelazem
Nogę giermka z wodza nogą
I tak obu więzić razem.

Smutnie wzrok ich wzniosł się,
zwrócił
Na wysokie gwiazd sklepienia;
Ale na cóż bym wam nucił
Ich boleści, ich marzenia?

Kto w pogańskim, podłym tłumie,
Nie włókł ciężkich lat niedoli,
Ten nie pojmie, nie zrozumie,
Jak jest gorzkim chleb niewoli!

Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął, jakby między swemi;
Nie śpi, czuwa giermek młody,
Długo o swój duma ziemi.

I łza trysła mu z źrenicy;
Żal i rozpacz serce tłoczy;
Gdy wtém nagle w swój ciemnicy
Zapomniany topór zoczy.

Patrzy, duma, drży i marzy;
Serce szczytnym ogniem płonie;
Wielki w duszy zamiar waży,
Topór w obie chwyta dłonie.

I podnosi rękę śmiałą,
Mężnie ku swym pętom zwróci,
Tnie... odcina nogę całą,
I hetmana swego cuci.

»Wolnyś«, rzecze, straż — za-
spana;

Uchodź, ocal swą krainę,
Śpiesz i pobij wojsko hana;
Ja z radością tutaj zginę».

Powstał hetman i wzniosł dłonie,
I rzewnemi łzy się zalał,
Żegnał, boskiej zdał obronie,
Ścisnął, uszedł i ocalał.

I straż nagle z snu się zrywa,
Wieść ucieczki wodza szerzy,
I sam wreszcie han przybywa,
I zaledwie oczom wierzy.

Długo, długo wzrok swój wryty
W śmiałych topi mu źrenicach,
Stoi, jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach.

I odpycha wszystkie strażę;
Cnota dzikość zwyciężyła;
Każe leczyć, darzyć każe,
I do Lachów go odsyła.

W świetnym dworzan, wodzów
gronie,

Szkarłatnymi szaty odzian,
Siadł król polski na swym tronie;
Wdzięczny przed nim stanął mło-
dzian.

W miejscu nogi prosta kula,
Ujmując postać wspiera—
I dwór cały się rozczuła,
Z szmerem dziwu nań spoziéra.

I dwaj wiodą go rycerze;
Kornie przed tron przystępuje;

Król z węzłowia szczerbiec bierze
I rycerzem go pasuje.

Gdy wtém wpośród wodzów koła
Hetman nogę niesie złotą;
»Oto herb twój!« król zawoła,
»Wysłuszony twoją cnotą«.

Franciszek Morawski.

7. Ballada, jakich wiele.

Wieczorem w niedzielę,
Przy wiejskim kościele,
Dziad stoi i bije we dzwony;
Młodzieniec nieznany
I pyłem odziany,
Nadchodzi i słucha zdziwiony.

I pyta nieśmiele:
»Mój dziadku, w tém siele
Któż ziemskie opuścił mieszkanie?«
»O! smutne to sprawy;
Jeżeliś ciekawy,
Posłuchaj, opowiem; mój panie:

Przed kilku latami
Żył we wsi téj z nami
Kmiećz kmieciazamożny, pocziwy;
Ni soli, ni chleba,
Nie było tam trzeba;
Był czczony, kochany, szczęśliwy.

I było ich troje:
On z żoną we dwoje,
A synek jedynak był trzeci;
Wesoły, rumiany,
Przystojnie odziany,
Zwyczajnie, jak bywa syn kmieci.
Raz ojciec zwieczora

Powraca ze dwora,
I wzdycha, i mówi do żony:
»Mój Boże! mój Boże!
Jak téż to przy dworze
Stan kmiotka — maluczki, wzgar-
dzony.

Prostaczek w tym tłumie,
Gdzie każdy coś umie,
Nie znaczy ni pracę, ni wiekiem;
I nam Bóg dał dziecię,
Czemużby téż przecie
I ono nie było człowiekiem.

Przedajmy dwa woły,
Niech idzie do szkoły,
A kto wie, co się i z nim stanie;
Może się przy dworze
Umieści, a może...
A może i księdzem zostanie«.

Jak rzekli, zrobili,
Lecz grubo zbłądzili,
Bo szczęście i w kmieciom jest stanie;
Dobra jest nauka,
Lecz gdy kto jój szuka
Nie z pychy. Wszak prawda, mój
panie!

Co rok więc na szkoły
Z ojcowskiej stodoły
Szło zboże, z obory dobytek;
Syn wzrastał w rozumie,
Lecz za to i w dumie,
Na smutny rodzicom pożytek.

I przeszło lat wiele,
A nikt go w tém siele
Nie widział w zagrodzie rodzica;
A zcicha mówiono,
Że w mieście tam pono
Waszmości udaje szlacheica;

Że w głowie mu państwo,
Nie święte kapłaństwo;
Że ojca się wstydzi w sukmanie;
A Bóg się tym brzydzi
Kto ojca się wstydzi.
Nieprawda? Cóż to wam, mój panie?

Tymczasem oknami,
Jak mówią, i drzwiami
Do nizkiej się biada pcha strzechy;
Ucieka dostatek,
Przyrasta zaś latek,
A znikąd pomocy, pociechy.

Starcowi i niwa,
W młodości życzliwa,
Kąkole wydaje i głogi;
Więc nieraz w potrzebie
Na syna, na siebie,
Zapłakał ów człowiek ubogi.

Aż pracą znużony,
Aż troską strawiony,
Raz upadł przy pługu na łanie,
I zasnął na wieki,
A nikt mu powieki
Nie zamknął. Płaczecie, mój panie?

O! powieść nie cała:
Wszak matka została,
A matka biédniejsza na świecie;
Bo biada każdemu
Człekowi samemu,
Lecz stokroć samotnej kobiecie.

Więc pismem wzywała,
Ze łzami błagała:
»Mój synu! rzuć świetne marzenie;
Uczcij mą siwiznę,
Weź ojców puściznę,
A znajdziesz spokojność i mienie«.

Ba! panie kochany!
Groch rzucaj na ściany;
Trza było z rodzinnéj wyjść ziemi,
I rękę przy drodze
Wyciągnąć niebodze,
Gdzieś zdała pomiędzy obcemi.

Aż dzisiaj ją rano
Nieżywą zdybano
W jój lubéj zagrodzie przy ścianie;
Przez litość, w téj chwili,
My jój to dzwonili.
Co wam jest, dla Boga! mój panie?»

A młodzian nieznany
Wzrok toczył zbłąkany,
I krzyczał z oschłemi powieki:
»Jam jest ten zabójca
I matki i ojca
I szczęścia mojego, na wieki.

Roilem, marzyłem,
Czcze mary goniłem;
Wiatr rozwiął sny złote przede mną;
Dziś zdrowy, zbudzony,
Przychodzę w te strony;
Miéj litość, miéj litość nade mną.

O! dzisiaj, w tém siele,	I upadł na ziemi,
Ja chléb mój w popiele	I łzami krwawemi
Zwalany łzy memi obmyję;	Zalał się, w okropnym był stanie...
I jeść go zasięde,	Dział oczy skrył w dłonie,
I szemrać nie będę,	A idąc, na stronie
Lecz rzeknij: »Wstań, matka twa	Rzekł z cicha: »Nie rychło, mój
żyje!«	panie!
	Jan Nepomucen Jaśkowski.

8. Król Henricus.

Niestalo Polsce Piasta, ni Jagiełła;
 Opatrzność dała, toć i ona wzięła.
 Naród chce sobie swego, lecz panowie,
 Co to świat cały niby na ich głowie,
 Wolą, by wszystkich za łeb trzymał cudzy,
 Niżliby mieli być swojemu słudzy.

Tedy z zamorza, czarci wiedzą po co,
 W pudełku szklanném, co je zwą karocą,
 Wiodą paniątko. Istna łątko z wosku!
 Cienki, opięty, kusy po czartowsku,
 Pachnący mydłem, aż w nos człeka bije;
 Kólczyki w uszach, kołnierzyk u szyje,
 Rączka do haftu, twarzyczka różowa...
 Tfu! do pioruna! Czy zaś białogłowa
 Na króla w Polsce?...

Spowity był cały
 W futra, i jeszcze zęby mu szczękały,
 Bo mu gadali jego poufnicy,
 Że w Polsce naszój, od samój granicy,
 Mróz trzaskający skrzypi wiekuiście;
 Kiedy zaś spostrzegł, że na drzewach liście,
 Na ziemi trawa, myślał sobie pono,
 Że to na jego przyjazd ulepiono,
 Bo wszystko macał, chcąc téż dojść, nieboże,
 Z czego rzecz każda zrobiona być może?

Lecz osobiwie podziw jego wzrasta,
 Skoro obaczył domy, wsie i miasta,
 Bo mu gadali mędrkowie ci sami,
 Że więc polacy za pan brat z wilkami.

Było téż widzieć papinkarze owe!
 Każdy z nich nosił w kołnierzyku głowę,
 A zaś rożenek mały przy kieszeni;
 A wszyscy byli tacy oblepieni,
 Że wyglądali, jak gdyby nie mieli
 W co się przyodziać, lub jak człek z kąpieli.

Taką to družbę pan przy sobie chowa;
 Paplają, myśląc, że to jaka mowa;
 A on gładyszek wśród nich z nosem w górze,
 A płaszczyk na nim, jak skrzydełka kurze;
 A jak zaś chodzi, to się zda podryga,
 To znów się wierci, niby jaka fryga...

O! miły Boże! więcze nam wypadło
 Mieć to miodowe królem czupiradło,
 Iż się zachciało panom tego licha!

Na sam bigosu zapach kaszle, kicha;
 Barszcz w gardło drapie, w ząb go kłuje kasza;
 Zrazów się sroma, węgrzyna przestrasza,
 I jeno swoje cukrowane cmoka
 Winka, pytlując językiem, jak sroka,
 Gdy szlacheckimi tymczasem imiony
 Krztusi się mydłek, jakby zadławiony...

Mieliz co zwozić panowie zwaśnieni!
 Co tu z rożenkiem? chyba do pieczeni.
 Co można robić z rękami, jeżeli
 Nié ma człek pasa, ani karabeli?
 A nadewszystko, co nam z takiój głowy,
 Od której tylko zapach olejkowy?
 Co polsce z serca, które zamiast zbroi,
 Niewieści rąbek i aksamit stroi?

Więc téż na sejmie, w oném krześle chwały,
 Gdzie same dotąd męże zasiadały,

On smyk wyglądał, jakby chłopię płoche.

By sobie jakoś nadać wagi trochę,
Chciał się rozwalić i wyciągnąć nogi,
Ale, gdy spojrział, strach go przejął srogi
Tylu postaci, tak coś pełnych ducha,
Że im bezkarnie w kaszę nikt nie dmucha—
I téż nie jednej porąbanéj twarzy,
Którój blask oka dziwnie się kojarzy
Z szablicy błyskiem—a ta, kiedy brzęka,
Mniej nieco śmieszna od jego roženka.

Więc zaraz odtąd nosem kręcić zacznie,
I ze swojemi bredzić coś cudacznie.

Cóż, gdy mu przyszło (jak mu słusznie każem)
Z panienką naszą stanąć przed ołtarzem,
To, zamiast Bogu dziękować w pokorze,
Że się z królewską krwią połączyć może...
Ten zkądcis lichy zamorski szlachetka
Pocznie wybrédzać i natrącać z lekka:
A to że brzydka, a to znowu stara...

A idźże sobie, błaznie ty, na cztery
Wiatry, jeżeli chcesz, by człek był szczery!
Toż ty krew', co jest polskiej ziemi chwałą,
Masz sobie za nic, lub za bardzo mało?
Nie doczekanie twoje, wiercipięto,
Byś miał za żonę tę panienkę świętą,
Co ją swą panią zowie Polska cała;
Co nas tak kocha, że nigdy nie chciała
Iść za mąż z kraju, chcąc być zawsze z nami!...

Więc widząc chłystek, że nas nie omami
Swém trefnisiostwem, ani złapie w sidła,
Nicwartém swoim *parlefranse* z mydła,
A nadewszystko, że mu niespodzianie
Taką Zborowski kością w gardle stanie,
Iż Wapowskiego mając rzec nazwisko,
Od zachłyśnięcia był już czkawki blisko:
Pocznie układać z swojemi panięty,
Że może lepiej, za pas wzięwszy pięty,

Kopnąć się nazad, z kąd się przyjechało,
Niżli się guzom nadstawić zbyt śmiało.

Zatém, cichaczem, zabrawszy manatki,
Czarcim sposobem, on paniczyk gładki,
W téj saméj, w której przyjechał karocy,
Do Farmazonii prysnął o północy.

Cóż tedy? Za nim gonią panów zgraje,
A naród krzyżyk na drogę mu daje.

Felicyjan Faleński.

9. Piotr Pszonka Jasieńczyk.

Piotr, herbu Jasieńczyk, Pszonka zwan,
Pan na Krzyżanowie,
I Toporczyk, Szczekarzewic pan,
Hardzi to panowie;
Nie mają boskiej bojaźni,
Śmieją się z ludzkiej przyjaźni.

Wypadli oni jednego dnia
Na bliżkiej wsi pole,
Z niemi ludzi, koni, chartów éma,
I stado sokole;
I polują, jak po borze,
I tłuką zboże nie zboże.

Zaszedł im drogę lud całej wsi,
Błagali biédacy:
»Co robicie? toż pot naszej krwi,
Szczędźcie krwawéj pracy!
I czapkami się kłaniali:
»Niech się Ich Miłość oddali«.

Fukiem, śmiechem zbyto próśby ich;
Dla biédnych niedola,
A dla panów niepobożnych śmiech.
Pognali przez pola;

Wieśniacy odeszli z niczem,
Jeszcze nie jeden wziął biczem.

W tym czasie zjechał, na sądy w gród,
Król wielki Kazimierz,
Przed nim więc upadł i wołał lud:
»Wymierz prawo, wymierz,
Panom, co gorsi od Litwy;
Jak Bóg, masz nasze modlitwy«.

Bacznie wysłuchał żałoby król,
Wyjechał na rolę,
Przeszedł się w poprzek i w podług pól,
Obejrzał swawolę,
Szkodę na palcach zrachował,
I tém słowem wyrokował:

Za szkodę to a to każdy z was
W chłopskie ręce złoży,
Byście umieli na drugi raz
Szanować dar boży:
Zboże, główny niebios datek,
I cały kmiotka dostatek.

A za biczowanie ludzi cnych,
Abyście wiek wiekiem
Pomnieli na to, że ból nie śmiech,
A człowiek człowiekiem,
Po raz każdy z tych kmieciów
Smagnie biczem grzbiet waszeciów«.

I stało się, że Piotr, Pszonka zwan,
Pan na Krzyżanowie,
I Toporczyk, Szczekarzewic pan,
Choć butni panowie,
Zapłacić szkodę musieli,
I jeszcze biczami wzięli.

Pan Pszonka wielce do serca wziął
Tę swoją przygodę,

Zmienił się, jak jędór, króla kłął,
Targał się za brodę:
»Poczekaj«, wołał, »stary psie!
Długo ty popamiętasz mię«.

I pokryjomu szedł z Polski precz,
Pomiędzy Litwiny,
I wołał do nich: »Ogień i miecz
Na lackie krainy!
Król stary, i przy Esterce
Spalił w popiół męzkie serce.

Cała wam Polska leży, jak trup,
Tylko ją oprawić;
Tam lud, grosze, bydło, wszelki łup,
Tylko się nie bawić.
Ja wam wskażę takie szlaki,
Że się zjawim, jak cud jaki«.

Przystąpiła Litwa; Litwie w to graj.
Hura do zachodu!
Wyją, jak żeby wilków sto zgraj
Zawyło od głodu.
I dalej wzuwać chodaki,
Przepasywać się w sajdaki,

Przysmalać w płomieniach groty dzied,
A kielznać żmudziny!
Za chwilę ciągną, jak chmura biéd,
Do lackiej krainy;
A Piotr po przodu, o! wstydzie!
Na kraj własny z wrogiem idzie.

Jak Litwin w lasy raz nurka da,
Tak płynie puszcza mi,
Aż się wychyli na światło dnia
Nad Wisły brzegami;
Tam się otrząśnie, wypocznie
I radzi co dalej pocznie.

»Stójcie!« rzekł Pszonka: »ja pójdę wprzód—
 Z Wisłą żartu nie ma;
 Ja pójdę wprzód i wytknę wam bród!«
 Co rzekł, to dotrzyma.
 Poszedł, wynalazł bród rzeki,
 I na znak postawił tyki.
 Sprawiwszy wszystko, już wracać miał,
 Gdy ujrzał, że blisko
 Święty Stanisław kamienny stał;
 Więc na urągowisko
 Rzekł mu w szyderskim uśmiechu,
 Grożąc palcem: »No! sza! mnichu!«
 Na to z kamiennych świętego warg
 Wyszły ciche słowa:
 »Wielki Boże, złam ten hardy kark!
 Niechaj zdrajcy głowa
 Sobą tę czystą krew spleci,
 Którą w myślach toczy z braci.«
 I w téjże chwili ślizga się łódź
 Wodą, jak po lodzie;
 Dwóch w niej siedziało: anielska młódź,
 W anielskiej urodzie,
 W anielskiem opromienieniu,
 Ale w rybackiem odzieniu.
 Jak ślad od gwiazd, taki płomień tlał
 Za lekkim czółenkiem,
 Z brzega do brzega podniósł się wał
 I toczył się z dźwiękiem.
 Żerdzie wierzchów uchyliły,
 Szeregiem z miejsca ruszyły.
 I szły, jak ptactwa wodnego rząd.
 A gdy przepłynęły,
 Kędy największa głębia i pęd,
 Rybacy zniknęli;

Żerdzie znów się wprost podniosły,
 I stanęły, jakby wrosły.
 Zaledwie ziemię osłonił zmrok,
 Horda Litwy, rada,
 Rzuca gęstwinę pustyni i w skok
 Nad Wisłę przypada.
 I jak szła, tak w wodę wbiegła,
 Gdzie znaki brodu postrzegła.
 Ale jak tylko rzucili ład,
 Straszny krzyk się budzi,
 Niezhamowany, bezdenny prąd
 Rwie konie i ludzi,
 Przewala wiru falami,
 I rzuca dalej trupami.
 Zginęli wszyscy, co pierwsi szli;
 Ci co pozostali,
 Iść już nie chcieli, a wściekle źli,
 »To zdrada!« wołali;
 Gdzie jest Lach, co nas prowadził?
 Pod miecz go! on Litwę zdradził!«
 Próżno się Pszonka wymówić chce;
 Czerń Litwy rozjadła
 Na nic nie baczy; miecz tłumowi tnie;
 Już głowa odpadła,
 Już na żerdzi głowa ścięta
 Na pamięć zdrady zatknięta.
 Litwa dalszy zaniechawszy łup,
 Wróciła w swe knieje,
 A pana Pszonki wpół nagi trup
 Nad Wisłą bieleje,
 I głowa kiwa się ścięta,
 Od ptaków nawet nietknięta.
 Tylko skrzydłami ptak czarnych piór
 Wiał z niej, jak proporczyk,

I wciąż krakał; miał to być zły twór:

Pan Otto Toporczyk—

Który z żalu, jak wieść niesie,

Obwiesił się w blizkim lesie.

Seweryn Goszczyński.

